

Sándor Márai

ŽAR

Przełożył Feliks Netz

2006

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

A gyertyák csonkig égnek

Data wydania:

1942

Wydanie polskie

Data wydania:

2006

Nr wydania:

II

Projekt okładki:

Agnieszka Stando

Przełożył:

Feliks Netz

Wydawca:

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa

<http://www.czytelnik.pl>

ISBN 83-07-03069-2

ISBN-13 978-83-07-03069-2

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

1

Przed południem generał długo przebywał w tłoczarni wina. O świcie udał się z winogrodnikiem do winnicy, ponieważ wino w dwóch beczkach zaczęło fermentować. Minęła już jedenasta, gdy skończył z butelkowaniem i wrócił do domu. Na werandzie, zalatującej stęchlizną od wilgotnych kamieni, pomiędzy filarami stał sztywno myśliwy; gdy pan się zbliżył, wyciągnął ku niemu rękę z listem.

– Czego chcesz? – powiedział generał i obrażony przystanął. Odsunął z czoła słomkowy kapelusz, którego szerokie rondo całkowicie ocieniało jego czerwoną twarz. Już od paru lat nie otwierał i nie czytał listów. Korespondencję otwierał i sortował ekonom w biurze zarządcy majątku.

– Posłaniec przyniósł – powiedział myśliwy, nadal stojąc sztywno.

Generał poznał pismo, przyjął list i włożył go do kieszeni. Wszedł do chłodnego przedziona i bez słowa oddał myśliwemu swój kapelusz i laskę. Z kieszonki na cygara wyjął okulary, podszedł do okna i w półmroku, w świetle przedostającym się przez szczeliny do połowy opuszczonych żaluzji, zaczął czytać list.

– Zaczekaj – powiedział przez ramię do myśliwego, który już miał odejść z kapeluszem i laską.

List wcisnął do kieszeni.

– Niech Kalman zaprzęgnie na szóstą. Do landa, bo będzie deszcz. Niech włoży strój galowy. Ty tak samo – powiedział z nieoczekiwanym naciskiem, jakby go coś rozzłościło. – I wszystko ma błyszczeć. Natychmiast bierzcie się do czyszczenia karety, sprzętu. Włóż liberię, rozumiesz? I usiądziesz na koźle obok Kalmana.

– Rozumiem, wielmożny panie – powiedział myśliwy i spojrzał swojemu panu prosto w oczy. – Na szóstą.

– Wyjeździecie o wpół do siódmej – powiedział generał i przez chwilę bezgłośnie poruszał ustami, jakby liczył. – Zgłosisz się pod Białym Orłem. Powiesz tylko tyle, że ja cię posłałem, że kareta przyjechała po pana kapitana. Powtórz.

Myśliwy powtórzył jego słowa. Wówczas – jakby chciał jeszcze coś powiedzieć – generał podniósł rękę i spojrzał na sufit. Ale nie powiedział nic, poszedł na piętro. Myśliwy, w

postawie na baczność, odprowadził go szklanym wzrokiem, odczekał, aż krepa, barczysta postać zniknie za załomem, za rzeźbioną kamienną balustradą.

Generał wszedł do swojego pokoju, umył ręce, podszedł do wysokiego pulpitu, pokrytego cienkim zielonym suknem, poplamionym atramentem, gdzie było pióro i kałamarz oraz ułożone starannie, do milimetra, jeden na drugim, oprawione w płótno w pepitę, szkolne zeszyty, w jakich uczniowie piszą swoje wypracowania. Pośrodku pulpitu stała lampa z zielonym abażurem; zaśwycił ją, bo w pokoju było ciemno. Za spuszczoneymi żaluzjami, w wysuszonym, spieczonym, zeschniętym ogrodzie, płonęło lato ostatnim wybuchem furii, niczym podpalacz, który, nim pójdzie w świat, w bezmyślnej wściekłości podpala pola. Generał wyjął pomięty list, starannie wygładził papier i w silnym świetle, z okularami na nosie, jeszcze raz przeczytał proste i krótkie rzędkie, karbowane literami jak drzazgi. Czytał z rękoma założonymi z tyłu.

Na ścianie wisiał kalendarz z cyframi wielkimi jak pięści. Czternasty sierpnia. Generał spojrzął w sufit, liczył. Czternasty sierpnia. Drugi lipca. Liczył czas, jaki upłynął pomiędzy dawno minionym dniem i dniem dzisiejszym. Czterdzieści jeden lat, powiedział półgłosem. Od pewnego czasu mówił głośno w swoim pokoju, także gdy był sam. Czterdzieści lat, rzekł po chwili, zmieszany. I jak uczeń, który się gubi pośród powikłań trudnej lekcji, poczerwieniał, odchylił ciężką głowę, przymknął klejące się powieki. Czerwona szyja wystaje nad kołnierzem kukurydzianożółtej marynarki. Tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty dziewiąty, drugi lipca, to wtedy było polowanie, pomrukiwał. Potem umilkł. Zafrasowany oparł się łokciami o pulpit, jak wkuwający uczeń, ponownie zapatrzył się w tekst, w tych kilka ręką skreślonych słów, w list. Czterdzieści jeden lat, powiedział w końcu, ochryple. I czterdzieści trzy dni. A więc tyle to trwało.

I jakby nagle ogarnął go spokój, zaczął się przechadzać. Pokój był sklepiony, filar pośrodku podtrzymywał łuk sklepienia. Niegdyś ta sala to były dwa pokoje, sypialnia i garderoba. Wiele lat temu – myślał już tylko dziesiątkami lat, nie lubił dokładnych liczb, jakby każda liczba przypominała coś, co lepiej było zapomnieć – kazał rozebrać ścianę pomiędzy dwoma pokojami. Pozostawiono jedynie ten filar, który podtrzymywał środkowy łuk sklepienia. Ten dom zbudowano przed dwustu laty, zbudował go pewien dostawca wojenny, który sprzedawał owies austriackim kawalerzystom, a potem został księciem. Wtedy zbudowano pałac. Generał urodził się tutaj, w tym pokoju. W owym czasie ten dość ciemny pokój w tyle domu, z oknami wychodzącymi na ogród i zabudowania gospodarskie, był pokojem jego matki, zaś ten pogodniejszy, bardziej przewiewny – garderobą. Przed paroma dekadami, kiedy wprowadził się do tego pałacowego skrzydła i zburzono ścianę oddzielającą sypialnię matki, dwa pokoje rozrosły się w jedną mroczną salę. Od drzwi do łóżka było siedemnaście kroków. A osiemnaście kroków od ściany tylnej, ogrodowej, do balkonowej. Wiele razy obliczał, wiedział to dokładnie.

Żył w tym pokoju jak chory, który przyzwyczał się do wyznaczonej mu przestrzeni.

Jakby ta przestrzeń była skrojona na jego ciało. Mijały lata i nigdy nie przeszedł do drugiego skrzydła, gdzie ustawiły się w szeregu trzy salony: zielony, niebieski i czerwony, ze złotymi żyrandolami. Stamtąd okna wychodziły na park, na kasztanowce, które wiosną przechylały się przez balkonową kratę i chełpiąc się różowymi świeczkami oraz ciemnozieloną wspaniałością stały półkolem przed brzuchatą wypukłością południowego skrzydła, przed kamiennymi balustradami balkonów. Krępe anioły podtrzymywały balustrady. Chodził do łoczarni albo do lasu, albo – każdego ranka, także zimą, także wtedy, gdy padał deszcz – nad potok z pstrągami. Po powrocie do domu z westybulu szedł prosto na piętro do swojego pokoju i tam jadł posiłek.

– A więc powrócił – powiedział teraz głośno, pośrodku pokoju. Po czterdziestu jeden latach. I czterdziestu trzech dniach.

Kiedy wypowiedział te słowa, nagle poczuł się bardzo zmęczony, jakby dopiero teraz zrozumiał, jaki to kawał czasu czterdzieści jeden lat i czterdzieści trzy dni; zachwiał się. Usiadł w skórzanym fotelu z wystrzępionym oparciem. Na stoliku, pod ręką, leżał srebrny dzwonek, zadzwonił.

– Niech przyjdzie tu Nini – powiedział lokajowi. Po chwili, grzeczniej: – Proszę.
Nie poruszył się, siedział ze srebrnym dzwonkiem w ręku, aż przyszła Nini.

2

Nini miała dziewięćdziesiąt jeden lat i przyszła szybko. W tym pokoju niańczyła generała. Była tutaj, w tym pokoju, kiedy generał przyszedł na świat. Miała wtenczas szesnaście lat, i była bardzo piękna. Niska, muskularna i spokojna, jakby jej ciało posiadało jakąś tajemnicę. Jakby coś ukrywało w kościach, we krwi, w skórze, tajemnicę czasu albo życia, której nie można nikomu wyjawić, nie można jej przełożyć na obcy język, słowa nie uniosłyby tej tajemnicy. Była córką wiejskiego listonosza, urodziła dziecko, gdy miała szesnaście lat i nie powiedziała nigdy nikomu, kto był ojcem dziecka. Karmiła generała, bo miała dużo mleka; kiedy ojciec wyrzucił ją z domu, przyszła do pałacu. Nie miała niczego, prócz jednej sukni i w kopercie kosmyka włosów zmarłego dziecka. W takim stanie przybyła do pałacu. Na sam poród. Pierwszy łyk mleka generał wyssał z piersi Nini.

Przeżyła w tym pałacu, milcząc, siedemdziesiąt pięć lat. Zawsze uśmiechnięta. Jej imię przelatywało przez pokoje, jakby mieszkańcy pałacu nawzajem zwracali sobie na coś uwagę. Wołano: „Nini!” Jakby mówiono: „Ciekawe, że też na świecie jest coś innego niż egoizm, namiętność, próżność, Nini...” A że była wszędzie tam, gdzie być powinna, nigdy nie rzuciła się w oczy. A że zawsze była w dobrym humorze, nigdy jej nie spytano, jak może być w dobrym humorze, skoro odszedł mężczyzna, którego kochała, i zmarło jej dziecko, dla którego wezbrało w niej mleko. Wykarmiła piersią i wychowała generała, a potem minęło siedemdziesiąt pięć lat. Czasami świeciło słońce nad pałacem i rodziną, wówczas, wśród ogólnej radości spostrzegano, że Nini także się uśmiecha. A potem zmarła hrabina, matka generała, i Nini swoją suknią zamoczoną w occie, wytarła czoło zmarłej powleczone białym, zimnym, śluzowatym potem. Pewnego dnia przyniesiono na noszach ojca generała, który spadł z konia i żył jeszcze pięć lat. Pielęgnowała go Nini. Czytała mu po francusku, a że nie znała tego języka, czytała same litery; nie umiała poprawnie wymawiać słów, dlatego czytała same litery, bardzo powoli, tak jak następowały po sobie. I chory wszystko rozumiał. A potem generał ożenił się, i kiedy nowożeńcy wrócili z podróży poślubnej, Nini czekała na nich w pałacowej bramie. Ucałowała rękę swojej nowej pani i wręczyła jej różę. Wtedy także uśmiechała się; generał czasem wspominał tamtą chwilę. Potem zmarła pani, znacznie później, po dwudziestu latach, i Nini pielęgnowała grób i dbała o stroje zmarłej pani.

Nie miała w tym domu żadnego tytułu ni stanowiska, ale czuło się jej siłę. Jedyne generał mniej więcej orientował się, że Nini jest już po dziewięćdziesiątce. Nikt nie mówił o tym. Energia Nini przepływała przez dom, ludzi, ściany, przedmioty niczym tajemniczy prąd, który na małej scenie wędrownego teatru lalek wprawia w ruch postać Witezia Janósa i Śmierć. Niekiedy wydawało się, że dom i przedmioty mogłyby – na podobieństwo starych materiałów, które ulegają unicestwieniu, rozpadają się, gdy ktoś je niespodzianie dotknie – runąć, gdyby siła Nini nie trzymała razem tego wszystkiego. Kiedy zmarła mu żona, generał wyjechał. Powrócił po roku. I nieoczekiwanie przeprowadził się do starego skrzydła, do pokoju swojej matki. Zamknął nowe skrzydło, które zamieszkiwał był z żoną: kolorowe salony, gdzie już strzępiła się jedwabna tapeta, duży gabinet z kominkiem i książkami, wejście na piętro z jelenimi rogami i wypchanymi cietrzewiami, z wyprawionymi głowami kozic, obszerną jadalnię, z której okien było widać dolinę i miasteczko, a dalej niebieskosrebrne góry, pokoje żony i swoją sypialnię w pobliżu jej pokoju. Od trzydziestu dwu lat – kiedy umarła pani i generał powrócił z zagranicznej podróży – tylko Nini zaglądała do tych pokoi oraz służba, kiedy je – co dwa miesiące – sprzątało.

– Usiądź, Nini – powiedział generał.

Niania usiadła. W ostatnim roku postarzała się. Ludzie po dziewięćdziesiątce starzeją się inaczej niż po sześćdziesiątce lub pięćdziesiątce. Starzeją się bez obrazy. Twarz Nini była pomarszczona i różowa – tak starzeją się bardzo szlachetne materiały, kilkusetletnie jedwabie, w które jakaś rodzina wplotła całą swoją zręczność i marzenia. W ubiegłym roku katarakta zasłoniła jej jedno oko. To oko było teraz smutne, szare. Drugie pozostało niebieskie, tak niebieskie, jak wieczne morskie oko pomiędzy wielkimi górami, w sierpniu. To oko uśmiechało się. Nini nosiła granatową spódnicę, wiecznie taką samą, z granatowego sukna, i skromną bluzkę. Jakby przez siedemdziesiąt pięć lat nie kazała uszyć sobie nic innego.

– Konrad napisał – powiedział generał i w dwóch palcach, jakby od niechcenia, uniósł list. – Pamiętasz?

– Tak – powiedziała Nini. Pamiętała wszystko.

– Jest tutaj, w mieście – rzekł generał do niani, cicho, jakby komunikował jej bardzo ważną i poufną wieść. – Zatrzymał się pod Białym Orłem. Przyjdzie wieczorem, posłałem po niego karetę. Będzie tu na kolacji.

– Tutaj, gdzie? – spokojnie spytała Nini. I jej niebieskie oko, żywe i uśmiechnięte, rozejrzało się po pokoju.

Od dwudziestu lat nie przyjmowano tutaj gości. Tych natomiast, którzy niekiedy przyjeżdżali na obiad, panów urzędników z województwa i z miasta, uczestników wielkiego polowania z nagonką, zarządca majątku przyjmował w leśniczówce, przygotowanej na gościnę o każdej porze roku; sypialnie, łazienki, kuchnia, wielka myśliwska jadalnia, otwarta weranda, stoły na krzyżakach czekały na gości dniem i nocą. Wówczas główne miejsce przy stole zajmował zarządca majątku i w imieniu generała zapraszał myśliwych i panów na

urzędach. Nikt się nie obrażał, ponieważ wiadano, że pan domu się nie udziela. Jedyne pleban przychodził do pałacu i to raz w roku, zimą, kiedy na okapie u wejściowych drzwi wypisywał kredą inicjały Kacpra, Melchiora i Baltazara. Pleban, który grzebał domowników. Nikt więcej, nigdy.

– Tam – powiedział generał. – Można?

– Miesiąc, jak posprzątałyśmy – powiedziała niania. – Można.

– Na ósmą wieczór. Można?... – zapytał podekscytowany, z odrobiną dziecięcej ciekawości, i wychylił się z fotela. – W dużej sali. Teraz jest południe.

– Południe – powiedziała niania. – Niech się zastanowię. Do szóstej każę przewietrzyć, potem nakryjemy. – Bezgłośnie poruszała wargami, jakby liczyła. Przymierzała czas do ogromu pracy. – Tak – powiedziała w końcu, spokojnie i stanowczo.

Generał, z ciałem wychylonym ku przodowi, przyglądał się jej ciekawie. Dwa żywoty upływały razem, odmierzane powolnym rytmem bardzo starych ciał. Wiedzieli o sobie wszystko, więcej niż matka i dzieci, więcej niż małżonkowie. Wspólnota, jaka łączyła ich ciała, była bardziej intymna niż wszelka wspólnota cielesna. Może sprawiło to mleko niani. Może dlatego, że Nini była pierwszą żywą istotą, która zobaczyła generała, gdy przyszedł na świat, która widziała go w chwili narodzin, we krwi i brudzie, jakim zawsze rodzi się człowiek. Może z powodu tych siedemdziesięciu pięciu lat, jakie przeżyli razem pod jednym dachem, gdy to samo jedli, wdychali to samo powietrze; stęchlizna domu, drzewa przed oknami, wszystko było wspólne. I nic nie miało imienia. Nie byli rodzeństwem ni kochankami. Było też coś innego, co niejasno było im wiadome. Pewien rodzaj braterstwa, które jest większe, mocniejsze i ściślejsze niż braterstwo bliźniąt w matczynej macicy. Życie wymieszało ich dni i noce, znali nawzajem swoje ciała i sny.

Niania powiedziała:

– Czy chcesz, żeby było tak, jak wtedy?

– Chcę – powiedział generał. – Dokładnie tak. Jak ostatnim razem.

– Dobrze – rzekła krótko.

Podeszła do generała, nachyliła się i pocałowała żylastą, starczą rękę z pierścieniem i wątrobianymi plamkami.

– Obiecuj mi – powiedziała – że się nie zdenerwujesz.

– Obiecuję – powiedział generał cicho, posłusznie.

3

Do piątej nie dochodził z jego pokoju żaden znak życia. Dopiero wtenczas zadzwonił na lokaja i zamówił zimną kąpiel. Odesłał obiad, wypił jedynie filiżankę zimnej herbaty. Leżał na kozetce, w półzaciemnym pokoju, pośród chłodnych ścian brzęczało i fermentowało lato. Słuchał gorącego bulgotania blasku, szumu ciepłego wiatru pomiędzy omdlałymi liśćmi, obserwował szmery w pałacu.

Teraz, kiedy pierwsze zaskoczenie miał już za sobą, raptem poczuł się zmęczony. Człowiek przygotowuje się do czegoś całym latami. Najpierw się obraża. Potem pragnie zemsty. Potem czeka. Już od dawna czekał. Już nawet nie wiedział, kiedy obraza i żądza zemsty przekształciły się w oczekiwanie. Wszystko się zachowa, ale będzie bezbarwne, jak te bardzo stare fotografie, które jeszcze utrwalano na metalowej płytce. Światło i czas zmywają z płytki ostre, charakterystyczne odcienie linii. Trzeba obracać fotografią, niezbędne jest też pewne załamanie światła, aby na ślepej metalowej płytce rozpoznać tego, którego rysy kiedyś tam wessała lustrzana tafla. Tak błędnie z czasem każda ludzka pamiątka. Ale pewnego dnia skądś pada światło i wtedy znów widzimy czyjaś twarz. Generał przechowywał w szufladzie takie stare fotografie. Portret ojca. Na tym obrazie ojciec jest w mundurze kapitana gwardii. Włosy miał kędzierzawe, jak dziewczyna. Z ramion opadał mu biały płaszcz gwardzisty, którego poły przytrzymał na piersi upierścienioną ręką. Przechylił głowę, z dumą i urazą. Nigdy nie wspominał, gdzie go obrażono i dlaczego. Po powrocie z Wiednia zaczął polować. Polował codziennie, o każdej porze roku; gdy nie trafiała się zwierzyna lub nadszedł czas ochronny, polował na lisy i wrony. Jakby chciał kogoś zabić i przez cały czas przygotowywał się do tej zemsty. Matka generała, hrabina, wyrzuciła z pałacu myśliwych, co więcej, usunęła wszystko, co kojarzy się z polowaniem: strzelby, torby na amunicję, stare strzały, wypchane ptaki i jelenie głowy oraz poroża. Wobec czego oficer gwardii wybudował sobie leśniczówkę. I było tam wszystko na swoim miejscu: przed kominkiem rozpościerały się wielkie niedźwiedzie skóry, wzdłuż ścian, na wyściełanych białym suknem tablicach w brązowych ramach wisiały sztuki broni. Strzelby belgijskie i austriackie. Angielskie noże i rosyjskie karabiny zaopatrzone w kulki. Na wszelką zwierzynę. A w pobliżu leśniczówki trzymano psy, liczne stado, charty i wyżły, mieszkał tam również sokolnik z trzema sokołami w kapturach.

Tutaj, w domu myśliwskim, żył ojciec generała. Mieszkańców pałacu widywał jedynie w porze posiłków. Ściany w pałacu pokryto francuskimi jedwabnymi tapetami w pastelowych kolorach: jasnoniebieskim, seledynowym i różowym, które prążkowano złotem w podparyskich tkalniach. Hrabina każdego roku osobiście wybierała tapety i meble we francuskich fabrykach i sklepach, nieodmiennie jesienią, kiedy podróżowała do ojczyzny z rodzinną wizytą. Nigdy nie zaniedbała tej wizyty. Miała do niej prawo, zagwarantowano jej to prawo w intercyzie małżeńskiej, kiedy wyszła za mąż za cudzoziemskiego oficera gwardii.

– Może to z powodu podróży – myślał teraz generał.

Myślał o tym, że rodzice nie rozumieli się nawzajem. Oficer gwardii polował, a ponieważ nie mógł unicestwić świata, w którym trafiał się ktoś inny niż on, jacyś inni ludzie – obce miasta, Paryż, pałace, obca mowa i obyczaje – zabijał sarny, niedźwiedzie i jelenie. Tak, może to ta podróż. Podniósł się, stanął przed białym, pękatym piecem z porcelany, który niegdyś ogrzewał sypialnię matki. Był to wielki piec, stuletni, i tak emanował ciepłem, jak dobrotliwy, brzuchaty, gnuśny człowiek, który własny egoizm chciałby złagodzić jakimś łaskawym i drobnym dobrym uczynkiem. Było oczywiste, że matka tutaj marzła. Ten pałac był dla niej zbyt ciemny, sklepione pokoje pośrodku lasu: dlatego pokrywała ściany jasnymi jedwabiami. I marzła, bo w lesie wiecznie wiał wiatr, także latem, wiatr, który miał taki smak, jak górskie potoki, kiedy wiosną wzbierają od tających śniegów i zaczynają się rozlewać. Marzła, dlatego wiecznie trzeba było palić w pękatym piecu z białej porcelany. Matka chciała cudu. Przyjechała na Wschód, ponieważ namiętność, która ją dotknęła, była silniejsza niż rozum i zdrowy sąd. Oficer gwardii poznał ją w służbie dyplomatycznej: w latach pięćdziesiątych był kurierem w poselstwie w Paryżu. Poznał ją na balu i nie mieli nic przeciwko temu spotkaniu. Grała muzyka i oficer gwardii rzekł do francuskiej hrabianki: „U nas uczucie jest silniejsze, ostateczne”. Stało się to na wieczorku tanecznym w poselstwie. Okna zasłaniały białe jedwabne story. Stali we wnęce okiennej i przyglądali się tańczącym. Paryska ulica była biała, padał śnieg. W owej chwili wszedł do sali wnuk Ludwików, król Francji. Wszyscy pokłonili się. Król był w niebieskim fraku i białej kamizelce; powolnym ruchem podniósł do oczu okulary ze złotym uchwytem. Kiedy wyprostowali się po głębokim dworskim ukłonie, spojrzeli sobie w oczy. Wtedy już wiedzieli, że nie mogą postąpić inaczej, muszą żyć razem. Uśmiechnęli się, bladzi i zmieszani. Muzyka odezwała się w sąsiednim pokoju. Francuska panna powiedziała: „U państwa, to znaczy gdzie?...” – i uśmiechnęła się, mrużąc oczy jak krótkowidz. Oficer gwardii wymówił nazwę swojej ojczyzny. Pierwszym intymnym słowem, jakie sobie powiedzieli, była nazwa jego ojczyzny.

Powrócili do tej jego ojczyzny jesienią, nieomal po upływie roku. Cudzoziemska pani siedziała w głębi karety, pośród woalek i okryć. Jechali przez góry, przez Szwajcarię, Tyrol. W Wiedniu zostali przyjęci przez cesarza i cesarzową. Cesarz był łaskawy, jak w czytankach. Powiedział: „Uważaj, pani! W lesie, dokąd cię zabiera, żyją niedźwiedzie. On także jest niedźwiedziem”. I uśmiechnął się. Wszyscy się uśmiechnęli. Wielka to była łaska, cesarz

żartował z francuską żoną węgierskiego oficera gwardii. Dama rzekła: „Wasza Wysokość, oswoję go muzyką, jak Orfeusz dzikie bestie”. Przejeżdżali przez lasy pachnące owocami, przez łąki. Kiedy przekroczyli granicę, znikły góry i miasta, a kobieta zaczęła płakać. „*Chéri* – powiedziała – mam zawrót głowy. Tutaj nic nie ma końca.” Zawrotu głowy dostała od widoku puszczy, od nadmiernego ciężaru falującego powietrza, od widoku pustkowiec, gdzie już wszystko zebrano z pól, gdzie karetą tłukła się godzinami po bezdrożach, po niebie ciągnęły samotne żurawie, a zagony kukurydzy leżały wzdłuż drogi obłupione jak po wojnie, gdy okaleczona okolica dogorywa za wycofującym się wojskiem. Oficer gwardii siedział w karecie bez słowa, z założonymi rękami. Od czasu do czasu prosił o konia i godzinami jechał wierzchem obok karety. Patrzył na ojczyznę, jakby ją widział po raz pierwszy. Przyglądał się niskim białym domom z werandami i zielonymi okiennicami, w których się zatrzymywali, domom tutejszych ludzi, w głębi ogrodów, chłodnym pokojom, w których znajomy był każdy mebel, a także zapach szaf. Przyglądał się okolicy, której osamotnienie i smutek ścisnęły mu teraz serce jak nigdy przedtem: oczyma swojej żony widział studnię z żurawiem, zasolone pola, brzozowe lasy, różowe chmury na zmierzchającym niebie, ponad równiną. Otworzyła się przed nimi ojczyzna i oficer gwardii z biciem serca poczuł, że ta okolica, która ich przyjmuje, to równocześnie jest los. Kobieta siedziała w karecie i milczała. Od czasu do czasu podnosiła do oczu chusteczkę. Wtedy jej mąż wychylał się z siodła i pytająco patrzył w załzawione oczy. Lecz kobieta dawała znak, by jechać dalej. Byli sobie bliscy.

Z początku pociechą był pałac. Taki wielki, las i góry odcinały go od równiny: był dla niej ojczyzną w tej obcej ojczyźnie. Teraz przybywały za nimi platformy, co miesiąc jedna. Z Paryża i Wiednia, wozy z meblami, z płótnem, z adamaszkiem, ze sztychami i ze szpinetem, ponieważ pani chciała przy pomocy muzyki oswoić dziką bestię. Kiedy wreszcie urządzili się w pałacu i zaczęli w nim żyć, spadł obfity śnieg i uwięził pałac, niczym milczące, ponure wojsko z północy obleżony zamek. W nocy sarny i jelenie wychodziły z lasu, przystawały w śniegu: w blasku księżyca patrzyły zdziwionymi, opalizującymi na niebiesko, ciemnymi, poważnymi oczyma zwierząt w stronę oświetlonych pałacowych okien i z odchylonymi w bok głowami słuchały muzyki sączącej się z pałacu. „Widzisz?...” – powiedziała kobieta przy fortepianie i roześmiała się. W lutym mróz zegnał wilki z ośnieżonych stoków, lokaje i myśliwi rozpalili w parku stos z faszyny; basiory, wyjąc, krążyły w polu przyciągania ognia, w zasięgu jego czarów. Oficer gwardii wszedł z nożem pomiędzy wilki; kobieta przyglądała się z okna. Czegoś nie umieli ze sobą załatwić. Ale kochali się.

Generał podszedł do portretu matki. Obraz był dziełem wiedeńskiego malarza, który namalował także portret cesarzowej z opadającym na ramiona warkoczem; oficer gwardii zobaczył ów obraz w gabinecie cesarza, w Burgu. Hrabina miała na głowie słomkowy kapeluszek z różowymi kwiatami, jaki noszą latem dziewczyny we Florencji. Obraz w złotej ramie wisiał na białej ścianie, nad zrobioną z czereśniowego drewna komodą z mnóstwem szuflad. Ten mebel należał niegdyś do jego matki. Generał obiema rękami oparł się o blat

komody i podniósł wzrok na obraz. Młoda kobieta na obrazie wiedeńskiego malarza odchyliła głowę w bok, subtelnym i poważnym spojrzeniem patrzyła w nicość, jakby pytała: „Dlaczego?” Taka była treść obrazu. Szlachetna linia twarzy, zmysłowa szyja, ręce, na które naciągnęła szydełkowe mitenki, białe ramiona, piersi w dekolcie seledynowej sukni. Była obca. Walczyli ze sobą bez słów, muzyką i polowaniem, podróżami i wieczorkami, kiedy pałac rozwidniał się, jakby w pokojach wybuchł pożar, a stajnie wypełniały się końmi i karetami gości. Na wielkich schodach prowadzących do pałacu stali, co czwarty stopień, sztywni hajducy, niczym wypchane figury woskowe w panoptikum, trzymając w górze dwunastoramienne srebrne lichtarze, a światło, muzyka, słowo ludzkie i zapach ciał wirowały w komnatach, jakby życie było jakimś rozpaczliwym świętem, jakąś tragiczną i nadzwyczajną uroczystością, z której końcem trębacze zadmą w instrumenty i ogłoszą uczestnikom wieczoru złowieszczy rozkaz. Generał jeszcze pamiętał takie wieczory. Konie i karety niekiedy obozowały w zaśnieżonym parku, obok stosów płonącego chrustu, ponieważ nie pomieszczono ich w stajniach. Raz nawet przybył cesarz, który na tej ziemi był królem. Przyjechał kareta, towarzyszyli mu jeźdźcy w białych pióropuszcach. Dwa dni polował w lesie, i mieszkał w drugim skrzydle, spał w żelaznym łóżku, i tańczył z panią domu. W tańcu rozmawiali i oczy kobiety wypełniły się łzami. Król zaniechał tańca. Ukłonił się i pocałował panią domu w rękę, po czym odprowadził ją do drugiej sali, gdzie reszta towarzystwa stała w półkołu. Odprowadził kobietę do oficera gwardii i jeszcze raz ucałował jej rękę.

– O czym rozmawialiście?... – znacznie później oficer gwardii zapytał swoją żonę.

Ale ona nie odpowiedziała. Nikt nie dowiedział się, co też król powiedział tej kobiecie, która przybyła z cudzoziemskich stron i rozplakała się w tańcu. Jeszcze długo rozprawiano o tym w okolicy.

Pałac zawarł w sobie wszystko, niczym wielki, ozdobny, rzeźbiony w kamieniu grobowiec, gdzie rozpadają się kości pokoleń, rozwiewają się śmiertelne odzienia niegdysiejszych kobiet i mężczyzn, szyte z szarego jedwabiu albo czarnego sukna. Zawarł też w sobie ciszę, jak więzień sumienia, który wegetuje w bezwładzie w piwnicznej ciemnicy, zarośnięty i w łachmanach, na spleśniałej, przegniłej słomie. Zawarł wspomnienia – wspomnienia zmarłych, które pochowały się w dziuplastych kryjówkach pokoi, jak grzyb, limfa, nietoperze, szczury i owady w wilgotnych suterrenach wielkich, starych domów. Na klamkach czuło się drżenie czyjejś ręki, zar dawno minionej chwili, kiedy ręka ociągała się z naciśnięciem klamki. Każdy dom, w którym namiętność dotknęła ludzi z całą swoją mocą, wypełnia się tą mroczną treścią.

Generał przyglądał się portretowi matki. Znał każdy rys jej pociągłej twarzy. Oczy z senną i smutną wzgardą wpatrywały się w czas; dawne kobiety z takim spojrzeniem wstępowały na szafot, gardząc zarazem tymi, za których umierają, jak i tymi, którzy je zabijają. Pałac rodziny jego matki znajdował się w Bretanii, nad morzem. Generał mógł być ośmioletnim chłopcem, gdy zabrano go tam jednego lata. Wtedy już podróżowano koleją, bardzo wolno. Na bagażowej siatce leżały walizy matki, w płóciennych prochowcach, oznaczone jej inicjałami, ozdobione haftem. W Paryżu padał deszcz. Dziecko siedziało w głębi karety wyściełanej niebieskim jedwabiem, skąd przez zamazane okno przyglądało się miastu, które, niczym brzuch tłustej ryby, ślisko świeciło się w deszczu. Widział spiczaste dachy domów, wysokie kominy, które szaro i skośnie sterczały pomiędzy brudnymi zasłonami wilgotnego nieba. Jakby wykrzykiwały na cały świat coś z tajemnic swoich tak bardzo innych, niepojętych losów. Kobiety, śmiejąc się, szły w deszczu, jedną ręką odrobinę unosząc suknie, błyskały im zęby, jakby ten deszcz, obce miasto, francuska mowa, jakby to wszystko było jakąś przyjemną i wspaniałą rzeczą, i tylko dziecko jeszcze nie może jej zrozumieć. Miał osiem lat, siedział skupiony w karecie obok matki, naprzeciw pokojówki i guwernantki, przeczuwając, że ma do odegrania jakąś rolę. Wszyscy mu się przyglądali, mały, dziki człowiek, który przybył z daleka, z borów, pomiędzy niedźwiedzi. Chłopczyk, nie szczędząc starań, niepewnie wymawiał francuskie słowa. Wiedział, że teraz wysławia się

w imieniu taty, pałacu, psów, lasu i porzuconych stron rodzinnych. Otworzyła się brama, karetka wjechała na rozległy dziedziniec, przed szerokimi schodami kłaniali się lokaje we frakach. Wszystko to było odrobinę nieprzyjazne. Prowadzono go przez sale, gdzie wszystko w sposób przykry i groźny znajdowało się na właściwym miejscu. W dużym pokoju, na piętrze, przyjęła ich francuska babka. Miała szare oczy i mały, wąski, czarny wąsik; włosy, kiedyś pewnie płomiennie rude, teraz brudnoryże, jakby czas zapomniał je umyć, nosiła wysoko upięte. Pocałowała dziecko i białymi, kościstymi rękami nieco odchyliła główkę przybysza, przyjrzała mu się z góry. „*Tout de même*” – rzekła do jego mamy, która, pełna obaw, stała obok nich, jakby jej dziecko składało egzamin, jakby zaraz coś miało się wyjaśnić. Później przyniesiono herbatę z lipowego kwiatu. Wszystko miało zapach nie do zniesienia, chłopiec odczuwał mdłości. Około północy zaczął płakać i wymiotować. „Chcę, żeby tu była Nini!” – powiedział, dławiąc się łzami. Śmiertelnie blady leżał w łóżku.

Nazajutrz miał wysoką gorączkę, majaczył. Przybyli dostojni lekarze, w surdutach, każdy miał przeciągniętą złotą dewizkę przez środkową dziurkę od guzika w białej kamizelce, nachylali się nad dzieckiem, z ich zarostu i ubrań sączył się taki sam zapach, jak z wszystkich rzeczy w tym pałacu, jak z włosów i ust francuskiej babki. Chłopiec czuł, że umrze, jeżeli ten zapach nie minie. Gorączka nie spadła do końca tygodnia, puls chwilami ustawał. Wówczas zdepeszowano po Nini. Upłynęły cztery dni, zanim niania dojechała do Paryża. Majordomus z bokobrodami nie poznał jej na dworcu kolejowym, Nini pieszo dotarła do pałacu, z siatką robioną szydełkiem. Zjawiła się tak, jak wędrują ptaki; nie umiała mówić po francusku, nie знаła nazwy ulicy, nigdy nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie, jakim sposobem odnalazła w obcym mieście dom, który ukrywał chore dziecko. Weszła do pokoju, wyjęła z łóżka konającego chłopca, który był już zupełnie cichutki, tylko oczy mu błyszczały; wzięła go na kolana, ciasno otoczyła ramionami i kołysała siedząc w milczeniu. Trzeciego dnia udzielono dziecku ostatniego namaszczenia. Wieczorem Nini wyszła z pokoju chorego i powiedziała hrabinie po węgiersku:

– Chyba się uchowa.

Nie płakała, tylko była bardzo zmęczona, ponieważ nie spała już szóstą dobę. Wróciła do chłopca, z siatki robionej szydełkiem wyjęła domowe jedzenie i zaczęła jeść. Przez sześć dni i nocy własnym oddechem podtrzymywała życie w dziecku. Hrabina kłęczała przed drzwiami, płakała i modliła się. Byli tam wszyscy, francuska babka, personel, pewien młody ksiądz o ukośnych brwiach, który przychodził i wychodził o każdej porze dnia. Lekarze powoli przestawali się pokazywać. Hrabina z dzieckiem i z Nini wyjechała do Bretanii, francuska babka, skonsternowana i obrażona, została w Paryżu. Naturalnie nikt nie powiedział, na co właściwie to dziecko zachorowało. Nikt nie powiedział, ale wszyscy dobrze wiedzieli! Generał łaknął miłości, i kiedy pochylali się nad nim obcy ludzie, a od każdego rozchodził się ten nieznośny zapach, postanowił umrzeć. W Bretanii szumiał wiatr i huczał przypływ pośród starych kamieni. W morzu tkwiły czerwone skały. Nini była spokojna, uśmiechając się

patrzyła na morze i niebo tak, jakby już wcześniej je widziała. W czterech rogach zamku stały bardzo stare, pękate wieże wzniesione z łupanego kamienia, to tutaj wiele, wiele lat temu przodkowie hrabiny zasadzali się na Surcoufa, pirata. Chłopiec szybko się opalił, często się śmiał. Teraz już się nie bał, ponieważ wiedział, że razem, we dwoje, są mocniejsi. Siedzieli na plaży. Wiatr powiewał falbanami granatowej sukni Nini, wszystko było słone, także powietrze i kwiaty. Rano, kiedy cofnął się przypyływ, w zagłębieniach czerwonych przybrzeżnych skał pozostawały morskie pająki o szczeciniastych nogach, raki o czerwonych brzuchach i fioletowe galaretowate rozgwiazdy. Na zamkowym dziedzińcu stał ponad stuletni figowiec, niczym mędrzec ze Wschodu, który opowiada już tylko najprostsze historie. Pod jego gęstym listowiem krył się słodki, wonny chłód. To tutaj, w godzinach południowych, kiedy morze bezsilnie huczało, chłopiec siadywał z nianią i słuchał.

– Będę poetą – powiedział jednego razu i spojrział w górę, z odchyloną głową.

Patrzył na morze, jasne kędziory powiewały na ciepłym wietrze, badawczym spojrzeniem spod półprzymkniętych powiek uważnie przyglądał się dali. Niania objęła go, przytuliła do piersi główkę chłopca. I rzekła:

– Nie, będziesz żołnierzem.

– Jak tata? – chłopiec potrząsnął głową. – Tata też jest poetą, nie wiesz o tym? Zawsze myśli o czymś innym.

– Prawda – odrzekła niania i westchnęła. – Nie idź na słońce, mój aniele. Rozboli cię głowa.

Długo przesiadywali pod figowcem. Słuchali morza: jego szum był znajomy. Szumiało tak samo, jak tam, w domu, szumiał las. Chłopiec i niania myśleli o tym, że wszystko na świecie tworzy całość.

5

Coś takiego przychodzi ludziom do głowy dopiero później. Mijają dziesięciolecia, ludzie przechodzą przez ciemny pokój, w którym ktoś umarł, i naraz słyszą szum morza, dawne słowa. Jakby tych kilka słów wyrażało treść życia. Lecz później zawsze mówiło się o czymś innym.

Jesienią, kiedy wracali z Bretanii, oficer gwardii czekał na swoją rodzinę w Wiedniu. Chłopca oddano do szkoły kadetów. Otrzymał szabelkę, długie spodnie i czako. W niedzielę zabierano wychowanków na spacer po Grabenie, w granatowych bluzach, ze sztyletami przytwierdzonymi do pasa. Byli jak dzieci, które dla zabawy poprzebierały się za żołnierzy. Nosili białe rękawiczki, wdzięcznie salutowali.

Szkoła kadetów znajdowała się tuż pod Wiedniem, na szczycie wzgórza. Był to żółty budynek, z okien drugiego piętra można było zobaczyć stare miasto, z prościutkimi ulicami, letni pałac cesarza, dachy Schönbrunnu i aleje spacerowe wycięte w rozległym parku, pośród przyszyżonego listowia. W białych korytarzach o łukowych sklepieniach, w klasach, w jadalni, w sypialniach, wszystko było tak niepokojąco na swoim miejscu, jakby to było jedyne miejsce na świecie, gdzie w końcu uporządkowano i umieszczono gdzie należy to, co w życiu jest nieporządkiem i co jest zbędne. Wychowawcami byli starzy oficerowie. Wszystko miało smak saletry. W sypialniach spano po trzydziestu, w każdym pomieszczeniu trzydziestu chłopców w jednym wieku, w wąskich, żelaznych łózkach, jak cesarz. Nad wejściem wisiał krucyfiks i święcona palma. Nocą paliło się w lampach niebieskie światło. Rano budził ich dźwięk trąbki; niekiedy zimą zamarzała woda w blaszanych miednicach. Wówczas ordynansi przynosili w wielkich dzbanach ciepłą wodę z kuchni.

Nauczano greki i balistyki, i sposobu, w jaki należy postępować z nieprzyjacielem, i historii. Chłopiec był blady, pokasływał. W każde jesienne popołudnie katecheta zabierał wychowanków do Schönbrunnu. Niespiesznie szli alejami. W fontannie, której kamienie pokasał zielony mech i pleśń, szemrała woda w kolorze złota, ponieważ oświetlało ją słońce. Spacerowano pomiędzy szpalerami przyszyżonych drzew, chłopcy przeżyli się, ręką w białej rękawiczce przepisowo i sztywno oddawali honory starym żołnierzom, którzy tutaj spacerowali w pełnej gali, jakby codziennie były urodziny cesarza. Drogą szła jakaś kobieta, z

białym, koronkowym parasolem słonecznym na ramieniu, z gołą głową; szybko ich minęła, a ksiądz złożył jej głęboki ukłon.

– Cesarzowa – szepnął chłopcom.

Twarz kobiety była bardzo biała; gęste czarne włosy zaplecione w potrójny warkocz okręciła wokół głowy. Trzy kroki za nią, lekko przygarbiona, jakby ją ten spacer zmęczył, szła dama w czerni.

– Cesarzowa – jeszcze raz powiedział ksiądz, z głębokim nabożeństwem.

Chłopcy patrzyli za samotną kobietą, która niemal gnała alejami wielkiego ogrodu, jakby przed czymś uciekała.

– Podobna do mamy – powiedział, ponieważ przypomniał sobie obraz, jaki wisiał w gabinecie ojca, nad stołem.

– Tak nie wolno mówić – odrzekł ksiądz poważnie.

Od rana do wieczora uczyli się tego właśnie, czego nie wolno powiedzieć. W Instytucie, gdzie uczyło się czterystu chłopców, panowała taka cisza, jak w maszynie piekielnej na parę minut przed eksplozją. Byli tu wszyscy, jasnowłosi, o krótkich nosach z czeskich pałaców, i zmęczeni o białych rękach z morawskich dworów, z miast tyrolskich i z pałaców myśliwskich w Styrii, z pałaców z opuszczonymi żaluzjami na ulicach okalających Graben i z prowincjonalnych węgierskich domów, z długimi nazwiskami z mnóstwem samogłosek i z przydomkiem, z tytułem i rangą, a wszystko to zostawili w garderobie, tutaj, w Instytucie, tak samo jak wytworne, cywilne ubrania szyte w Wiedniu i Londynie oraz holenderską bieliznę. Z tego wszystkiego pozostało jedynie nazwisko, i dzieciak, który należał do nazwiska i teraz uczył się, co mu wolno, a czego nie wolno. Byli też słowiańscy chłopcy o wąskich czołach, w których krwi wymieszały się wszystkie ludzkie osobliwości Cesarstwa, byli niebieskoocy, bardzo zmęczeni, dziesięcioletni arystokraci, którzy patrzyli niewidzącym wzrokiem, jakby ich przodkowie wszystko już widzieli za nich. A pewien tyrolski książę zastrzelił się w dwunastym roku życia, ponieważ był zakochany w swojej bratanicy.

Konrad spał w sąsiednim łóżku. Mieli po dziesięć lat, kiedy się poznali.

Był krępy, a jednak szczupły, jak chłopcy z bardzo starych rodów, w których sylwetkach kości dominują nad ciałem. Powolny, lecz nie leniwy, ze świadomie odmierzonym rytmem. Jego ojciec, z nadanym tytułem barona, był urzędnikiem w Galicji, matka była Polką. Kiedy urosł, wokół jego ust pojawił się bolesny, dziecięcy, słowiański rys. Rzadko się śmiał. Był milczący i uważny.

Od pierwszej chwili żyli razem, jak jednokomórkowe bliźnięta w matczynej macicy. Nie musieli „nawiazywać przyjaźni”, jak zwykli to robić rówieśnicy, pośród śmiesznych i uroczystych ceremonii, z dodającą sobie wagi namiętnością, tak jak to jest, kiedy między ludźmi pojawia się pożądanie, w nieświadomej i karykaturalnej formie, kiedy jeden człowiek po raz pierwszy chce odebrać światu ciało i duszę drugiego człowieka, aby jedno i drugie należało już tylko do niego, tylko do niego. Taki jest przecież sens miłości i przyjaźni.

Przyjaźń ich była tak poważna i pozbawiona słów, jak każde wielkie uczucie, które ma trwać przez całe życie. A w każdym wielkim uczuciu, także i w tym, jest wstyd i świadomość grzechu. Człowiek nie może bezkarnie zabrać innym drugiego człowieka.

Ale wiedzieli również, od pierwszej chwili, że to spotkanie nakłada na nich obowiązek na całe życie. Węgierski chłopiec był szczupły i kruchy, i w owym czasie lekarz badał go co tydzień: niepokojono się o jego płuca. Na prośbę kierownika zakładu, pułkownika z Moraw, przyjechał do Wiednia oficer gwardii, który długo rozmawiał z lekarzami. Z tego wszystkiego, co powiedzieli lekarze, zrozumiał tylko jedno słowo: „niebezpieczeństwo”. Chłopiec, po prawdzie, nie jest chory, orzekli, jedynie ma skłonność do chorowania. Niebezpieczeństwo, powiedzieli, jest natury ogólnej. Oficer gwardii zatrzymał się w cieniu katedry Św. Stefana w zajeździe „U Węgierskiego Króla”, w ciemnej, bocznej uliczce, gdzie już niegdyś zatrzymywał się jego dziad. W korytarzu wisiały jelenie rogi. Posługacz hotelowy powitał oficera gwardii słowami: „Sługa uniżony”. Zamieszkał tu w dwóch pokojach, w dwóch ciemnych, łukowo sklepionych pokojach, zatłoczonych meblami obciążniętymi żółtym jedwabiem. Na ten czas zabrał chłopca do siebie, obaj więc mieszkali w hoteliku, gdzie nad każdymi drzwiami można było odczytać nazwiska częstych i szacownych gości, jakby ten budynek był jakimś świeckim klasztorem dla samotnych panów w monarchii. Przed południem wsiadali do karety i odjeżdżali do Prateru. Oziębilo się już, był początek listopada. Wieczorem szli do teatru – bohaterowie na scenie gestykulowali, rządzili, nadziejali się na miecze. Potem jedli w jakiejś restauracji, w osobnym pokoju, gdzie obsługiwało bardzo wielu kelnerów. Chłopiec jadł obok ojca, z milczącą i aż nazbyt dojrzałą uprzejmością, jakby coś cierpliwie znosił i coś wybaczwał.

– Powiadają, niebezpieczeństwo – odezwał się ojciec po kolacji, raczej do siebie i zapalił grube czarne cygaro. – Jeżeli chcesz, możesz wrócić do domu. Ale wolałbym, żebyś nie bał się żadnego niebezpieczeństwa.

– Nie boję się, tato – powiedział chłopiec. – Ale niech Konrad zawsze będzie z nami. To biedacy. Chciałbym... żeby latem mógł przyjechać do nas...

– To twój przyjaciel? – spytał ojciec.

– Tak.

– A więc jest i moim przyjacielem – powiedział poważnie.

Nosił frak, koszulę z falbanami, ostatnimi czasy już nie wkładał munduru. Chłopiec odetchnął z ulgą. Ojcowskiemu słowu można było ufać. Dokądkolwiek udali się w Wiedniu, wszędzie ich znano; w sklepach – rękawicznik, bieliźniarz, krawiec; w restauracjach, gdzie uroczysty, starszy kelner władał nad ich stołem; także na ulicy, gdzie mijający ich w karetkach kobiety i mężczyźni radośnie machali ku nim ręką.

– Czy tata pójdzie do cesarza? – spytał chłopiec pewnego dnia przed wyjazdem ojca.

– Króla – powiedział ojciec srogo, jakby przywoływał syna do porządku.

Po czym oznajmił:

– Już do niego nie chodzę.

Chłopiec zrozumiał, że pomiędzy nimi coś się wydarzyło. W dniu odjazdu przedstawił ojcu Konrada. Poprzedniego dnia zasnął z bijącym sercem: zupełnie jakby czekały go zaręczyny. „Nie wolno przy nim mówić o królu!” – napominał przyjaciela. Lecz ojciec był wielkoduszny, serdeczny, prawdziwy pan. Jednym uściskiem ręki przyjął Konrada do rodziny.

Od tego dnia chłopiec mniej pokasływał. Już nie był samotny. Nie doskwierała mu samotność wśród ludzi.

Wychowanie, jakie we krwi wyniósł z rodzicielskiego domu, z lasu i z Paryża, z charakteru matki, nakazywało, by człowiek nie mówił o tym, co go boli, lecz znosił ból w milczeniu. Najmądrzej – nauczało – w ogóle się nie odzywać. Ale nie umiał żyć bez miłości. To także otrzymał w spadku. Być może Francuzka wniosła do rodziny pragnienie, by człowiek okazywał komuś swoje uczucia. W rodzinie ojca milczano o czymś takim. Potrzebny był ktoś, kogo mógłby kochać: Nini albo Konrad, a wtedy nie miał gorączki, nie pokasływał, jego szczupłą, bladą twarzyczkę ożywiały entuzjazm i ufność. Byli w tym wieku, kiedy chłopcy jeszcze nie mają określonej płci: jakby się jeszcze nie zdecydowali. Miękkie, jasne włosy, których nienawidził, bo wydawały mu się zbyt dziewczęce, fryzjer co dwa tygodnie strzygł maszynką na zero. Konrad był bardziej męski, spokojniejszy. Szeroko otwierało się przed nimi dzieciństwo i już nie bali się tego okresu, ponieważ nie byli samotni.

Francuska mama, pod koniec pierwszego lata, kiedy chłopcy wsiedli do karety, aby udać się w powrotną drogę do Wiednia, przyglądała się odjeżdżającym od drzwi pałacu. Po czym uśmiechnęła się i rzekła do Nini:

– Nareszcie jakieś udane małżeństwo.

Ale Nini nie uśmiechnęła się. Chłopcy każdego lata przyjeżdżali razem, a później już i Boże Narodzenie spędzali wspólnie w pałacu. Wszystko mieli wspólne, ubrania, bieliznę, w pałacu urządzono im wspólny pokój, jednocześnie czytali tę samą książkę, razem odkrywali Wiedeń i las, książki i polowanie, jeździectwo i żołnierskie cnoty, życie towarzyskie i miłość. Nini bała się, możliwe też, że trochę była zazdrosna. Już cztery lata trwała ta przyjaźń, chłopcy zaczęli stronić od świata, mieli swoje sekrety. Coraz głębszy był ten związek, coraz bardziej spazmatyczny. Generał chwalił się Konradem, bardzo chętnie wszystkim go przedstawiał, jak jakiś twór, jak jakieś arcydzieło, zarazem bał się każdego, bał się, że każdy odbierze mu tego, którego kocha.

– O wiele tego za dużo – powiedziała Nini jego matce. – Któregoś dnia odejdzie od niego. Wtedy będzie bardzo cierpiał.

– To ludzka rzecz – odrzekła matka, usiadła przed lustrem i zadumała się nad swoją wędną urodą. – Pewnego dnia musimy porzucić tego, którego kochamy. Kto tego nie wytrzyma, wcale go nie szkoda, bo to nie jest pełny człowiek.

W Instytucie niedługo szydzono z tej przyjaźni; przyzwyczajono się do niej, jak do

jakiegoś fenomenu natury. Tyle że teraz wymieniano ich pod jednym wspólnym nazwiskiem, jak małżeństwo. „Henrykostwo”. Lecz nie sztydono z tego związku. Z wzajemnego stosunku chłopców coś bowiem promieniowało: delikatność, powaga, bezwzględność, coś ostatecznego, i owo promieniowanie rozbrajało nawet tych skłonnych do szyderstwa. W obrębie każdej ludzkiej wspólnoty zazdrośnie strzeże się takich właśnie związków. Ludzie niczego tak nie pragną, jak bezinteresownej przyjaźni. Pragną beznadziejnie. Chłopcy w Instytucie uciekali bądź to w pychę swojego pochodzenia, bądź w naukę, bądź w zbyt wczesne hulanki, bądź w wyczyny cielesne, bądź też w przedwczesne, chaotyczne i bolesne miłości. Przyjaźń Konrada i Henryka tak jaśniała w owym ludzkim zamęciu, jak blask subtelnej ceremonii średniowiecznego ślubowania. Nic nie jest równie rzadkie pomiędzy młodymi ludźmi jak sympatia, która jest bezinteresowna i nie żąda od drugich pomocy ni ofiary. Młodość zawsze spodziewa się ofiary od tych, w których pokłada swoją nadzieję. Tych dwóch chłopców czuło, że żyją w jakimś nienazwanym, cudownym stanie czegoś w rodzaju łaski.

Nic nie jest równie delikatne, jak taki związek. Wszystko, co życie przynosi z sobą później, wyrafinowane bądź gwałtowne żądze, mocne uczucia, więzy wielkich namiętności, wszystko to jest brutalniejsze, bardziej nieludzkie. Konrad był poważny i wstydlivy, jak każdy prawdziwy mężczyzna, także wtedy, gdy ma dziesięć lat. Kiedy chłopcy zaczęli się stawać wyrostkami, gdy zaczęli świntuszyć i ze smutną chełpliwością roztrząsać sekrety życia dorosłych, Konrad zaprzysiągł Henryka, aby żyli w czystości. Tej przysiędze długo dochowali wierności. Nie było to łatwe. Spowiadali się co dwa tygodnie, razem sporządzali rejestr grzechów. Żądze dawały o sobie znać we krwi, w nerwach, chłopcy byli bladzi, miewali zawroty głowy, gdy zmieniały się pory roku. Ale żyli w czystości, jakby przyjaźń, której obszerny płaszcz okrywał ich młode ciała, odpłacała z nawiązką za to wszystko, co tamtych pozostałych, ciekawskich i niespokojnych, dręczyło niczym febra i pędziło ku mrocznym, podziemnym rewirom życia.

Żyli według ścisłego regulaminu, który ustanowiła praktyka i doświadczenie minionych stuleci. Co rano, z bandażem i w hełmach, z nagimi torsami, przez całą godzinę uprawiali szermierkę w sali gimnastycznej Instytutu. Potem dosiadali koni. Henryk był świetnym jeźdźcem. Konrad rozpaczliwie walczył o utrzymanie równowagi i zachowanie bezpieczeństwa na końskim grzbiecie, jego ciała brakowało dziedzicznej zręczności. Henryk łatwo się uczył, Konrad z trudem, ale to, czego się uczył, chciwie gromadził w pamięci i kurczowo się do tego przywiązywał, jak ktoś, kto wie, że to jest cały jego majątek na tym świecie. Henryk swobodnie poruszał się w towarzystwie, taktownie, zarazem wyniośle, jak ktoś, kogo nic nie zdoła zaskoczyć; Konrad był sztywny, bardzo konwencjonalny. Pewnego lata wybrali się do Galicji, do rodziców Konrada. Byli już wtedy młodymi oficerami. Baron, stary, łysy i uniżony człowiek, którego psychikę przemielila czterdziestoletnia galicyjska służba i niezaspokojone towarzyskie aspiracje pewnej polskiej szlachcianki – pospieszył z

kłopotliwą gotowością służenia młodym panom w zabawie. Miasto było duszne, ze starymi wieżami, ze studnią pośrodku czterokątnego rynku, z ciemnymi pokojami o łukowych sklepieniach. Jego mieszkańcy: Ukraińcy, Niemcy, Żydzi, Rosjanie, żyli w jakimś podnieceniu urzędowo tłumionym przez władze, jakby i w samym mieście, i w niewietrzonych, mrocznych mieszkaniach stale fermentował jakiś proces dojrzewającej rewolucji albo była to tylko żalosna, nędzna i hałaśliwa forma niezadowolenia, tylko jakiś godny współczucia, trajkocący niedosyt, albo i to nie: duszne podniecenie karawanseraju i aura oczekiwania przenikały domy, place, życie w tym mieście. Jedyne kościół katedralny, ze swoją mocną wieżą i szerokimi sklepieniami, spokojnie górował nad tym płątwiskiem krzyku, wrzasku i szeptu, jakby ktoś tutaj ustanowił raz na zawsze pewne prawo, coś ostatecznego i niezmiennego. Chłopcy mieszkali w hotelu, ponieważ mieszkanie barona składało się tylko z trzech pokoi. Pierwszego wieczoru, po obfitej kolacji – po tłustych mięsach i wonnych, ciężkich winach, jakie stary urzędnik, ojciec Konrada, i przywiędła, wypacykowana niczym kakadu fioletowymi i czerwonymi szminkami smutna Polka, jego matka, podawali do stołu w ubogim mieszkaniu, z jakże wzruszającym i smętnym przejęciem, jakby szczęście rzadko bywającego w domu syna zależało od jakości dań – młodzi oficerowie, przed pójściem spać, długo siedzieli w ciemnym kącie hotelowej restauracji, ozdobionej zakurzonymi palmami. Pili ciężkie węgierskie wino z Gór Tokajskich, palili papierosy i milczeli.

– Teraz już ich poznałeś – powiedział Konrad.

– Tak – powiedział syn oficera gwardii w poczuciu winy.

– No więc już wiesz – powiedział pierwszy, delikatnie i spokojnie. – Pomyśl tylko, co się tutaj dzieje z mojego powodu od dwudziestu lat.

– Wiem – powiedział generał i coś ścisnęło mu gardło.

– Każda para rękawiczek – powiedział Konrad – którą musiałbym kupić, gdybyśmy wybrali się razem do Teatru na Zamku, przybywa stąd. Jeżeli jest mi potrzebna nowa uprząż, trzy tygodnie nie jedzą mięsa. Gdy ja na jakimś wieczorku daję napiwek, mój ojciec przez tydzień odmawia sobie cygara. I tak to trwa od dwudziestu lat. Nigdy niczego mi nie zabrakło. Gdzieś tam daleko w Polsce, przy rosyjskiej granicy, jest pewien dwór. Nigdy go nie widziałem. Należał do mojej matki. Wszystko przychodziło z tego dworu: pieniądze na mundur, chesne, na bilety do teatru, na bukiet, jaki posłałem twojej matce, kiedy przejeżdżała przez Wiedeń, na opłatę za egzamin, na koszty związane z pojedynkiem, jaki musiałem stoczyć z Bawarczykiem. Wszystko, przez dwadzieścia lat. Najpierw wyprzedali meble, potem sad, ziemię, dom. Potem poświęcili zdrowie, wygodę, spokój na stare lata, aspiracje towarzyskie mojej matki i to, by mieć o jeden pokój więcej w tym parszywym mieście, i aby w tym pokoju stały porządne meble, i żeby czasem móc w nim kogoś gościć. Rozumiesz?

– Wybacz – powiedział generał poruszony i blady.

– Nie gniewam się – rzekł przyjaciel, bardzo poważnie. – Chciałem tylko, żebyś o tym

wiedział, żebyś to kiedyś zobaczył. Kiedy Bawarczyk ruszył na mnie z wyciągniętą szablą i głupkowato nią wywijał, wesolutki, jakby to był przedni żart, że z próżności porąbiemy się tak, iż obaj zostaniemy kalekami, zobaczyłem twarz mojej matki, kiedy co rano spieszy na targ sama, by kucharka nie oszukała jej na dwa filery, bo dwa filery to pod koniec roku będzie pięć forintów, które może mi wysłać w liście... I wtedy naprawdę potrafiłbym zabić Bawarczyka, który z próżności chciał mnie zranić i nie wiedział, że każde zadraśnięcie, jakie mi zadaje, jest śmiertelnym grzechem przeciwko dwojgu ludziom, którzy w Galicji, bez słowa skargi, poświęcają dla mnie swoje życie. Kiedy daję napiwek lokajowi w waszym domu, trwonię coś z ich życia. Bardzo ciężko jest tak żyć – zakończył i poczerwieniał.

– Dlaczego? – cicho spytał ten drugi. – Nie sądzisz, że jest im z tym bardzo dobrze?...

– Im, może. – Chłopiec umilkł. Nigdy do tej pory nie mówił o tym. Teraz to wyrzekł, zacinając się, i nie śmiał spojrzeć przyjacielowi w oczy. – Ale mnie jest ciężko tak żyć. Jakbym nie należał do siebie. Kiedy choruję, ogarnia mnie przerażenie, że trwonię cudzą własność, coś, co nie w pełni jest moje, moje zdrowie. Jestem żołnierzem, wychowano mnie tak, abym potrafił zabijać i abym mógł zabić samego siebie. Na to przysięgałem. Ale po co oni znoszą to wszystko, skoro mnie zabiją? Już teraz rozumiesz?... Od dwudziestu lat żyją w tym mieście, gdzie wszędzie panuje taki zaduch jak w jakimś nie wysprzątanym mieszkaniu, w którym kwaterowały przejeżdżające tędy karawany... zapach jada i tanich trunków, i nie wietrzanej pościeli. Tutaj żyją, w milczeniu. Ojciec od dwudziestu lat nie był we Wiedniu, gdzie urodził się i wychował. Od dwudziestu lat żadnej podróży, żadnej zbytecznej sztuki odzieży, żadnej wycieczki latem, ponieważ ze mnie trzeba zrobić arcydzieło, coś, do czego oni, w swoim własnym życiu, byli za słabi. Czasami, gdy mam coś zrobić, ręka zamiera mi w powietrzu. Wiecznie ta odpowiedzialność. Już nawet pragnąłem ich śmierci – powiedział zupełnie cicho.

– Tak – rzekł z powagą generał.

Cztery dni pozostali w tym mieście. Kiedy wyjeżdżali, po raz pierwszy w swoim życiu poczuli wyraźnie, że coś zdarzyło się między nimi. Jakby jeden drugiemu był coś winien. Coś, czego nie można było wyrazić słowami.

6

Konrad wszakże miał pewną kryjówkę, do której jego przyjaciel nie miał dostępu: muzykę; tajemnicze miejsce, do którego nie sięga ręka zewnętrznego świata. Henryk nie miał słuchu, zadowalał się muzyką cygańską i wiedeńskimi walcami.

W Instytucie nie rozmawiano o muzyce, raczej ją wybaczano i tolerowano, zarówno wychowawcy jak i studenci mieli ją za swego rodzaju młodzieńczą manię. Każdy ma swoją słabostkę. Jeden hoduje psy, za wszelką cenę, inny jeździ konno. Lepsze to, niż by miał grać w karty, uważano. Bezpieczniejsze niż kobiety, uważano.

Ale generał czasami podejrzewał, że muzyka wcale nie jest taką bezpieczną namiętnością. W Instytucie naturalnie nie tolerowano owego buntu, buntu muzyki. Wyrobienie w wychowanku pojęcia o muzyce należało wszak do programu wychowania, lecz przecież tylko w zakresie podstawowym. O muzyce wiedziano jedynie tyle, że konieczne są do niej trąbki, a przed trębaczami kroczy kapelmistrz i co jakiś czas podnosi w górę srebrną pałeczkę. Za muzykantami kucyk dźwigał bęben. Ta muzyka była głośna i przepisowa, utrzymywała w korbach krok oddziału, przyciągała na ulicę ludność cywilną i była niezbędnym elementem wszelkiego rodzaju parad. Człowiek kroczył sprężystej, gdy słyszał muzykę, i to było wszystko. Niekiedy muzyka była żartobliwa, niekiedy nadęta i uroczysta. A zresztą nikt się nią nie przejmował.

Konrad jednak zawsze bladł, kiedy słuchał muzyki. Wszelkiego rodzaju muzyka, także najpospolitsza, dotykała go tak dojmująco, jak cielesny atak. Bladł, usta zaczynały mu drżeć. Muzyka coś mu mówiła, czego inni nie mogli zrozumieć. Prawdopodobnie melodie nie przemawiały mu do rozumu. Rygor, w jakim żył, wychowywał się, za cenę którego zdobywał pozycję w świecie, który przyjął dobrowolnie, jak wierzący winę i pokutę, w takich chwilach rozluźniał się, jakby w jego ciele słabła owa napięta, sztywna postawa. Jak podczas parady wojskowej, po długim, męczącym przemarszu krokiem defiladowym, raptem dają komendę „spocznij!”. Ale usta zaczynały mu drżeć, jakby chciał coś powiedzieć. Wtedy zapominał, gdzie jest, oczy mu się śmiały, patrzył przed siebie, nie widział otoczenia: zwierzchników, kolegów, pięknych dam ani publiczności w teatrze. Całym ciałem słuchał muzyki, tak pożądliwie, jak skazaniec w więzieniu wsłuchuje się w daleki odgłos kroków, które być może

przynoszą wieść o wolności. W takich przypadkach nie słyszał, gdy się do niego mówiło. Muzyka otwierała przed nim dookolny świat, na kilka chwil zmieniała wszystkie reguły fałszywej ugody, w takich chwilach Konrad nie był żołnierzem.

Pewnego lata, wieczorem, kiedy w pałacu grał na cztery ręce z matką generała, coś się wydarzyło. Siedzieli w dużej sali, przed kolacją; oficer gwardii i jego syn w jednym z rogów komnaty uprzejmie słuchali muzyki, z tą cierpliwością i rutyną, o której zapewne ktoś myślał mówiąc, iż „życie jest obowiązkiem, trzeba więc ścierpieć i muzykę”. Hrabina grała żarliwie, wykonywali „Poloneza-fantazję” Chopina. W pokoju jakby wszystko poruszyło się. Ojciec i syn w fotelach, pogrążeni w uprzejmym i cierpliwym oczekiwaniu, także poczuli, że w dwóch ciałach – w ciele Konrada i matki – coś się dzieje. Jakby zbuntowana muzyka uniosła meble, jakby jakaś siła za oknem załopotowała ciężką, jedwabną zasłoną, jakby to wszystko, co pogrzebały ludzkie serca, co jest galaretowate i zjełczałe, zaczęło żyć, jakby ukryty w sercu każdego człowieka odezwał się jakiś śmiertelny rytm, który w pewnej chwili życia zaczyna uderzać z jakąś ostateczną siłą. Dwaj uprzejmi słuchacze zrozumieli, że muzyka jest niebezpieczna. Lecz tamtych dwoje przy fortepianie, matka i Konrad, już nie przejmowali się żadnym niebezpieczeństwem. „Polonez-fantazja” był jedynie pretekstem, aby wyzwolić w świecie siły, które poruszą i wysadzą w powietrze to wszystko, co ludzki porządek tak skrętnie ukrywa. Przy fortepianie siedzieli w takim zapamiętaniu, z wyprostowanymi – przy lekkim odchyleniu – naprężonymi ciałami, jakby muzyka miotła niewidocznym, legendarnym ognistym rydwanem zaprzęgniętym w rumaki i tylko oni dwoje, w zawierusze i zawrotnym pędzie ponad ziemią, usztywnionymi torsami i silnymi rękami pewnie trzymają wodze wyzwolonych żywiołów. Wreszcie, po jednym zgodnym akordzie, umilkli. Promień wieczornego słońca wpadł przez dwuskrzydłowe okno, w snopie światła wirował złoty pył, jakby muzyka, pędząc w ślad za rumakami zaprzęgniętymi do niebiańskiego rydwanu, wzbija kurz na niebieskiej drodze, która prowadzi donikąd, w zatracenie.

– Chopin – powiedziała Francuzka i ciężko westchnęła. – Jego ojciec był Francuzem.

– A matka Polką – powiedział Konrad i z głową odchyloną w bok wyjrzał przez okno. – Spokrewniona z moją matką – powiedział mimochodem, jakby go krępował ten związek.

Wszyscy troje to spostrzegli, ponieważ w jego głosie zabrzmiał taki smutek, jak w intonacji wygnańców, kiedy rozmawiają o domu rodzinnym i tęsknocie za ojczyzną. Oficer gwardii bardzo uważnie, nieco nachyliwszy się do przodu, wpatrywał się w przyjaciela syna, jakby teraz zobaczył go po raz pierwszy. Wieczorem, kiedy sam z synem pozostał w palarni, powiedział mu:

– Konrad nigdy nie będzie żołnierzem.

– Dlaczego? – spytał przestraszony chłopak.

Lecz wiedział, że ojciec ma rację. Oficer gwardii wzruszył ramionami. Palił cygaro, siedział przed kominkiem z wyciągniętymi nogami, obserwował dym z cygara. Ze spokojem człowieka, który zna się na rzeczy, z poczuciem wyższości, powiedział:

– Bo to jest człowiek innego rodzaju.

Ojciec już nie żył, minęło wiele lat, kiedy generał zrozumiał to zdanie.

Człowiek zawsze zna prawdę, tę inną prawdę, którą ukrywają okoliczności życia, rola, kostiumy. Dwaj młodzieńcy wychowywali się razem, razem składali przysięgę, razem mieszkali przez te wszystkie wiedeńskie lata, ponieważ oficer gwardii znalazł sposób, aby jego syn i Konrad odbywali pierwsze lata służby w pobliżu dworu. Wynajęli mieszkanie w sąsiedztwie schönbrunnskiego ogrodu, na pierwszym piętrze wąskiego domu o szarej fasadzie. Okna owego mieszkania wychodziły na duszny, wąski i długi ogród, wypełniony renklodami. Mieli tam trzy pokoje, które odnajmowała im głucha wdowa po pułkowym lekarzu. Konrad wynajął fortepian, lecz rzadko grywał; jakby się bał muzyki. Żyli tam jak bracia i syn oficera gwardii niekiedy z niepokojem wyczuwał, że przyjaciel ma swoją tajemnicę.

Konrad był „człowiekiem innego rodzaju” i nie można było drogą pytań przybliżyć się do jego tajemnicy. Zawsze spokojny. Nigdy nie polemizował. Tak żył, tak wypełniał swoją służbę, tak obcował z towarzyszami broni, tak bywał w świecie i w towarzystwie, jakby służba wojskowa nigdy nie miała się skończyć, jakby życie było jedynie służbą i stosowaniem regulaminu, nie tylko w dzień, ale i w nocy. Byli młodymi oficerami i syn oficera gwardii niekiedy dostrzegał, że Konrad żyje jak zakonnik. Jakby nie żył na świecie. Jakby po przepisowych godzinach służby zaczynała się dla niego inna służba, bardziej skomplikowana, bardziej odpowiedzialna niż służba młodego zakonnika, bowiem czasu służby nie wyznaczały jedynie modlitwa i nabożne ceremonie, lecz samotność i przytomność umysłu, tak, nawet we śnie. Bał się muzyki, z którą miał jakąś tajemniczą więź, i nie była to jedynie więź świadomości, ale i ciała: jakby głębszy sens muzyki był czymś w rodzaju nieodwołalnego nakazu, który odsuwa go od kariery, coś w nim łamie. Rano razem jeździli konno na Praterze albo na szkolnym hipodromie, potem Konrad zdawał służbę, wracał do mieszkania na Hietzingu i bywało, że całymi tygodniami nie ruszał się wieczorem z domu. W starych domach palono jeszcze lampy naftowe albo świece; syn oficera gwardii prawie zawsze wracał do domu po północy, z balu albo z towarzyskiego spotkania, i już z ulicy, z dorożki, widział w oknie pokoju przyjaciela nieśmiałą, pełną wyrzutów jasność słabego światła. W tajemniczym sygnale jasnego okna było coś oskarżycielskiego. Syn oficera gwardii dał

dorożkarzowi monetę, przystanął na cichej ulicy przed starą bramą, ściągnął rękawiczki, wyjął klucz od bramy i poczuł się tak, jakby odrobinę zdradził wieczór i przyjaciela. Przybywał ze świata, gdzie cicho grano, w restauracjach i w salach balowych, w lokalach śródmieścia: ale inaczej niż lubił przyjaciel. Grano, aby życie było przyjemniejsze i bardziej uroczyste, by oczy kobiet błyszczały i aby skrzyła się próżność mężczyzn. Dlatego w mieście grano w tych miejscach, gdzie syn oficera gwardii spędzał noce swych młodych lat. Lecz muzyka, jaką kochał Konrad, nie chciała przynosić zapomnienia, dotykała w ludziach ich namiętności, budziła poczucie winy, chciała, aby życie w ludzkich sercach i w ludzkiej świadomości było prawdziwsze. Taka muzyka jest groźna, myślał, i zaczął, z przekory, cicho pogwizdywać walczyka. Owego roku we Wiedniu, wszędzie gwizdano walca pewnego modnego kompozytora, młodego Straussa. Odszukał klucz, otworzył wolno i ociężale rozwierającą się wielusetletnią bramę, przeszedł przez oświetloną ciemnym kagankiem wybrzuszoną suteroną zatechłej, sklepionej łukowo klatki schodowej, na chwilę przystanął i przyjrzał się ogrodowi, który białą plamą spoczywał w zaśnieżonym blasku księżyca, jakby ktoś kredą wyznaczył mu miejsce pomiędzy czarnymi konturami rzeczy i zjawisk. Wszystko to było łagodne. Wiedeń już spał. Spał głęboko, i padał śnieg. Cesarz także już spał w Burgu, spało pięćdziesiąt milionów ludzi w krajach cesarza. Syn oficera gwardii czuł, że on też ma coś wspólnego z tą ciszą, on także czuwa nad snem cesarza i pięćdziesięciu milionów ludzi, i nad ich bezpieczeństwem, czuwa nawet wtedy, gdy nie robi nic innego, a jedynie nosi ze czcią mundur, wieczorami bywa w towarzystwie, słucha walców, pije czerwone francuskie wino, oraz damom i dostojnym panom mówi dokładnie to, czego od niego oczekują. Syn oficera gwardii czuł, że jest posłuszny, pisany i niepisany, bardzo mocnym nakazom, i pełni służbę w koszarach tego posłuszeństwa zarówno na placu ćwiczeń jak i w salonach. Z tego uczucia zostało zbudowane bezpieczeństwo pięćdziesięciu milionów: że oto cesarz kładzie się przed północą, a już o piątej rano wstaje, w blasku świecy zasiada w amerykańskim fotelu z plecionej trzciny, przy biurku, a ci, którzy przysięgali na jego imię, ci wszyscy są posłuszni obyczajom i prawom. Naturalnie, trzeba być posłusznym głębiej, niż to określają prawa. Człowiek nosił w sercu posłuszeństwo i to było najważniejsze. Człowiek musiał wierzyć, że wszystko jest na swoim miejscu. Owego roku mieli po dwadzieścia dwa lata, syn oficera gwardii i jego przyjaciel. Żyli w Wiedniu, byli młodymi oficerami.

Syn oficera gwardii wspinał się po zbutwiałych schodach i cicho wygwizdywał melodię jakiegoś walca. Wszystko w tym domu było cokolwiek stęchłe: pokoje, klatka schodowa, ale także odrobinę pachnące, jakby po pokojach rozszedł się słodki zapach syropu ze słoików konfitur. Tamtej zimy karnawał w Wiedniu wybuchł jak jakaś lekka i przyjemna zaraza. Co wieczór tańczono przy unoszących się w powietrzu motyliach blaskach gazowych płomieni, w złotych i białych salach. Śnieg padał obficie i dorożkarze bezszelestnie wozili zakochanych. Wiedeń tańczył wśród śnieżnej zimy; syn oficera gwardii w każde przedpołudnie udawał się do maneżu i przyglądał się ćwiczeniom hiszpańskich jeźdźców i białych lipcańskich koni. W

ciałach tych zwierząt i jeźdźców ujawniała się swego rodzaju wytworność i szlachetność, jakaś grzeszna przyjemność i poczucie rytmu, niczym w świadomości odwiecznej duszy i szlachetnego ciała. Potem szedł na spacer, bo był młody. W śródmieściu wystawał przed sklepami, gapił się, jak ci, co na zabawie podpierając ściany gapią się na tańczące pary; poznawali go starzy fiakrzy i kelnerzy, ponieważ był podobny do ojca. Wielka to była rodzina, Wiedeń, Imperium, Węgrzy, Niemcy, Morawianie, Czesi, Serbowie, Horwaci i Włosi, a wewnątrz tej wielkiej rodziny każdy czuł w sekrecie, że pośród tych awanturniczych żądz, skłonności i porywów, jedynie cesarz potrafi utrzymać porządek, on, który jednocześnie był nadterminowym sierżantem i majestatem, urzędnikiem państwowym w żakiecie z lustryny i *grand signeurem*, kimś nieokrzesanym i osobą panującą. Wiedeń był w dobrym humorze. W stęchłych, o łukowych sklepieniach śródmiejskich szynkach, odmierzano najlepsze piwo świata, a na głos dzwonu w południe miasto wypełniał zapach gulaszu wołowego, rozlewając po ulicach i w duszach uczucia takiej uprzejmości i serdeczności, jakby pokój na świecie był nieprzemijający. Kobiety nosiły czarne futrzane mufki, kapelusze z piórami, a ich noski i oczy połyskiwały zza woalek osłaniających twarze, gdy padał śnieg. O czwartej po południu w kawiarniach zapalano gazowe lampy i podawano pieniącą się kawę, generałowie i urzędnicy siedzieli przy stołach dla stałych gości, kobiety z zaczerwienionymi twarzami kryły się w głębi dorożek i spieszyły do kawalerek opalanych drzewem, bowiem był karnawał, i miłość tak wrzała i władała miastem, jakby agenci jakiegoś olbrzymiego sprzysiężenia, które omotało wszystkie klasy społeczne, podburzali i niepokoili dusze. Na godzinę przed otwarciem teatru, w piwnicy miejskiej rezydencji księcia Esterhazy'ego, zbierali się na sekretne spotkanie amatorzy ognistych win, u Sachera nakrywano już w osobnym gabinecie stół dla arcyksiążąt, a w zadymionych i dusznych izbach piwnicy opactwa, otwartej w sąsiedztwie katedry Św. Stefana, polscy panowie podnieceni i smutni pili mocną palinkę, ponieważ ich ojczyzna nie była szczęśliwa. Poza tym trafiały się takie godziny owej zimy we Wiedniu, kiedy wydawało się, że wszyscy są szczęśliwi. Myślał o tym syn oficera gwardii, cicho pogwizdując i uśmiechając się. W przedpokoju poczuł dotknięcie ciepła kaflowego pieca, jak uścisk ręki kogoś z bliskich krewnych. Wszystko w tym mieście było takie rozległe, a do tego wszystko i każdy był na swoim miejscu: arcyksiężęta i ludzie trochę nieokrzesani, dozorczy domów i tajemniczy beneficjanci oraz ludzie natrętnie demonstrujący swoją pozycję, wszyscy mieścili się w hierarchii, nieskończonej i przyjaznej ludziom. Służący odskoczył od pieca, jedną ręką odebrał od pana płaszcz, czako i rękawiczki, drugą zdjął z ciepłej półki kaflowego pieca francuskie czerwone wino; jego pan każdego wieczora, przed pójściem spać, wypijał kieliszek, jakby rozważnym słowem ciężkiego burgunda chciał pożegnać się z dniem i błahymi wspomnieniami wieczoru. Także i teraz służący szedł za nim do pokoju Konrada, niosąc butelkę na srebrnej tacy.

Niekiedy rozmawiali tak do samego rana, w półmroku pokoju, dopóki nie wygasł piec, a syn oficera gwardii nie opróżnił butelki burgunda do ostatniej kropli. Konrad mówił o swoich

lekturach, syn oficera gwardii o życiu. Konrad nie miał pieniędzy na życie. Posada w wojsku, ze wszystkimi subtelnościami i powikłanymi konsekwencjami, z mundurem i stopniem oficerskim, była dla niego posadą uciążliwą. Syn oficera gwardii czuł, że ich przyjaźń i sojusz, który był skomplikowany i kruchy, jak każdy podarowany przez los ludzki związek, trzeba uniezależnić od pieniędzy, trzeba uwolnić od zazdrości i bodaj cienia nietaktu. To nie było łatwe. Bracia mówili o tym głośno. Syn oficera gwardii cicho błagał, by Konrad zechciał dzielić z nim majątek, z którym, po prawdzie, nie wiedział co począć. Konrad tłumaczył mu, że nie może przyjąć jednego filera. I obaj wiedzieli, że taka jest prawda: syn oficera gwardii nie mógł dać pieniędzy Konradowi i musiał pogodzić się z tym, że bywa w świecie, stosownie do swojej pozycji i nazwiska, a Konrad tutaj, w mieszkaniu na Hietzingu, o siódmej wieczorem je na kolację jajecznicę i osobiście liczy sztuki bielizny przyniesione z pralni. Ale nie to było ważne. O wiele bardziej napawało go lękiem to, że należało uratować tę przyjaźń, na całe życie. Konrad szybko się starzał. Już w dwudziestym piątym roku życia zakładał okulary do czytania. I kiedy przyjaciel powracał nocą z Wiednia i ze świata – w odorze tytoniu i wody kolońskiej, trochę rozczochrany i młodzieńczo wielkoświatowy, cicho i długo rozmawiali, jak współnicy przestępstwa, jakby Konrad był czarodziejem, który siedzi w domu, łamie sobie głowę nad znaczeniem ludzi i zjawisk, podczas gdy jego famulus bywa w świecie i zbiera sekretne wiadomości o ludzkim życiu. Konrad najchętniej czytał angielskie książki, o historii współżycia ludzi, o społecznej ewolucji. Syn oficera gwardii chętnie czytywał jedynie o koniach i podróżach. A ponieważ kochali się, jeden drugiemu wybaczał grzech pierworodny: Konrad przyjacielowi majątek, syn oficera gwardii – ubóstwo Konradowi.

Ta „inność”, o której mówił ojciec, gdy Konrad i hrabina grali „Poloneza-fantazję”, dała Konradowi władzę nad duszą przyjaciela.

Co było tej władzy sensem? W każdej ludzkiej władzy jest odrobina subtelnej i ledwie wyczuwalnej pogardy dla tych, nad którymi panujemy. Nad ludzką duszą jedynie wtedy potrafimy sprawować całkowitą władzę, gdy poznamy, zrozumiemy i bardzo taktownie wzgardzimy tymi, którzy są zmuszeni ulec. Owe nocne rozmowy w domu na Hietzingu z czasem przybrały ton dysputy mistrza z uczniem. Jak każdy człowiek, którego wrodzona skłonność i okoliczności zmuszają przed czasem do samotności, tak i Konrad, tym swoim lekko szyderczym, łagodnie lekceważącym i jednocześnie okazującym bezradne zainteresowanie, głosem, mówił o świecie, jakby to wszystko, co tam, na tamtym brzegu można dostrzec, ciekawiło jedynie dzieci i istoty jeszcze mniej zorientowane od dzieci. Ale w jego głosie wyczuwało się tęsknotę za ojczyzną: młodość zawsze czuje tęsknotę za ojczyzną, wiecznie tęskni za podejrzanym, obojętnym i budzącym lęk domem, któremu na imię świat. I kiedy Konrad bardzo po przyjacielsku i wyniośle, żartobliwie i nawiasem pokpiwał sobie z syna oficera gwardii za to wszystko, czego doznawał w świecie, to przecież w jego głosie wyczuwało się spragnione i pożądliwe przelknięcie śliny.

Tak żyli w iskrzącym się załamaniu światła młodości, grając rolę, która była również profesją, i jednocześnie dawała życiu wewnętrzną postawę, przydając mu napięcia. Kobięce ręce także pukały do drzwi mieszkania na Hietzingu, delikatnie, nie bez wzruszenia, i mile. Tak właśnie pewnego dnia zapukała Weronika, tancerka – generał na jej wspomnienie przeciera oczy, jak ktoś, kto ocknął się ze snu, i z roztargnieniem sobie przypomina. Ach, tak, Weronika. A potem Angela, młoda wdowa po lekarzu sztabowym, która najbardziej ze wszystkiego lubiła konne wyścigi. Ależ nie, to jednak Weronika, tancerka. Mieszkała w mansardzie bardzo starej kamienicy przy ulicy Trzech Podków, w atelier, którego nigdy nie można było dobrze ogrzać. Lecz jedynie tutaj potrafiła żyć, w atelier, gdzie przestrzeń posłusznie dawała pole krokom i obrotom w trakcie ćwiczeń. Salę o silnym pogłosie ozdabiały zakurzone bukiety Makarta oraz obrazy zwierząt, które poprzedni podnajemca atelier, pewien styryjski malarz, pozostawił właścicielowi tytułem zaległego czynszu. Najchętniej malował owce: z każdego kąta wielkiej sali pytającym spojrzeniem wodnistoszkłanych zwierzęcych oczu gapiły się na gości smutne owce. Tutaj żyła Weronika, tancerka, pośród zakurzonych firanek i starych mebli o wystrzępionych obiciach. Już klatkę schodową przenikały silne zapachy perfum, opary olejku różanego i francuskich wód. W pewien letni wieczór wybrali się na kolację, we troje. Teraz przypominał to sobie wyraźnie, jakby badał obraz przez szkło powiększające. Jedli kolację w jednej z restauracji w podwiedeńskim lesie. Przyjechali tam powozem, przez parne, pachnące listowiem lasy. Tancerka nosiła florencki kapelusz z szerokim rondem, białe, szydełkowe rękawiczki naciągnięte po łokcie, różową jedwabną suknię, dopasowaną w talii, i czarne jedwabne półbuciki. W tym swoim okropnym guście także była doskonała. Po kamienistej drodze, pośród liści, stąpała tak niepewnie, jakby każdy ziemski krok, który prowadzi do jakiegoś konkretnego celu, na przykład do restauracji, był niegodny jej nóg. Tak jak na strunach stradivariusa nie wypada rzępolić w winiarni, tak ona strzegła swych nóg, tych arcydzieł, których jedynym celem i sensem mógł być tylko taniec, zniesienie praw grawitacji, rozbicie smutnej spoistości ciała. Kolację zjedli na podwórzu pewnego wiejskiego domu porośniętego dzikim winem, przy świetle świecy osłoniętej szklanym kloszem. Pili lekkie czerwone wino, a młoda kobieta często się śmiała. Kiedy księżycową nocą wracali do domu i ze zbocza wzgórza, z głębi powozu, ujrzeli lśniąca w białej poświacie miasto, Weronika bezwiednie objęła ich obu. Była to chwila szczęścia, chwila poza świadomością, chwila czystego istnienia. W milczeniu towarzyszyli tancerce do domu w śródmieściu, pocałunkiem w rękę pożegnali ją w spróchniałej bramie. Weronika. I Angela. Ta od koni. I wszystkie inne, które z kwiatem we włosach wirowały w tanecznym korowodzie... pozostały po nich wstążki, listy, kwiaty i po jednej rękawiczce. Te kobiety wniosły do ich życia pierwszą miłosną ekstazę, i to wszystko, co oznacza miłość: pożądanie, zazdrość i pełną rozterki samotność. Lecz ponad kobietami, ponad obowiązkiem, ponad światem jaśniało pewne uczucie, które było silniejsze od wszystkiego. To uczucie znają tylko mężczyźni. Na imię mu przyjaźń.

8

Generał przebrał się. Ubierał się sam; wyjął z szafy galowy mundur, długo mu się przyglądał. Już od dziesięciu lat nie miał na sobie munduru. Otworzył szufladę, poszukał swoich odznaczeń, oglądał ordery przechowywane w futerale wyściełanym czerwonym, zielonym i białym jedwabiem. Gdy tak brał do ręki i obmacywał brązowe, srebrne i złote medale, widział pewien przyczółek mostowy, wzdłuż Dniepru, pamiętną paradę w Wiedniu, przyjęcie na peszteńskim zamku. Wzruszył ramionami. Co mu życie dało? Obowiązek i pustotę. Roztargniony, wsypał ordery z powrotem do szuflady, jak gracz pstre żetony po wielkiej rozgrywce.

Włożył czarny garnitur, zawiązał pikowy krawat i zwilżoną w wodzie szczotką przygładził szczeciniaste włosy. W ostatnich latach, każdego wieczora nosił to surowe jak sutanna ubranie. Podeszedł do stołu i niezdecydowaną, starczo drżącą ręką wyjął z portmonetki mały kluczyk i otworzył nim długą, głęboką szufladę. Z sekretnej przegródki w szufladzie wyjął parę przedmiotów: belgijski pistolet, paczkę listów przewiązanych niebieską wstążką i oprawiony w żółty aksamit, cienki tomik, na którego karcie tytułowej wydrukowano złotymi literami: *Souvenir*. Długo trzymał w rękach tomik, przez którego okładkę przewleczono niebieską wstążkę i zamknięto na identyczną pieczęć. Następnie drobiazgowo, wprawnymi ruchami, sprawdził pistolet. Był to stary rewolwer sześciostrzałowy. Każdy z sześciu pocisków był na swoim miejscu. Wrzucił broń z powrotem do szuflady i uczynił to tak, jakby rzecz całą bagatelizował; wzruszył ramionami. Książeczkę oprawioną w żółty aksamit wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Podeszedł do okna i otworzył okiennice. Gdy spał, na ogród spadła ulewa. Pomiedzy drzewami wiał chłodny wiatr, wilgotne liście platana tłusto połyskiwały. Już zmierzchało. Stał przy oknie nieporuszony, z rękami założonymi na piersi. Przyglądał się okolicy, dolinie, lasowi, żółtej drodze na dole, w głębi – zarysom miasta. Oczyrna nawykłymi do dużych odległości rozpoznał chyżo zbliżający się powóz. Gość był już na alei prowadzącej do pałacu.

Wciąż nieruchomy patrzył na ruchliwy obiekt z twarzą pozbawioną wyrazu, przymknąwszy jedno oko, jak myśliwy, kiedy celuje.

Minęła godzina siódma, kiedy generał wyszedł z gabinetu. Opierając się na spacerowej lasce o uchwycie z kości słoniowej, szedł powoli, krok za krokiem, długim korytarzem, który łączył to skrzydło pałacu: pokoje mieszkalne z dużymi salami, świetlicą, pokojem muzycznym i salonami. Ściany korytarza pokrywały stare portrety: przodkowie, prapradziadkowie i praprababki, znajomi, dawni pracownicy, towarzysze pułkowi; portrety owoczesnych co sławniejszych pałacowych gości były oprawione w pozłacane ramy. W rodzinie generała była taka tradycja, iż w pałacu utrzymywano także domowego malarza: takiego, co był tu przejazdem, wędrownych portrecistów, ale i sławniejszych, jak praskiego artystę S., który w czasach dziadka generała spędził tutaj osiem lat i namalował każdego, kto nawinął mu się pod pędzel, majordomusa i co znaczniejsze konie. Ofiarą pędzla błakających się, przygodnych artystów padali prapradziadkowie i praprababki: i oto spoglądali z wysoka szklanym wzrokiem, w galowych strojach. Potem następowało kilka spokojnych, poważnych męskich twarzy, byli to rówieśnicy oficera gwardii, prawdziwi mężczyźni, z węgierskim wąsem, z włosami zaczesanymi w ślimaka na czole, w czarnym odświętnym ubraniu lub w żołnierskim galowym mundurze. To było dobre pokolenie, myślał generał i przyglądał się podobiznom krewnych ojca, przyjaciół i kolegów z pułku. To było dobre pokolenie, cokolwiek osamotniony gatunek ludzi, którzy nie umieli szczęśliwie zmieszać się ze światem, byli dumni, lecz wierzyli w coś: w honor, w męskie cnoty, w milczenie, w samotność i w dane słowo, także w kobiety. I kiedy doznawali zawodu, milkli. Większość milczała przez całe życie, oddając się obowiązkom i milczeniu, niczym zakonnym ślubom. W końcu korytarza wisiały obrazy francuskie: stare francuskie damy z wypudrowanymi ozdobami na głowach, portrety tłustych, obcych panów w perukach, o ustach żądnych rozkoszy, daleka rodzina jego matki, ludzkie twarze prześwitujące z tłem o różowych i gołębih odcieniach. Obcy ludzie. A potem portret ojca, w mundurze oficera gwardii. I jeden z portretów mamy, w kapeluszu z piórami, ze szpicrutą w ręce, jak wołyżerka. A teraz, zamiast portretu, następowała czterometrowa próżnia na ścianie: bladoszara smuga obrębiała białe tło i pokazywała, że tutaj też kiedyś wisiał obraz. Generał, z niewzruszoną twarzą, przeszedł przed pustym czworokątem. Dalej już były same pejzaże. W końcu korytarza stała niania, w czarnej

sukni, w nowiusieńkim, wykrochmalonym białym czepku na drobnej ptasiej głowie.

– Patrzysz na obrazy? – powiedziała.

– Tak.

– Nie chcesz, żebyśmy tu z powrotem zawiesili obraz? – spytała spokojnie i z otwartością właściwą starym ludziom pokazała na ścianie miejsce po brakującym obrazie.

– A jest jeszcze? – spytał generał.

Niania skinęła potakująco, że strzeże obrazu.

– Nie – powiedział po krótkiej przerwie. Potem, już ciszej: – Nie wiedziałem, że jeszcze go chronisz. Myślałem, że go spaliłaś.

– Palić obrazy – powiedziała niania ostrym, cienkim głosem – to nie ma żadnego sensu.

– Nie ma – powiedział generał w zaufaniu, tak jak człowiek zwraca się tylko do swojej niani. – Nic od tego nie zależy.

Obrócili się w stronę dużej klatki schodowej, spojrzeli z góry w jej głąb, tam gdzie w westybulu lokaj i pokojówka umieszczali kwiaty w kryształowych wazonach.

Pałac, w minionych kilku godzinach zaczął żyć, jak mechanizm, który nakręcono. Nie tylko meble zaczęły żyć, fotele i sofy uwolnione od letnich płóciennych prochowców, ale i obrazy na ścianach, wielkie żelazne świeczniki, ozdobne przedmioty w oszklonych szafach i na gzysie kominka. W kominku polana przygotowane do podpalenia, ponieważ po północy, wilgotnymi, oślizgłymi krokami wchodziły do pokoi chłodne opary kończącego się lata. Przedmioty, jakby nagle nabrały sensu i chciały udowodnić, że wszystko na świecie ma sens tylko wtedy, gdy ma coś wspólnego z ludźmi, gdy jest częścią składową ludzkiego losu i ludzkiego działania. Generał patrzył na obszerny westybul, na kwiaty ustawione na stole przy kominku, na rozmieszczenie foteli.

– To krzesło obite skórą – powiedział – stało po prawej stronie.

– Pamiętasz? – spytała niania i mrugnęła.

– Tak – powiedział. – Tutaj siedział Konrad, pod zegarem, przy ogniu. Pośrodku, naprzeciwko kominka, na florenckim krześle siedziałem ja. Krystyna siedziała naprzeciwko, w fotelu, który przywiozła jeszcze moja matka.

– Dokładnie pamiętasz – powiedziała niania.

– Tak. – Generał oparł się o poręcz schodów i spojrzął na dół, w głąb westybulu. – W niebieskim kryształowym wazonie były dalie. Przed czterdziestu jeden laty.

– A więc pamiętasz, to pewne – powiedziała niania i westchnęła.

– Pamiętam – powiedział spokojnie. – Nakryłaś francuską porcelaną?

– Tak, tą w kwiaty – powiedziała niania.

– Dobrze. – Uspokojony skinął głową. Teraz przez jakiś czas patrzyli w milczeniu na obraz, na salon w głębi, na potężne meble, które strzegły pamięci, sensu pewnej godziny, pewnej chwili, jakby dotychczas istniały jedynie według praw tkaniny, drewna, metalu, lecz jedna chwila, sprzed czterdziestu jeden lat, nappełniła martwe przedmioty żywą treścią, i ta

chwila była sensem ich istnienia. I teraz, gdy zaczęły żyć, jak mechanizm, który nakręcono, przedmioty owe również o tym pamiętają. – Co podasz gościowi?

– Pstrąga – powiedziała Nini. – Zupę i pstrąga. Stek i sałatę. Perliczkę. I pływające lody. Kucharz nie robił ich już od dziesięciu lat. Ale może będzie dobrze – powiedziała z zatroskaniem.

– Bacz, aby było dobrze. Wtedy były również raki – powiedział cicho, jakby mówił do siebie.

– Tak – powiedziała spokojnie niania. – Krystyna lubiła raki. Pod każdą postacią. Wtedy jeszcze były raki w potoku. Teraz już nie ma. Wieczorem nie zdążyłam sprowadzić z miasta.

– Bacz na wino – powiedział generał cicho i poufnie, jak współnik przestępstwa. Sam jego ton sprawił, że niania bezwiednie podeszła trochę bliżej i z poufałością członka rodziny, bądź kogoś ze służby, pochyliła głowę, by dokładniej zrozumieć słowa. – Przyniesiłeś rocznik osiemdziesiąty szósty z Pommard. I chablis, do ryby. I butelkę ze starego Mumm. Jedną z tych olbrzymich butelek. Pamiętasz?

– Tak. – Niania zamyśliła się. – Z tamtego jest tylko wytrawne. Krystyna piła półsłodkie.

– Jeden łyk – powiedział generał. – Zawsze tylko jeden łyk, do pieczeni. Nie lubiła szampana.

– Czego chcesz od tego człowieka? – spytała niania.

– Prawdy – powiedział generał.

– Dobrze znasz prawdę.

– Nie znam – powiedział głośno i nie przejmował się tym, że lokaj i pokojówka, na dźwięk jego głosu, przestali układać kwiaty i spojrzeli w górę. Po czym gwałtownie spuścili oczy i układali dalej. – Kiedy właśnie prawdy nie znam.

– Ale znasz rzeczywistość – powiedziała niania ostrym, zaczepnym tonem.

– Rzeczywistość to jeszcze nie jest prawda – odparł generał. – Rzeczywistość to tylko ułamek. Krystyna także nie знаła prawdy. Może on, Konrad, zna ją. Teraz mu ją odbiorę – powiedział spokojnie.

– Co mu odbierzesz? – spytała niania.

– Prawdę – odparł krótko. Po czym umilkł.

Kiedy lokaj i pokojówka wyszli z salonu, a oni, na górze, pozostali sami, także i niania oparła się obok niego łokciami o poręcz, jakby oglądali jakiś widok na zboczu góry. Powiedziała – w stronę pokoju, w którym kiedyś siedziało razem troje ludzi przed kominkiem:

– Muszę ci coś powiedzieć. Kiedy Krystyna konała, wzywała ciebie.

– Tak – powiedział generał. – Byłem tutaj.

– Byłeś tutaj i nie było ciebie tutaj. Byłeś tak daleko, jakbyś dokądś wyjechał. Byłeś w swoim gabinecie, a ona konała. Była tylko ze mną, nad ranem. Mówię to po to, żebyś wiedział, dzisiaj wieczorem.

Generał milczał.

– Zdaje się, że już nadjeżdża – powiedział i wyprostował się. – Bacz na wina, i na wszystko, Nini.

Znad wejścia dał się słyszeć zgrzyt kamieni na podjeździe i turkot kół landa. Generał oparł laskę o poręcz schodów i ruszył bez laski schodami w dół na spotkanie gościa. Na pierwszym stopniu u góry schodów na moment przystanął.

– Świece – powiedział. – Pamiętasz?... Świece stołowe, niebieskie. Czy jeszcze istnieją? Zapalcie je do kolacji... Niech się palą.

– Nie pamiętałam o tym – powiedziała niania.

– A ja tak – odparł przekornie.

Wyprostowany, w czarnym ubraniu, starczo i uroczyście, powoli schodził po schodach. Otworzyły się drzwi salonu i w wycięciu wielkich oszklonych drzwi, w ślad za lokajem, pojawił się stary człowiek.

– Widzisz, jeszcze raz przyszedłem – powiedział gość bardzo cicho.

– Nigdy w to nie wątpiłem – odparł generał równie cicho i uśmiechnął się.

Uścisnęli sobie ręce bardzo uprzejmie.

Podeszli przed kominek i w zimnym, skrzącym się blasku zapalonych kinkietów popatrzeli na siebie uważnie i taksująco, mrugając oślepienymi oczyma.

Konrad był starszy od generała o kilka miesięcy: wiosną skończył siedemdziesiąt pięć lat. Dwaj starcy przyglądali się sobie z ową znajomością rzeczy, z jaką jedynie ludzie odnoszą się do cielesnych fenomenów: bardzo uważnie, śledząc wnikliwie ostatnie oznaki żywotnych sił, szukając w twarzy, w postawie, śladowych resztek ochoty do życia.

– Nie – powiedział Konrad poważnie – człowiek nie młodnieje.

Lecz obaj z zazdrosnym i jednocześnie radosnym zdziwieniem czuli, że drugi stawia czoło surowemu egzaminowi: minione czterdzieści jeden lat, czas oddalenia – czas, kiedy się nie widywali, a jednak każdego dnia, w każdej godzinie myśleli o sobie – na nich nie działał. Przetrwaliśmy, myślał generał. A gość, z dziwnym zadowoleniem, w którym uczucie zawodu i *Schadenfreude* były wymieszane z satysfakcją z cielesnego sprawdzianu – uczucie zawodu, bo ten drugi stał przed nim świeży i zdrowy, i *Schadenfreude*, bo sam potrafił przyjechać tutaj żywy i cały – myślał: „Czekał na mnie, dlatego jest taki silny”.

Obaj czuli w owej chwili, że w ciągu minionych dziesięcioleci czerpali życiodajne siły z owego oczekiwania. Jak ktoś, kto przez całe życie przygotowywał się tylko do jednego zadania. Konrad wiedział, że kiedyś będzie musiał tutaj powrócić, a generał wiedział, że pewnego dnia ta chwila nastąpi. Po to żyli.

Konrad był blady tak samo jak w czasach dzieciństwa i widać było po nim, że jeszcze dzisiaj żyje zamknięty w swoim pokoju i unika powietrza. On również miał na sobie czarne ubranie, poważną, lecz pierwszorzędną odzież. Chyba jest bogaty, myślał generał. Przez kilka chwil patrzyli na siebie bez słowa. Potem lokaj przyniósł wermut i palinkę.

– Skąd przybywasz? – spytał generał.

– Z Londynu.

– Mieszkasz tam?

– W pobliżu. Mam niewielki dom. Pod Londynem. Kiedy powróciłem z tropiku, zostałem tam.

– Gdzie byłeś w tropiku?

– W Singapurze. – Podniósł białą rękę, niepewnie pokazał jakiś punkt w powietrzu, jakby chciał zaznaczyć w przestrzeni kosmicznej miejsce, gdzie kiedyś żył. – Ale to tylko w ostatnim czasie. Wcześniej w głębi półwyspu, wśród Malajczyków.

– Podobno – powiedział generał i wznosił kielich z wermutem w geście powitania, w kierunku światła – tropik wyczerpuje i postarza.

– Ohydnie – powiedział Konrad. – Każdemu zabiera dziesięć lat z życia.

– Ale po tobie tego nie widać. Witaj!

Wypili i usiedli.

– Nie? – zapytał gość, kiedy usiadł obok kominka, w fotelu, który stał pod zegarem. Generał uważnie obserwował jego ruchy. Teraz, gdy dawny przyjaciel zajął miejsce w fotelu – dokładnie w tym miejscu, gdzie ostatni raz siedział przed czterdziestu jeden laty, jakby z magnetycznym bezwładem uległ czarowi miejsca – mrugał z ulgą. Czuł się jak myśliwy, kiedy w końcu spostrzega zwierzynę w potrzasku, który do tej pory przezornie omijała. Teraz wszystko i wszyscy byli na swoim miejscu. – Tropik jest ohydny – powtórzył Konrad. – Nie znosi takich ludzi, jak my. Zużywa narządy, spala tkanki. Coś w człowieku zabija.

– Po to tam się wybrałeś – spytał generał mimochodem, bez specjalnego nacisku – żeby coś w sobie zabić?

Zapytał grzecznie, w tonie konwersacji. I również usiadł, naprzeciwko kominka, w starym fotelu, który w rodzinie nazywano „floreńskim krzesłem”. To było jego miejsce, co wieczór, przed i po kolacji, czterdzieści jeden lat temu, kiedy we troje siedzieli w salonie, on, Krystyna i Konrad, i rozmawiali. Teraz obaj patrzyli na trzeci fotel, na fotel obciążony francuskim jedwabiem.

– Tak – powiedział spokojnie Konrad.

– Udało się?

– Już jestem stary – powiedział i spojrzał w ogień.

Nie odpowiedział na pytanie. Siedzieli tak bez słowa i patrzyli w ogień, aż przyszedł kamerdyner i zaprosił ich na kolację.

– Tak to jest – powiedział Konrad, po pstragu. – Zrazu myślisz, że przywykniesz. – Mówił o tropiku. – Byłem jeszcze młody, kiedy tam dotarłem, przecież pamiętasz. Miałem trzydzieści dwa lata. Raptem znalazłem się wśród bagien. Ludzie tam mieszkają w domach o blaszanych dachach. Nie miałem pieniędzy. Wszystko opłaciło towarzystwo kolonialne. Kładziesz się w nocy i jakbyś leżał w ciepłej mgłę. Rano ta mgła jest gęstsza i gorąca. Później drętwiejesz. Wszyscy piją, ludzie mają przekrwione oczy. W pierwszym roku myślisz, że umrzesz. W trzecim roku czujesz, że nie jesteś tym dawnym człowiekiem, jakby zmienił się rytm twojego życia. Żyjesz szybciej, coś się w tobie pali, serce bije ci inaczej, a jednocześnie jesteś obojętny. Miesiącami obojętny. A potem ta chwila, kiedy nie wiesz, co się dzieje z tobą i dokoła ciebie. Czasami następuje to dopiero po pięciu latach, niekiedy już w pierwszych miesiącach. Napad szału. Wielu wtenczas popełnia morderstwo albo samobójstwo.

– Anglicy również? – spytał generał.

– Rzadziej. Ale ich także zatruwa ta gorączka, ten szal, który nie ma bakcyła chorobotwórczego. Świącie wierzę, że to jest choroba. Jednak nikt nie potrafi znaleźć jej przyczyny. Może to woda. Może rośliny. Może to te malajskie kochanki. Nie można przyzwyczać się do tych kobiet. Są wśród nich piękności. Mają ten swój uśmiech i pewien rodzaj gładkości kryje się w ich skórze, w ruchach, w uśmiechach, obyczajach, kiedy usługują, w łóżku i przy stole... a jednak nie można się do nich przyzwyczać. Anglicy, owszem, ci się bronią. Zabierają ze sobą Anglię w podręcznym bagażu. Tę swoją uprzejmą pychę, zamknięcie się w sobie, dobre wychowanie, pola golfowe i korty tenisowe, whisky, smoking, który wkładają wieczorem, w domach o blaszanych dachach, w środku bagien. Oczywiście nie każdy. Ci są legendą. A większość po czterech, pięciu latach bydlęcieje, jak pozostali, Belgowie, Francuzi, Holendrzy. Tropik obgryza z nich styl bycia wyniesiony z *college'u*, jak trąd skórę z ludzkiego ciała. Tropik wytrawia z nich Cambridge i Oxford. Trzeba, abyś wiedział, że ten, kto dłuższy czas spędził w tropiku, tam, w domu, na wyspie jest podejrzany. Szanują go, rozpoznają, lecz jest podejrzany. Jest absolutnie pewne, że w tajnych księgach ewidencyjnych wpisuje się uwagę: „Tropik”. Jakby powiedziano: „Syfilis”. Albo: „Szpiegostwo”. Podejrzany jest każdy, kto dłuższy czas spędził w tropiku, ponieważ

daremnie grał w golfa i w tenisa, pił whisky w singapurskich kręgach towarzyskich, i daremnie od czasu do czasu pojawiał się w smokingu, w mundurze, z orderami na piersi, na rządowych przyjęciach, daremnie, ponieważ jest podejrzany. Ponieważ przeżył tropik. Ponieważ przetrwał to straszne i niemożliwe do przyswojenia zakażenie, w którym jest także coś pociągającego, jak w każdym życiowym niebezpieczeństwie... Tropik to choroba. Można się wyleczyć z chorób tropikalnych, z tropiku nigdy.

– Rozumiem – powiedział generał. – Ty też się jej nabawiłeś?

– Każdy się nabawi. – Gość smakował chablis, z odchylną głową, przełykając ze znawstwem. – Kto tylko pije, ucieka najtaniej. Tam namiętność kryje się w życiu tak, jak tornado za bagnem, pomiędzy górami i lasami. Wszelkiego rodzaju namiętność. Dlatego dla wyspiarskiego Anglika podejrzany jest każdy, kto przybywa z tropiku. Nie można stwierdzić, co jest w jego krwi, w sercu, w nerwach? Nie jest już zwykłym Europejczykiem, to pewne. Niecałkowicie jest nim. Daremnie prenumeruje czasopisma, na próżno czytał na samym środku bagna wszystko to, co w tej części świata zostało napisane i przemyślane w ostatnich latach lub w minionych stuleciach. Daremnie zachowywał te dziwne, męczące i kłopotliwe manery, na które biały człowiek w tropiku, wśród ludzi takich jak on, zważa równie pilnie, jak pijak w lepszym towarzystwie: zachowuje się zbyt sztywno, aby nie dostrzeżono w nim cierpienia, jest bardzo gładki, poprawny i dobrze wychowany... Ale w środku jest inny.

– A jednak – powiedział generał i podniósł do światła kielich napełniony białym winem.
– Powiedz, co jest w środku?

I kiedy drugi milczał:

– Wyobrażam sobie, że przyjechałeś tutaj dzisiaj po to, aby to powiedzieć.

Siedzą przy długim stole, w obszernej jadalni, która nie widziała gości od śmierci Krystyny. Sala, gdzie przez dziesiątki lat nikt nie zasiadł do obiadu, jest czymś takim jak sala w muzeum, w której przechowuje się meble i przedmioty użytkowe, charakterystyczne przedmioty sztuki minionych epok. Ściany pokrywają francuskie wyroby z drewna, meble pochodzące z Wersalu. Siedzą na dwu krańcach długiego stołu, pomiędzy nimi, pośrodku przestrzeni pokrytej białym adamaszkiem, orchidee w kryształowym wazonie. Kwiaty otaczają cztery porcelanowe rzeźby, cztery arcydzieła fabryki w Sevres, wdzięczne artystyczne wyobrażenie Północy, Południa, Wschodu i Zachodu. Przed generałem stoi symbol Zachodu, przed Konradem Wschód: szczerzący zęby Saracen z wielbłądem i palmą.

Porcelanowe lichtarze stoją na stole w szeregu razem z grubymi, niebieskimi świecami kościelnymi. Jedynie w czterech rogach pokoju jarzą się jeszcze cztery ukryte światła. Świece płoną wysokimi płomieniami, pokój jest pogrążony nieomal w półmroku. W kominku z szarego marmuru palą się polana żółtym i czarno-zielonym ogniem. Lecz sięgające do podłogi skrzydłowe okna nie są dokładnie zamknięte, a szare, jedwabne zasłony nie są całkowicie zsunięte przed oknami. Prąd letniego powietrza co jakiś czas wpływa do pokoju przez szpary w oknie, poprzez cienką firanę widać okolicę w księżycowym blasku, w oddali

migocące światła małego miasteczka.

Pośrodku długiego stołu oświetlonego świeczkami i przystrojonego kwiatami stało – oparciem do kominka – jeszcze jedno krzesło, pokryte gobelinem. Niegdyś było to miejsce żony generała, Krystyny. Przed brakującym nakryciem ulokowała się porcelanowa figurka uosabiająca Południe: na maleńkiej przestrzeni lew, słoń i człowiek o czarnej twarzy, w burnusie, zgodnie czegoś strzegą. Majordomus w czarnym surducie trzyma, nieporuszony, straż przy podstoliku; błyskami oczu sprawdza ruchy lokajów, którzy dzisiejszego wieczora ubrani są na francuską modłę, spodnie spinane pod kolanami i czarne fraki. Ten zwyczaj zaprowadziła jeszcze matka generała i ilekroć jedzono w tej sali – w której każdy mebel, ba, talerz, złote sztuce, kryształy, kieliszki i tapety, były przez obcą damę przywiezione z jej ojczyzny – wymagała, by lokaje ubierali się we współczesne stroje. W sali jest tak cicho, że słychać nawet trzaskanie polan. Mówią cicho, a jednak rozumieją każde wypowiedziane słowo: ściany pokryte ciepłym, starym drewnem, odbijają słowa wypowiedziane półgłosem, jak drewno, z którego jest zrobiony instrument, odbija dźwięk strun.

– Nie – mówi Konrad, który słuchając jadł i myślał. – Przyjechałem tutaj, ponieważ byłem we Wiedniu.

Je łączywie, eleganckimi gestami, lecz ze starczą żarłocznością. Teraz odkłada widelec na krawędź talerza, nieco nachyla się do przodu i niemal krzyczy w kierunku pana domu siedzącego w znacznej odległości:

– Przyjechałem, ponieważ jeszcze raz chciałem zobaczyć ciebie. Czy to nie naturalne?

– Nic naturalniejszego pod słońcem – odpowiada grzecznie generał. – A więc byłeś we Wiedniu. To musiało być wielkim przeżyciem dla ciebie, który poznałeś tropik i namiętność. Dawno byłeś ostatni raz we Wiedniu?

Pyta o to uprzejmie, a w jego głosie nie znać bodaj nikłego odcienia ironii. Gość patrzy na niego podejrzliwie z drugiego krańca stołu. Siedzą tutaj odrobinę zagubieni, dwaj starzy mężczyźni, w dużej sali, daleko od siebie.

– Dawno – odpowiada. – Przed czterdziestu laty. Wtenczas... – mówi niepewnie i – zmieszany, mimo woli milknie. – Wtenczas przejeżdżałem przez Wiedeń, w drodze do Singapuru.

– Rozumiem – mówi generał. – A teraz co cię uderzyło we Wiedniu?

– Zmiany – mówi Konrad. – Człowiek w moim wieku i w mojej sytuacji wszędzie już tylko napotyka zmiany. Co prawda, od czterdziestu jeden lat nie byłem na kontynencie europejskim. Jedynie we francuskich portach spędziłem kilka godzin w drodze z Singapuru do Londynu. Ale chciałem jeszcze raz zobaczyć Wiedeń, i ten dom.

– Po to wyruszyłeś w podróż? – pyta generał. – Bo chciałeś zobaczyć Wiedeń i ten dom? Czy też masz swoje handlowe sprawy na kontynencie?

– Ja już nie mam żadnych spraw – odpowiada. – Mam siedemdziesiąt pięć lat, jak ty. Niedługo umrę. Dlatego wyruszyłem w podróż, dlatego też przyjechałem i tutaj.

– Powiadają – odpowiada generał grzecznie, tonem zachęty – że kiedy człowiek dożyje tych lat, to potem żyje tak długo, aż się znudzi. Nie czujesz się tak?

– Już się znudziłem – mówi gość.

Mówi to bez nacisku, obojętnie.

– Wiedeń – mówi. – Wiesz, że Wiedeń był dla mnie tym, czym w świecie jest kamerton. Wypowiedzieć to słowo – Wiedeń – to było tak, jak wywołać dźwięk kamertonu, a potem obserwować, co z tego dźwięku słyszy drugi człowiek, ten, z którym właśnie rozmawiam. Tak sprawdzałem ludzi. Ten, kto nie potrafił odpowiedzieć, nie był moim człowiekiem. Bo Wiedeń był nie tylko miastem, lecz pewnym dźwiękiem, który człowiek słyszy w swojej duszy po wsze czasy albo nie. To było najpiękniejsze w moim życiu. Byłem biedny, ale nie byłem samotny, ponieważ miałem przyjaciela. A Wiedeń także był czymś takim, jak ów przyjaciel. Zawsze słyszałem jego głos, w tropiku, gdy padał deszcz. Kiedy indziej także. Czasami w puszczy przypominał mi się stęchły zapach bramy w domu na Hietzingu. W Wiedniu tak żyje muzyka, i wszystko to, co kochałem, w kamieniach, w spojrzeniu ludzi, w ich stylu, jak oczyszczone namiętności w ludzkim sercu. No, wiesz, kiedy namiętności już nie boją. Zimowy Wiedeń i wiosenny. Aleje w ogrodach Schönbrunnu. Niebieskie światło w sypialni Instytutu, wielka, biała klatka schodowa z barokową rzeźbą. Konne przejażdżki rankiem na Praterze. Białe konie hiszpańskiej szkoły. Wszystko to wyraźnie sobie przypominałem i zapragnąłem jeszcze raz zobaczyć – mówi cicho, nieomal wstydliwie.

– I co znalazłeś po czterdziestu jeden latach? – pyta generał raz jeszcze.

– Miasto – odpowiada Konrad i wzrusza ramionami. – Zmianę.

– Tutaj – mówi generał – przynajmniej nie można doznać zawodu. U nas niewiele jest zmian.

– Nie podróżowałeś ostatnimi laty?

– Mało. – Generał patrzy w płomień świecy. – Tyle tylko, ile wymagała służba. Do pewnego czasu myślałem nawet, żeby porzucić służbę, tak jak ty to zrobiłeś. Była taka chwila, kiedy myślałem o tym. Żeby wyjechać w świat, rozglądać się, szukać, poszukać czegoś albo kogoś.

Nie patrzą na siebie: gość wpatruje się w kryształowy kielich napelnięty żółtym napojem, generał w chybliwy płomień świecy.

– Ale w końcu jednak zostałem. Rozumiesz, służba. Człowiek robi się sztywny, oporny. Obiecałem ojcu, że odsłużę mój czas do końca. Dlatego pozostałem. Owszem, wcześniej przeszedłem na emeryturę. Miałem pięćdziesiąt lat, kiedy mi powierzono korpus. Czulem, że jestem do tego zbyt młody. Dlatego zrzekłem się. Zrozumieli i zaakceptowali.

– Zwłaszcza że – mówi i daje znak lokajowi, aby nalał czerwonego wina – nastął taki czas, że nie miałem już sił na dalszą służbę. Rewolucja. Radykalna zmiana.

– Tak – odpowiada gość. – Słyszałem o tym.

– Tylko słyszałeś? My to przeżyliśmy – mówi surowo.

– Może nie tylko słyszałem – odpowiada teraz ten drugi. – Siedemnasty, tak. Wtedy po raz drugi wróciłem do tropiku. Pracowałem na bagnach, z chińskimi i malajskimi kulisami. Chińczycy są najlepsi. Żyliśmy głęboko na bagnach, w głębi puszczy. Nie było telefonu. Ani radia. W świecie szalała wojna. Byłem w tym czasie obywatelem angielskim, ale zrozumiano mnie, że nie mogę być przeciwko ojczyźnie. Oni takie rzeczy rozumieją. Dlatego powróciłem do tropiku. Niczego tam nie wiedzieliśmy, a już kulisi w najmniejszym stopniu mogli coś wiedzieć. Lecz pewnego dnia... na bagnach, bez gazety i radia, od tygodni z dala od wszystkiego, co przynosi wieści ze świata, pewnego dnia porzucili pracę. W południe, o dwunastej. Bez żadnego powodu. Nic się wokół nich nie zmieniło, ani warunki pracy, ani dyscyplina, wszystko było po dawnemu, zaopatrzenie także. Ani dobrze, ani źle. Tak, jak to tam jest możliwe. Tak, jak tam być powinno. I pewnego dnia, w siedemnastym, w południe o dwunastej, powiedzieli, że już nie pracują. Przyszli z gąszczu, cztery tysiące kulisów, ubłoceni po pas, z nagimi korpusami, położyli narzędzia, siekiery, łopaty, i powiedzieli, dosyć. Domagali się różności. Odebrania posiadaczom prawa stosowania dyscypliny. Chcieli podwyżki płac. Dłuższej przerwy w pracy. Było niepojęte, co w nich wstąpiło. Na moich oczach cztery tysiące kulisów zamieniło się w żółte i brązowe diabły. Po południu wjechałem na koniu do Singapuru. Tam dopiero zrozumiałem. Byłem jednym z pierwszych na półwyspie, który się dowiedział.

– Czego dowiedziałeś się na półwyspie? – pyta generał i nachyla się do przodu.

– Dowiedziałem się, że w Rosji wybuchła rewolucja. Że pewien człowiek, o którym wiedziano wówczas tylko tyle, że nazywa się Lenin, powrócił do kraju w zaplombowanym wagonie i w bagażu przywiózł do domu bolszewizm. Londyn dowiedział się o tym tego samego dnia, co moi kulisi, bez telefonu i radia, w puszczy, pośród bagien. To było niepojęte. Potem zrozumiałem. Człowiek wie, co jest dla niego ważne, bez aparatów i telefonów.

– Myślisz? – pyta generał.

– Ja to wiem – odpowiada spokojnie. – Kiedy zmarła Krystyna? – pyta, nagle zmieniając temat.

– Skąd wiesz, że Krystyna umarła? – pyta generał bez żadnego nacisku. – Żyłeś w tropiku, od czterdziestu jeden lat nie byłeś na kontynencie. Wyczułeś, jak kulisi rewolucję?

– Wyczułem? – pyta gość. – Może. Ale nie ma jej tutaj, nie siedzi pomiędzy nami. Gdzie może być? Tylko w grobie.

– Tak – mówi generał. – Spoczywa w ogrodzie, pośrodku oranżerii. Tak, jak chciała.

– Dawno umarła?

– W osiem lat po tym, jak odszedłeś.

– Po ośmiu latach – mówi gość i bezgłośnie porusza bezkrwistymi ustami, sztucznymi zębami jakby coś gryzł albo liczył. – W dwudziestym ósmym roku życia. – Znowu liczy, półgłosem. – Gdyby żyła, miałaby dzisiaj sześćdziesiąt jeden lat.

– Tak. Byłaby starą kobietą, tak jak my jesteśmy starymi mężczyznami.

– Na co chorowała?

– Powiedziano, że zmarła na anemię złośliwą. Dość rzadka choroba.

– Nie tak bardzo rzadka – odpowiada Konrad ze znawstwem. – Często występuje w tropiku. Zmieniają się warunki życia człowieka, a na takie zmiany reaguje morfologia.

– Możliwe – mówi generał. – Możliwe, że często występuje i w Europie, gdy zmieniają się warunki życia. Nie znam się na tym.

– Ja też nie bardzo. Ale w tropiku zawsze jest kłopot z ciałem. Człowiek powoli staje się znachorem. Malajowie leczą metodami znachorskimi od zawsze. A więc zmarła w roku tysiąc dziewięćset ósmym – mówi na koniec, nie akcentując tych słów, jak ktoś, kto przez cały czas łamał sobie głowę i wreszcie otrzymał wynik końcowy. – Wtedy jeszcze służyłeś?

– Tak. Służyłem do końca wojny.

– Jaka była?

– Wojna? – generał patrzy na gościa natrętnym spojrzeniem krótkowidza. – Ohydna, jak tropik. Zwłaszcza ostatnia zima. Na północy. Tutaj, w Europie, życie też jest pełne awantur – mówi generał i uśmiecha się.

– Awantur?... Tak, możliwe. – Gość zgodnie kiwa głową. Możesz mi wierzyć, czasami cierpiałem na samą myśl, że nie jestem tutaj, kiedy wy biliście się. Myślałem o tym, żeby powrócić i zameldować się w pułku.

– Inni – mówi generał bez nacisku, uprzejmie, lecz bardzo zdecydowanie – także myśleli o tym. W pułku. No, ale nie przyjechałeś. Prawdopodobnie miałeś inne zajęcie – mówi takim tonem, jakby dodawał mu otuchy.

– Byłem obywatelem angielskim – powtarza zakłopotany Konrad. – Człowiek nie może zmieniać ojczyzny co dekadę.

– Nie – mówi zgodnie generał. – Myślę, że człowiek w ogóle nie może zmienić ojczyzny. Co najwyżej może wymienić dokumenty. Nie odczuwałeś tego w ten sposób?

– Moja ojczyzna – mówi gość – przestała istnieć, rozpadła się. Moją ojczyzną była Polska i Wiedeń, ten dom tutaj i koszary w mieście, Galicja i Chopin. Co pozostało z tego? To, co to wszystko wiązało w całość, to tajemnicze spoiwo już nie działa. Znieważono to subtelne uczucie. W takich przypadkach człowiek odchodzi. W tropiki albo jeszcze dalej.

– Dalej, dokąd? – pyta chłodno generał.

– W czas.

– To wino – mówi generał i podnosi kielich napełniony czarno-czerwonym winem – którego rocznik być może pamiętasz... Zostało zebrane w osiemdziesiątym szóstym, kiedy złożyliśmy przysięgę. Na pamiątkę owego dnia ojciec zapełnił tym winem jedno skrzydło piwnicy. Upłynęło tyle lat, prawie całe życie. Bardzo stare wino.

– Nie ma już tego, na co składaliśmy przysięgę – mówi gość bardzo poważnie, i on również podnosi kielich. – Wszyscy umarli, odeszli, zrzekli się tego, na co przysięgaliśmy. Był niegdyś świat, dla którego warto było żyć i za który warto było umrzeć. Ten świat umarł.

A z tym nowym nie mam nic wspólnego. To wszystko, co mogę powiedzieć.

– Dla mnie ten świat żyje, nawet jeśli w rzeczywistości przestał istnieć. Żyje, ponieważ przysięgałem właśnie na niego. To wszystko, co mogę powiedzieć.

– Tak, ty pozostałeś żołnierzem – odpowiada gość.

Z dala jeden od drugiego podnoszą kielichy, wzajemnie się pozdrawiając, i w milczeniu piją czerwone wino.

12

– Kiedy wyjechałeś – mówi generał przyjaźnie, jakby to, co najważniejsze, krępujące już sobie powiedzieli, a teraz jedynie gawędzą – długo wierzyliśmy, że jeszcze powrócisz. Wszyscy czekali na ciebie. Wszyscy byli twoimi przyjaciółmi. Trochę byłeś dziwakiem, nie gniewaj się. Wybaczyli ci, ponieważ wiedzieli, że dla ciebie ważniejsza jest muzyka. Nie rozumieli twojego odejścia, lecz pogodzili się z nim, ponieważ rozumieli, że miałeś swój powód. Wiedzieli, że wszystko znosisz trudniej niż my, prawdziwi żołnierze. To, co dla ciebie było pewnym stanem rzeczy, dla nas było powołaniem. To, co dla ciebie było kostiumem, dla nas było przeznaczeniem. Nie dziwiliśmy się, kiedy zrzuciłeś z siebie ten kostium. Lecz wierzyliśmy, że pewnego dnia powrócisz. Albo napiszesz. Wielu tak to odczuwało, przyznaję, ja także. Krystyna też. Kilku w pułku, jeśli ich pamiętasz.

– Już tylko jak przez mgłę – mówi obojętnie gość.

– Tak, musiałeś wiele przejść. Żyłeś w świecie. Wtedy człowiek prędko zapomina.

– Nie – mówi. – Świat to jest nic. Tego, co ważne, nigdy nie zapomnisz. Zrozumiałem to później, kiedy się już zestarzałem. Ale rzeczy drugorzędnych nie ma, człowiek je wyrzuca z pamięci, jak sny. Nie pamiętam pułku – mówi pośpiesznie. – Od pewnego czasu pamiętam tylko to, co istotne.

– Na przykład Wiedeń i tamten dom? To masz na myśli?...

– Wiedeń i tamten dom – powtarza gość automatycznie. Patrzy przed siebie spod wpółściągniętych brwi, mrużąc oczy. – Pamięć w cudowny sposób wszystko precedza. Po dziesięciu, dwudziestu latach okazuje się, że wielkie wydarzenia nie zmieniły w tobie niczego. I pewnego dnia przypominasz sobie pewne polowanie albo fragment jakiejś książki, albo ten pokój. Kiedy ostatni raz jedliśmy tutaj kolację, było nas troje. Krystyna jeszcze żyła. Siedziała tutaj, pośrodku. Wtedy stół również był przyozdobiony takimi figurkami.

– Tak – mówi generał. – Przed tobą stał Wschód, przed Krystyną Południe. A przede mną Zachód.

– Pamiętasz takie szczegóły? – pyta gość zdziwionym głosem.

– Wszystko pamiętam.

– Tak, szczegóły są niekiedy bardzo ważne. Mniej więcej wiążą całość, zlepiają surowiec

pamięci. Czasami myślałem o tym w tropiku, kiedy padał deszcz. Ten deszcz – mówi, jakby zaczynał mówić o czymś innym. – Całymi miesiącami. Bębni w blaszany dach domu jak karabin maszynowy. Bagno paruje, deszcz jest ciepły. Wszystko jest wilgotne, pościel, bielizna, książki, tytoń w blaszanej puszcze, chleb. Wszystko się lepi, jest kleiste. Siedzisz w domu, Malajowie śpiewają. Kobieta, którą wziąłeś do domu, siedzi bez ruchu w kącie pokoju i patrzy. Potrafią tak godzinami siedzieć bez ruchu i patrzeć. Zrazu tego nie zauważasz. A potem stajesz się nerwowy, nakazujesz, aby wyszła z pokoju. Ale i to nie pomoże: wiesz, że przecież siedzi gdzie indziej, w którymś z pokoiów, w czterech ścianach, i patrzy. Mają wielkie brązowe oczy, jak tybetańskie psy, te milczące bestie, najbardziej podstępne zwierzęta na kuli ziemskiej. Patrzą tymi błyszczącymi, spokojnymi oczami i dokądkolwiek idziesz, czujesz to spojrzenie, jakby ktoś ścigał cię złym promieniem. Gdy ją odprawisz, usiądzie na progu domu i patrzy. Wtedy trzeba decyzję odwołać. Ciągłe rodzą dzieci, lecz nikt o tym nie mówi, najmniej one same. Jakbyś trzymał u siebie zwierzę, zabójcę, kapłankę, czarodzieja i głupka w jednej osobie. Potem się zmęczysz, ponieważ to spojrzenie jest tak silne, że najsilniejszy człowiek także by się zmęczył. Silne jak dotyk. Jakby stale ktoś cię głaskał. Można zwariować. Ale potem i to ci zobojeźnieniu. Pada deszcz. Siedzisz w swoim pokoju, pijesz wódkę, bardzo dużo wódki, palisz słodkawy tytoń. Czasami ktoś przybywa, niewiele mówi, także pije wódkę i pali słodkawy tytoń. Chcesz czytać, ale deszcz w jakiś sposób pada również do książki; nie dosłownie, a jednak rzeczywiście, nie umiesz uchwycić znaczenia liter, ponieważ słuchasz deszczu. Chcesz grać na fortepianie, ale deszcz siedzi obok ciebie i gra razem z tobą. Po czym przychodzi susza, ta parująca jasność. Człowiek prędko się starzeje.

– Czy tam w tropiku – pyta uprzejmie generał – grywałeś czasami „Poloneza-fantazję”?

Jedzą steki uważnie i z potężnym apetytem, z żarłocznym zapamiętaniem starych ludzi, dla których jedzenie jest już nie tylko przyjmowaniem pokarmu, lecz działaniem odwiecznym i uroczystym. Jedzą i gryzą bardzo uważnie, jak człowiek, gdy gromadzi w sobie siły. Aby działać, trzeba mieć siłę, a siła jest także w jedzeniu, w krwistym mięsie, w ciemnym winie. Jedzą, odrobinę mlaskając, z owym nabożnym i namaszczonej oddaniem, kiedy człowiek nie dba już o to, aby jeść pięknie, ważniejsze jest, by każde włókno mięsa gruntownie pogryźć, wyssać z mięsnego materiału żywotne siły, które są tak potrzebne. Jedzą z dystygowaną gracją i zarazem tak, jak starsi plemienia w czasie święta: poważnie i z determinacją.

Majordomus w rogu pokoju zatroskanym spojrzeniem śledzi ruchy lokaja, który ręką w białej rękawiczce balansuje wielkim półmiskiem. Pośrodku półmiska płoną lody czekoladowe niebiesko-żółtym ogniem winnego spirytusu.

Usługujący przy wieczerzy nalewają szampana do kielichów gościa i pana domu. Zmysł powonienia dwu starych ekspertów rozpoznaje bladożółty nektar zawarty w butelce wielkości dziecka.

Generał kosztuje i odsuwa kieliszek z szampanem. Daje znak, by podano jeszcze czerwone wino. Gość, mrużąc oczy, przygląda się tym zabiegom. Dużo jedli i pili, dlatego teraz są czerwoni.

– W czasach mojego dziadka – mówi generał i przygląda się winu – przed każdym gościem stała pinta stołowego wina. To był przydział gościa. Pinta, półtora litra. Stołowego. Dziadek opowiadał, że przed gośćmi króla również stało wino stołowe w kryształowym szkłe. Osobna butelka dla każdego gościa. Dlatego nazywało się stołowe, bo stało przed nim, na stole, i tyle mógł wypić, ile tylko chciał. Oficjalne wina nalewano oddzielnie. Taka była hierarchia napojów u króla.

– Tak – mówi Konrad i siedzi poczerwieniały, trawi. – Wtedy jeszcze wszystko miało swoją hierarchię – dodaje obojętnie.

– Tutaj siedziała – mówi generał jakby od niechcienia i błyskiem oka pokazuje miejsce króla pośrodku stołu. – Po jego prawej ręce siedziała moja matka, po lewej pleban. Siedział tutaj, w tym pokoju, zajmując główne miejsce przy stole. Spał na piętrze, w pokoju żółtym. Po kolacji tańczył z moją matką – mówi cicho, starczo, niemal dziecinnie, jak ktoś, kto wspomina. – Popatrz, już z nikim innym nie mogę o tym mówić. Dlatego dobrze, że jeszcze raz powróciłeś – mówi bardzo poważnie. – Przecież grałeś z moją matką „Poloneza-fantazję”. Czy nie grałeś tego później, w tropiku? – pyta jeszcze raz, jakby wreszcie przypomniał sobie to, co najważniejsze.

Gość zastanawia się.

– Nie – mówi. – W tropiku nigdy nie grałem Chopina. Wiesz przecież, jak wiele porusza we mnie ta muzyka. W tropiku człowiek jest wrażliwszy.

Teraz, gdy jedli i pili, zelżało pomiędzy nimi napięcie i podniosły nastrój pierwszej półgodziny. Krew cieplej płynie w zwapniałych żyłach. Wezbrały im żyły na czołach i skroniach. Lokaje wnoszą cieplarniane owoce. Jedzą winogrona i niespliki. Pokój jest przegrzany, szare jedwabne zasłony u wpółotwartych dwuskrzydłowych okien podnosi ruch powietrza w letni wieczór.

– Kawę – mówi generał – wypijmy może tam.

W tym momencie silny poryw wiatru rozrywa okna. Ciężkie, szare jedwabne zasłony zaczynają falować w powietrzu, ciężki kryształowy żyrandol także się poruszył, jak na wielkim statku, kiedy zrywa się burza. Niebo na chwilę się rozjaśnia, niebiesko-żółty błysk rozszczepia noc aż po jej kres, niczym złoty miecz ciało ofiary. Wicher już wdarł się do pokoju, zgasił kilka spłoszonych płomieni świec; nagle robi się ciemno. Majordomus spieszy do okien i, macając w ciemnościach, zamyka skrzydłowe okna przy pomocy dwu lokajów. A teraz już widać, że całe miasto jest pogrążone w ciemnościach.

Piorun uszkodził elektrownię miejską. Siedzą bez słowa w ciemnościach, świeci się tylko ogień w kominku i dwie samotne świece, które nie zgasły. Po czym lokaje wnoszą nowy, wieloramienny lichtarz.

– Tam – powtarza generał, jak ktoś, kto w ogóle nie zauważa pioruna i ciemności.

Lokaj świeci przed nimi wysoko uniesionymi, płonącymi świecami. Bez słowa przechodzą w widmowym oświetleniu, odrobinę kołysząc się i ociągając, jak ich cienie na ścianie, z jadalni przez zimne salony, do pokoju, którego kompletne umeblowanie stanowi długi fortepian z otwartym wiekiem i trzy fotele wokół pękatego, ciepłego porcelanowego pieca. Tutaj siadają, przez okno przesłonięte białą firaną patrzą na ciemną okolicę. Lokaj stawia na stoliku, w zasięgu ich rąk, kawę, pudełko cygar, wódkę oraz na skraju pieca srebrny lichterz naszpikowany kościelnymi świecami, grubości dziecięcej ręki. Teraz obaj zapalają cygara. Siedzą w milczeniu, grzeją się. Od pieca równomiernie promieniuje ciepło polan, a ponad ich głowami kołysze się światło świec. Zamknięto za nimi drzwi. Pozostali sami.

– Nie pożyjemy długo – z nagłą mówi generał, jakby wypowiadał jeden z końcowych wniosków milczącej polemiki. – Rok, dwa, a może i to nie. Nie pożyjemy długo, ponieważ powróciłeś. Sam dobrze o tym wiesz. Dość miałeś czasu, aby o tym myśleć, najpierw w tropiku, potem w swoim domu, pod Londynem. Czterdzieści jeden lat – to kawał czasu. Dobrze to przemyślałeś, prawda?... A jednak powróciłeś, bo nie mogłeś postąpić inaczej. Obaj wiedzieliśmy, że spotkamy się jeszcze raz, i wtedy nastąpi koniec. Naszego życia i tego wszystkiego, co dotychczas stanowiło jego treść, i co wywoływało w nim napięcie. Ponieważ w takich tajemnicach, jak ta, która kryje się między tobą i mną, jest szczególna siła. Spala tkankę życia jak wredne promieniowanie, ale jednocześnie daje temu życiu napięcie i temperaturę. Zmusza cię, abyś żył... Dopóki człowiek ma swoją sprawę na ziemi, żyje. Opowiem ci, czego doświadczałem sam wśród lasów, kiedy ty byłeś w tropiku, w świecie. Samotność, w gruncie rzeczy, jest dosyć osobliwa... czasami tak, jak puszcza, pełna niebezpieczeństw i niespodzianek. Znam wszystkie jej odmiany. Nudę, którą daremnie chcesz odegnać doskonale skonstruowanym porządkiem życia. Po której następują gwałtowne wybuchy. Samotność jest tak samo tajemnicza, jak dżungla – powtarza uparcie. – Ktoś, jakiś człowiek, żyje w surowym rygorze, aż pewnego dnia dostaje amoku, jak twoi Malajowie. Ma pałac, tytuł i pozycję, wie dzie głupkowato punktualny tryb życia. Aż któregoś dnia wyrwa się z tego wszystkiego, z bronią w ręku albo bez broni... a to jest może i bardziej niebezpieczne. Rzuca się w wir świata, z tym swoim drętym spojrzeniem; kompani i starzy przyjaciele schodzą mu z drogi. Jedzie do wielkich miast, kupuje kobiety, wszystko wokół niego eksploduje, szuka zwady i wszędzie ją znajduje. I powiadam ci, to jeszcze nie jest najgorsze. Może w czasie owej bieganiny zabiją go jak parszywego, wściekłego psa. Może wpadnie na mur, może życie zderzy go z tysiącem przeszkód, i rozbije się. Gorzej, gdy ktoś zdławi w sobie tę furję, jaką samotność rozpałała w jego duszy. Nie biegnie donikąd. Nikogo nie pobije. Co robi? Żyje, czeka, nie burzy porządku. Żyje jak zakonnicy, wedle jakiejś pogańskiej, świeckiej reguły... lecz zakonnikowi jest łatwiej, ponieważ ma wiarę. A człowiek, który duszę i los oddał samotności, nie ma wiary. Tylko czeka. Na ten dzień albo na tę godzinę, kiedy to wszystko, co zmusiło go do samotności, raz jeszcze będzie mógł

przedyskutować z tymi (albo z tym), którzy go do tego doprowadzili. I tak szykuje się na tę chwilę przez dziesięć lat albo przez czterdzieści lat, albo, żeby już być całkiem dokładnym, przez czterdzieści jeden lat, jakby przygotowywał się do pojedynku. Wszystkie sprawy doprowadza do porządku, aby, jeżeli padnie, nikomu nie być dłużnym. I co dnia ćwiczy, tak jak ćwiczą zawodowi zawadiacy. W czym się ćwiczy? We własnych wspomnieniach, w tym, aby samotność, aby trans czasu, nie przebłągały niczego w jego duszy i w sercu. Jest bowiem w życiu jeden taki pojedynek, bez szabli, do którego warto się przygotować kompletnie. I to jest najbardziej niebezpieczne. Ale pewnego dnia przychodzi ta chwila. Ty także tak myślisz? – pyta uprzejmie.

– Dokładnie tak – mówi gość. I patrzy na popiół swojego cygara.

– Cieszę się, że ty również tak myślisz – mówi generał. – To oczekiwanie trzyma przy życiu. Naturalnie, ma ono swoje ograniczenie w czasie, jak wszystko w życiu. Gdybym nie wiedział, że pewnego dnia powrócisz, prawdopodobnie sam wybrałbym się w drogę, wczoraj lub przed dwudziestu laty, aby cię odszukać, w twoim domu pod Londynem albo w tropiku, pomiędzy Malajami, albo na dnie piekła. Bo chciałem cię odszukać, dobrze wiesz o tym. Wydaje się, że człowiek dobrze zna sprawy rozstrzygające i prawdziwe. Masz rację, zna, nawet nie mając dostępu do telefonu i radia. W moim domu nie ma telefonu, jest tam, na dole, w biurze rządcy, radia także nie mam, ponieważ zabroniłem wpuszczać do pokoi, w których mieszkam, wszelki brud i głupi zgiełk. Świat nie może mi już nic więcej zrobić. Nowy ład może unicestwić ten sposób życia, w jakim się urodziłem, i w jakim żyłem, burzące się i atakujące siły mogą mnie pobić, odebrać wolność i życie. Wszystko to jest mi obojętne. Natomiast ważne jest to, że ja nie targuję się ze światem, który poznałem i wykluczyłem z mojego życia. A jednak bez współczesnych środków pomocniczych dowiedziałem się, że żyjesz, i pewnego dnia przyjedziesz do mnie. Nie przyspieszałem tej chwili. Wołałem czekać, tak jak każdy człowiek czeka na swój czas i naturalną kolej każdej rzeczy. Ta chwila nadeszła.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta Konrad. – Wyjechałem i miałem do tego prawo. Możliwe, że miałem również powód. Owszem, wyjechałem nagle, bez pożegnania. Z pewnością wiedziałeś i czułeś, że nie mogłem postąpić inaczej, to był mój problem.

– Nie mogłeś postąpić inaczej? – pyta generał i podnosi głowę. Patrzy na gościa przenikliwym spojrzeniem, jak na przedmiot. – Właśnie o to chodzi. To nad tym się głowię, nie od wczoraj. Jeżeli dobrze liczę, od czterdziestu jeden lat.

I kiedy gość milczy:

– Teraz, gdy już jestem stary, wiele myślę o dzieciństwie. Powiadają, że to zwykły bieg rzeczy. Człowiek lepiej i dokładniej pamięta to, co było na początku, kiedy kres jest bliski. Widzę twarze i słyszę głosy. Widzę tę chwilę, kiedy w ogrodzie Instytutu przedstawiam cię mojemu ojcu. On wtedy uznał cię za przyjaciela, ponieważ byłeś moim przyjacielem. Z trudem uznawał kogoś za przyjaciela. Ale, skoro już tak powiedział, to można było na tym

polegać do śmierci. Czy pamiętasz tę chwilę?... Staliśmy pod kasztanami, u początku długiego podjazdu, i ojciec uściśnął ci rękę. „Jesteś przyjacielem mojego syna” – powiedział. – „Uszanujcie tę przyjaźń” – powiedział poważnie. Myślę, że nic nie było dla niego równie ważne, jak to słowo. Słuchasz mnie? Dziękuję. Wobec tego będę mówił. Postaram się mówić składnie. Nie niepokój się, powóz czeka, w każdej chwili, jeśli zechcesz stąd wyjść, możesz wrócić do miasta. Sądzę, że przenocowanie tutaj nie sprawiłoby ci przyjemności. Ale, jeśli sobie życzysz, możesz tu spędzić noc – mówi obojętnie, mimochodem. A gdy gość przecząco kręci głową: – Jak sobie życzysz – mówi. – Powóz czeka. Powrócisz do miasta, stamtąd rano udasz się w podróż powrotną, do domu, w pobliżu Londynu, albo w tropiki, dokąd zechcesz. Ale najpierw wysłuchaj mnie.

– Wysłucham cię – mówi gość.

– Dziękuję – odpowiada nieco żywiej. – Moglibyśmy mówić i o czymś innym. Dwóch starych przyjaciół, kiedy słońce już nad nimi zapada, wspomina wiele różnych rzeczy. Ale teraz, skoro już tutaj jesteś, będziemy mówić tylko o prawdzie. Zacząłem od tego, że mój ojciec uznał cię za przyjaciela. Wiesz dobrze, co to dla niego znaczyło, dobrze wiedziałeś, że ten, komu podaje rękę, może na niego liczyć w każdym kłopotcie, w biedzie, w każdym niepowodzeniu i nagłym zwrocie fortuny, do samej śmierci. Prawda, że rzadko podawał rękę. Ale jeśli już, to bez reszty. Właśnie tak uściśnął ci rękę, na dziedzińcu Instytutu, pod kasztanami. Mieliliśmy wtedy po dwanaście lat. To była ostatnia chwila dzieciństwa. Czasami nocą wyraźnie widzę tę chwilę, jak wszystko inne, co było ważne w życiu. Dla mojego ojca to słowo „przyjaźń” znaczyło dokładnie tyle samo, co honor. Dobrze o tym wiedziałeś, znałeś go przecie. I muszę ci powiedzieć, że dla mnie znaczyło, być może, jeszcze więcej. Wybacz, jeśli to, co teraz mówię, jest dla ciebie niemiłe – mówi cicho, niemal ciepło.

– Nie jest mi niemiłe – odpowiada tak samo Konrad. – Mów.

– Dobrze byłoby wiedzieć – mówi, jakby polemizował sam ze sobą – czy przyjaźń w ogóle istnieje? Nie myślę teraz o okazyjnej radości, jaką sprawia sobie nawzajem dwoje ludzi, ponieważ się spotkali, ponieważ w pewnym okresie życia jednakowo myślą o pewnych problemach, ponieważ mają podobny gust, to samo ich bawi. Ale to nie jest przyjaźń. Niekiedy myślę zgoła, że jest to najsilniejszy związek w życiu... może dlatego takie rzadki. Co tkwi u jego podstaw? Sympatia? Puste, jałowe słowo, za słabe, aby dwóch ludzi w krytycznej życiowej sytuacji mogło wesprzeć się wzajemnie z samej tylko sympatii. Może więc coś innego?... Może w głębi wszystkich ludzkich związków jest jakiś maleńki Eros? Tutaj, w samotności, wśród lasów, kiedy próbowałem zrozumieć wszystkie zagadnienia życia, czasami, nie mając nic do roboty, myślałem o tym. Przyjaźń to naturalnie coś innego, niż problem ludzi o chorobliwej skłonności, którzy u tej samej płci szukają jakiegoś zwyrodniałego zadowolenia. Eros przyjaźni nie potrzebuje ciała... ono mu nawet przeszkadza, albowiem działa podniecająco. A jednak Eros. Na dnie każdej miłości, każdego ludzkiego związku żyje Eros. Wiesz, dużo czytałem – mówi tonem usprawiedliwienia. – Dzisiaj piszą o

tym o wiele swobodniej. Ale Platona także czytałem, wielokrotnie, bo w szkole jeszcze go nie rozumiałem. Przyjaźń – tak ja uważam – ty, który dużo jeździłeś po świecie, z pewnością wiesz o niej więcej i coś innego niż ja w mojej wiejskiej samotni – jest to taki ludzki związek, od którego nie ma nic szlachetniejszego pomiędzy żywymi istotami. Ciekawe, że znają go zwierzęta. Bo istnieje także przyjaźń zwierzęca, bezinteresowność, gotowość przyjścia z pomocą. Pisał o tym pewien rosyjski książę, nie pamiętam jego nazwiska. Są lwy i cietrzewie-samce, żywe istoty wszelkiego rzędu i stopnia rozwoju, które starają się pomóc nieszczęśnikom należącym do tego samego rodzaju, które wpadły w tarapaty, co więcej, sam widziałem, jak czasami spieszą z pomocą także osobnikom innego gatunku. Zauważyłeś coś takiego zagranicą? Tam z pewnością przyjaźń jest inna, bardziej postępowa, bardziej nowoczesna niż u nas, w naszym zacofanym świecie. Żywe istoty organizują sobie pomoc wzajemną... niekiedy trudno jest im pokonać przeszkody, ale zawsze, w każdej żywej wspólnocie trafiają się silne istoty, skłonne dopomóc słabszym. Widziałem na to setki przykładów w świecie zwierząt. Pomiędzy ludźmi rzadziej widywałem podobne przykłady. Sympatie, jakie na moich oczach rodziły się pomiędzy ludźmi, w końcu zawsze grzęzły w bagnie samolubstwa i próżności. Niekiedy koleżeństwo wygląda tak, jakby było przyjaźnią. Wspólne interesy także czasem stwarzają pewne sytuacje podobne do przyjaźni. Wreszcie, ludzie chętnie uciekają od samotności we wszelkiego rodzaju poufałość, aczkolwiek najczęściej tego żałują, ale do czasu skłonni są wierzyć, że owa poufałość jest pewną odmianą przyjaźni. Wszystko to, oczywiście, nie jest prawdziwe. Człowiek wyobraża sobie – i mój ojciec tak to właśnie rozumiał – że przyjaźń jest służbą. Przyjaciel, podobnie jak zakochany, nie oczekuje nagrody za swoje uczucia. Nie chce kompensaty. Tego, kogo obdarzył przyjaźnią, nie uważa za istotę nierealną, zna jej błędy, a jednak angażuje się ze wszystkimi tego konsekwencjami. To byłby ideał. Swoją drogą, czy warto żyć, czy warto być człowiekiem nie mając takiego ideału? A kiedy przyjaciel zawodzi, ponieważ nie jest prawdziwym przyjacielem, można go oskarżać, jego charakter, jego słabość? Cóż warta jest taka przyjaźń, w której kochamy w innym cnoty, wierność, wytrwałość? Cóż warta jest wszelka miłość, która żąda nagrody? Czyż nie jest naszym obowiązkiem, byśmy tak samo darzyli przyjaźnią niewiernego, jak wiernego i ofiarnego? Czyż prawdziwą treścią każdego ludzkiego związku nie jest bezinteresowność, która niczego, ale to niczego nie chce i nie oczekuje od drugiego? I im więcej daje, tym mniej spodziewa się w zamian? A kiedy oddaje całą ufność młodości i całą ofiarność wieku męskiego, i kiedy wreszcie obdarza kogoś czymś największym, co człowiek może dać człowiekowi: ślepy, bezwarunkowym, żarliwym zaufaniem, a potem musi na własne oczy zobaczyć, że ten drugi jest niewierny i nikczemny, czyż ma prawo obrazić się, żądać odwetu? A jeśli się obraził i pragnął zemsty, byłże on, oszukany i porzucony, przyjacielem? Widzisz więc, jakimi zajmowałem się kwestiami teoretycznymi, kiedy zostałem sam. Samotność, naturalnie, nie dostarczyła żadnej odpowiedzi. W książkach również jej nie znalazłem. Ani księgi dawne, prace myślicieli

chińskich, żydowskich i łacińskich, ani też współczesnych, którzy są otwarci, a jednak wypowiadają raczej słowa, niż prawdę. Ale czy ktoś gdzieś opowiedział, opisał prawdę? O tym także wiele myślałem, gdy pewnego dnia zacząłem szukać we własnej duszy i w książkach. Mijał czas i życie zmierzało wokół mnie. Nagromadziło się wiele książek, zrobiło się gęsto od wspomnień. W każdej książce była jedynie odrobina prawdy, a każde wspomnienie mówiło mi, że człowiek daremnie szuka prawdziwej natury ludzkich związków, a jakakolwiek wiedza nie uczyni go mądrzejszym. Dlatego też nie mamy prawa żądać bezwzględnej prawdy i wierności od tego, którego uznaliśmy za naszego przyjaciela, nawet wtedy, gdy zdarzenia pokazały, iż ów przyjaciel był wiarołomny.

– Czy jesteś całkowicie pewien – pyta gość – że ów przyjaciel był wiarołomny?

Teraz długo milczą. Dwaj zgrzybiali starcy patrzą na siebie w niespokojnym blasku świecy; niepozorni, nieomal niktą w półmroku.

– Nie jestem całkowicie pewien – mówi generał. – Dlatego jesteś tutaj. Właśnie o tym mówimy.

Odchyła się w fotelu, splata ręce gestem spokojnym i zdecydowanym. Mówi tak:

– Bo istnieje prawda konkretna. Zdarzyło się to i to. Tak i tak. Wtedy i wtedy. Nietrudno się o tym dowiedzieć. Fakty mówią, jak zwykły mówić, pod koniec życia wszystkie fakty denuncjują i wyją coraz głośniejsze, jak skazańcy na torturach. Na końcu wszystko się wydarzyło i nie można tego rozumieć opacznie. Lecz fakty niekiedy są tylko żalonymi konsekwencjami. Człowiek nie grzeszy tym, co uczynił, ale zamiarem, który doprowadził do tego czy tamtego. Wszystko jest zamiarem. Wielkie, dawne, oparte na religii systemy prawne, które studiowałem, wiedzą to i głoszą. Człowiek może dopuścić się wiarołomstwa, popełnić podłość, ba, coś najgorszego, może zabić, a w środku pozostać czystym. Sam czyn jeszcze nie jest prawdą. Zawsze jest tylko następstwem, jeżeli człowiek pewnego dnia jest sędzią i chce orzekać, nie może zadowolić się faktami zawartymi w policyjnym meldunku, ponieważ musiałby znać to, co prawnicy nazywają motywem. Fakt twojej ucieczki łatwo jest zrozumieć. Jej powodu – nie. Możesz mi wierzyć, że w ciągu minionych czterdziestu jeden lat przedsięwzięłem wszystkie możliwe działania i zbadałem to, co tłumaczy ten twój niezrozumiały krok. I ani jedna hipoteza nie dostarczyła mi odpowiedzi. Jedynie prawda może dać odpowiedź.

– Powiadasz: ucieczka – mówi Konrad. – To mocne słowo. W końcu nie byłem nikomu nic winny. Zrzekłem się mojej szarży, jak się godziło. Nie pozostawiłem za sobą brudnych długów, nikomu nie obiecałem niczego takiego, czego bym nie dotrzymał. Ucieczka, mocne słowo – mówi poważnie, odrobinę obruszony.

Lecz po drzeniu jego głosu znać, że gniew, który w tej chwili przydaje temu głosowi barwy nieco ciemniejszej, nie jest całkowicie szczery.

– Możliwe, że to słowo jest mocne – mówi generał i potakująco kiwa głową. – Ale, gdy na to, co się stało, spojrzysz z pewnego dystansu, będziesz musiał przyznać, że trudno znaleźć

słowo łagodniejsze i delikatniejsze. Powiadasz, że nikomu nie byłeś nic winny. To prawda i nieprawda. Naturalnie, że nie byłeś dłużny krawcowi ani lichwiarzom w mieście. Mnie również nie byłeś winien pieniędzy, nie musiałeś dotrzymywać żadnej obietnicy. A jednak, w pewnej chwili, kiedy owego lipcowego dnia – popatrz, pamiętam nawet dzień, to była środa – porzuciłeś miasto, wiedziałeś, że zostawiasz za sobą dług. Wieczorem byłem w twoim mieszkaniu, ponieważ słyszałem, że wyjechałeś. Dowiedziałem się o zmierzchu, wśród szczególnych okoliczności. O tym także możemy dziś pomówić, jeśli zechcesz. Udałem się do twojego mieszkania, gdzie przyjął mnie już tylko twój ordynans. Poprosiłem go, aby zostawił mnie samego w pokoju, w którym żyłeś, w ostatnich latach, kiedy służyłeś tutaj, w mieście, w pobliżu nas. – Umilkł. Odchyła się w fotelu, dłonią przysłania oczy, jakby patrzył w przeszłość. Spokojnym, sprawozdawczym tonem mówi dalej. – Ordynans, naturalnie, zastosował się do mojego rozkazu, nie mógł wszak inaczej. Pozostałem sam w pokoju, w którym żyłeś. Obejrzałem wszystko dokładnie... wybac mi tę nietaktowną ciekawość. Ale jakoś nie dowierzałem rzeczywistości, nie wierzyłem, by człowiek, z którym spędziłem kawał mojego życia, dokładnie dwadzieścia dwa lata, dzieciństwo, młodość, a potem najlepsze lata wieku męskiego, mógł uciec. Próbowałem znaleźć usprawiedliwienie, myślałem, a może jest chory, to znów miałem nadzieję, że oszalałeś albo że cię ścigają – może grałeś w karty bądź dopuściłeś się jakiejś niegodziwości względem pułku, względem sztandaru lub naraziłeś na szwank swoje słowo i swój honor. Miałem taką nadzieję. Tak, nie dziw się, w moich oczach wszystko to wydawało się mniejszym grzechem niż to, co uczyniłeś. Dla tego wszystkiego znalazłbym usprawiedliwienie i wytłumaczenie, nawet gdyby szło o niedochowanie wierności ideałom świata. I tylko jednego nie umiałem wytłumaczyć: tego, że uchybiłeś mnie. Tego nie rozumiałem. Na to nie było usprawiedliwienia. Odjechałeś jak jakiś defraudant, jak wychodzący ukradkiem złodziej, mimo iż jeszcze przed paroma godzinami byłeś z nami, z Krystyną i ze mną, w pałacu; w ciągu lat spędziliśmy wiele dni, a czasami i nocnych godzin, w takim wzajemnym zaufaniu i braterskiej zażyłości, jaką znają jedynie bliźnięta, owe dziwne istoty, które kaprys natury związał na śmierć i życie. Bliźnięta, rozumiesz, które z dala od siebie, w dorosłym wieku także wiedzą o sobie wszystko. Bowiem jakieś prawo biologiczne nakazuje, by zachorowali jednocześnie, by chorowali na to samo, nawet wtedy, gdy jeden żyje w Londynie, a drugi gdzieś daleko, w obcym kraju. Nie piszą do siebie, nie rozmawiają ze sobą, inaczej żyją, mieszkają, jedzą co innego, w innych warunkach, oddzieleni tysiącami kilometrów. A jednak, w wieku trzydziestu, czterdziestu lat, o tej samej godzinie, przy jednakowych szansach na wyzdrowienie lub śmierć, zapadają na tę samą chorobę, na przykład wylew żółci albo zapalenie wyrostka robaczkowego. Wspólny organizm ma dwa ciała, tak, jak było w łonie matki... Kochają i nienawidzą tę samą osobę. Jest tak w przyrodzie. Niezbyt często... ale może i nie tak rzadko, jak się to ludziom na ogół zdaje. Niekiedy dopuszczałem myśl, że może przyjaźń jest to taka więź, jak owa nieodwracalna współzależność bliźniaków. Osobliwa identyczność skłonności, sympatii, smaku, kultury,

dwóch ludzi w jedno i to samo łączy fatum. I na próżno jeden czyni cokolwiek przeciwko drugiemu, bowiem wspólny jest ich los. I daremnie jeden ucieka przed drugim, ponieważ wiedzą o sobie wszystko, co istotne. I daremnie jeden z nich wybiera sobie nowego przyjaciela lub kochankę, ponieważ bez tajemniczego, nie pisanego zezwolenia drugiego nie potrafi wyzwolić się z tej wspólnoty. Los takich ludzi spełnia się równolegle, daremnie jeden odchodzi daleko od drugiego, bardzo daleko, na przykład w tropiki. Myślałem o tym, z roztargnieniem, kiedy stałem w twoim pokoju, w dniu twojej ucieczki. Widzę tę chwilę wyraźnie, oświetlenie pokoju, jeszcze teraz czuję ciężki zapach angielskiego tytoniu, widzę meble, tapczan, wielki wschodni dywan, wizerunki koni na ścianie. Pamiętam nawet fotel pokryty skórą koloru bordo, idealny dla namiętnego palacza. Tapczan był wielki, zdawało się, wykonany specjalnie dla ciebie, ponieważ w naszej okolicy takich nie sprzedawano. Właściwie to nie był tapczan, lecz szerokie francuskie łoże, dla dwojga. Obserwuje dym.

– Okno wychodziło na ogród. Dobrze pamiętam?... Byłem tam wtedy pierwszy i ostatni raz. Nigdy nie chciałeś, abym cię odwiedził. Dodawałeś nawiasem, że wynajmujesz dom na skraju miasta, w opuszczonej dzielnicy, dom i ogród. Wynająłeś ten dom na trzy lata przed twoją ucieczką – przepraszam, widzę, że niechętnie słuchasz tego słowa.

– Nie przerywaj – mówi gość. – Nic nie zależy od słów. Mów dalej, skoro zacząłeś.

– Tak myślisz? – pyta nabożnie generał, głosem pełnym zaciekawienia. – Nic nie zależy od słów? Nie ośmieliłbym się powiedzieć tego tak kategorycznie. Czasami wydaje mi się, że bardzo wiele, może nawet wszystko zależy od słów, które człowiek w swoim czasie wypowiada, przemilcza albo zapisuje... Tak, wierzę, że tak jest – teraz już mówi stanowczo. – Nigdy nie zaprosiłeś mnie do tamtego mieszkania, a ja, nieproszony, nie mogłem cię odwiedzić. Szczerze mówiąc, myślałem, że wstydzisz się przede mną, człowiekiem bogatym, tego mieszkania, do którego sam kupowałeś meble... Może uważałeś, że te meble są biedniutki... Bo ty byłeś bardzo, bardzo hardym człowiekiem – powiedział zdecydowanie. – Jedno, co nas dzieliło w latach naszej młodości – to były pieniądze. Byłeś hardym człowiekiem i nie umiałeś mi wybaczyć, że jestem bogaty. Później, kiedy życie mijало, myślałem, że być może nie sposób wybaczyć bogactwa. Majątek, którego ty byłeś stałym gościem, był tak przytłaczający... Ja urodziłem się w nim, a przecież niekiedy także czułem, że nie sposób tego wybaczyć. I zawsze grymaśnie uważałeś na to, by w sprawach finansowych dawać odczuć, iż między nami dwoma jest różnica. Biedacy, szczególnie wytworni biedacy, nie wybaczą – mówi z dziwnym zadowoleniem w głosie. – Dlatego pomyślałem sobie, że być może z tej racji ukrywałeś przede mną swoje mieszkanie, może krępowało cię to niewyszukane umeblowanie. To głupia hipoteza, teraz widzę to jasno, lecz twoja pycha nie miała granic. No więc pewnego dnia znalazłem się w twoim domu, który wynająłeś i umeblowałeś, i nigdy mi go nie pokazałeś; stałem pośrodku twojego pokoju. Dziwiłem się i nie wierzyłem własnym oczom. To mieszkanie, dobrze o tym wiesz, było prawdziwym dziełem sztuki. Nie było wielkie. Duży pokój na parterze, dwa mniejsze na

piętrze, ale ogród, pokoje, meble, wszystko było takie... tak, tylko prawdziwy artysta potrafi tak urządzić swój dom. Wtedy zrozumiałem, że naprawdę jesteś artystą. Zrozumiałem również, jak bardzo musiałeś być obcy wśród nas, pomiędzy ludźmi innego rodzaju. I jak dalece zawinili wobec ciebie ci, którzy z miłości i ambicji oddali cię na żołnierza. Nie, ty nie byłeś żołnierzem – i zrozumiałem tę głęboką samotność, w jakiej żyłeś pomiędzy nami. Lecz ten twój dom był twoją kryjówką, czymś takim, jak w średniowieczu zamek albo klasztor dla samotników. I jak żebrak skradzione rzeczy, tak ty zносиłeś tutaj wszystko, co piękne i szlachetne: firany i dywany, stare brązy i srebra, kryształy i meble, rzadkie tkaniny... Wiem, że w owym czasie zmarła twoja matka, a także otrzymałeś spadek po swoich polskich krewnych. Kiedyś opowiedziałeś mi o tym, że gdzieś na rosyjskiej granicy jest dwór i majątek, i że kiedyś ten dom będzie twój. A więc to był ten dwór i majątek zamieniony na meble i obrazy, i trzy pokoje. Wielki fortepian stał pośrodku pokoju na parterze, przykryty starym brokatem, z kryształowym wazonem, w którym stały trzy orchidee. W tej okolicy jedynie w mojej oranżerii rosły orchidee. Przeszedłem przez pokoje, wszystko gruntownie obejrzałem. Zrozumiałem, że żyłeś wśród nas, a przecież nie wszedłeś między nas. Zrozumiałem, że w tajemnicy budowałeś to arcydzieło, swoje mieszkanie, nie oszczędzając sił, z uporem, ukrywając przed światem ten swój osobliwy dom, gdzie żyłeś dla siebie i dla swojej sztuki. Bo jesteś artystą i może nawet mógłbyś być coś stworzyć – mówi, jak ktoś, kto nie znosi sprzeciwu. – Wszystko zrozumiałem, pomiędzy rzadkimi meblami owego porzuconego domu. I w tym momencie weszła Krystyna.

Zakłada ręce na piersiach, mówi tak sucho, obojętnie, jakby relacjonował na policji okoliczności wypadku.

– Stałem przed fortepianem, patrzyłem na orchidee – mówi dalej. – To mieszkanie było takie jak czyjeś przebranie. A może to mundur był dla ciebie przebraniem? Na to pytanie tylko ty możesz odpowiedzieć, a zresztą teraz, gdy wszystko już przeminęło, odpowiedziałeś swoim życiem. W końcu człowiek zawsze odpowiada własnym życiem na co ważniejsze pytania. Nie liczy się, co tam mówi po drodze, jakimi się broni słowami i argumentami! U kresu, u kresu wszystkiego, faktami swojego życia odpowiada na pytania, które świat zadaje mu z takim uporem. Te pytania brzmią tak: kim jesteś?... Czego naprawdę chciałeś?... Co naprawdę wiedziałeś?... Czemu byłeś wierny i niewierny?... Do czego byłeś odważny, przed czym lub przed kim stchórzyłeś?... Takie są te pytania. A człowiek odpowiada, tak jak umie, szczerze albo kłamliwie; ale to nie jest takie ważne. Ważne jest to, że u kresu odpowiada całym swoim życiem. Ty zrzuciłeś mundur, ponieważ odczuwałeś go jako przebranie, to już się wyjaśniło. A ja zachowałem go do ostatniej chwili, dopóki żądał tego ode mnie świat, dopóki wymagała tego służba; ja także odpowiedziałem. To było jedno pytanie. I drugie: co miałeś wspólnego ze mną? Byłeś mi przyjacielem? Przecież w końcu uciekłeś. Odszedłeś bez pożegnania, jeśli nawet nie całkiem bez pożegnania, bo poprzedniego dnia, na polowaniu, zdarzyło się coś, czego sens pojąłem później; i to już było pożegnanie. Człowiek rzadko wie,

które jego słowo lub działanie, zapowiada ostatecznie rodzaj nieodwracalnej zmiany w stosunkach między ludźmi. Dlaczegoż to poszedłem do ciebie tamtego dnia? Czego szukałem w mieszkaniu, do którego nigdy mnie nie zaprosiłeś, właśnie tamtego dnia, kiedy odszedłeś stąd na zawsze? Jakaż to wieść kazała mi niezwłocznie wsiąść do karety, pospieszyć do miasta i odszukać cię w twoim domu, który wtedy już był pusty?... Czego dowiedziałem się poprzedniego dnia, na polowaniu? Czy coś cię nie zdradziło?... Nie otrzymałem poufnej informacji, przestrogi, meldunku, że szykujesz się do ucieczki?... Nie, wszyscy milczeli, nawet Nini – czy pamiętasz starą nianię? Ona wiedziała o nas wszystko. Czy jeszcze żyje? Owszem, żyje, na swój sposób. Żyje tak, jak to drzewo za oknem, które posadził był jeszcze mój pradziadek. Ma swój czas, jak każde żyjące stworzenie, czas, który musi przeżyć. Ona wiedziała. Ale nie wyrzekła jednego słowa. W tamte dni byłem zupełnie sam. A jednak wiedziałem, że to jest ta chwila, kiedy wszystko dojrzało, kiedy wszystko się wyjaśnia, kiedy wszystko i wszyscy trafili na swoje miejsce, ty również, i ja, każdy. Tak, na polowaniu dowiedziałem się – mówi tonem człowieka, który wspomina, jakby sam odpowiadał sobie na pytania, powracające stale, jak wyrzut. I wsłuchuje się w siebie.

– Czego dowiedziałeś się na polowaniu? – pyta Konrad.

– To było piękne polowanie – mówi, nieomal ciepło, jak ktoś, kto w myślach przeżywa każdy szczegół wspomnienia. – Ostatnie wielkie polowanie w tym lesie. Wtedy jeszcze żyli myśliwi... prawdziwi myśliwi... może i dzisiaj żyją, nie wiem. Ja wtedy w moim lesie polowałem ostatni raz. Od tamtego czasu chodzą tu strzelcy, goście, którzy bawią w mojej posiadłości, i z hukiem strzelają sobie w lesie. Polowanie, prawdziwe polowanie było czymś innym. Ty tego nie zrozumiesz, ponieważ nigdy nie byłeś myśliwym. Dla ciebie także i to było jedynie obowiązkiem, pańskim, należącym do fachu obowiązkiem, jak konna jazda albo życie towarzyskie. Polowałeś, ale tylko jak ktoś, kto ulega społecznej presji. Polowałeś ze wzgardą na twarzy. A i broń też nosiłeś tak niedbale, jak laseczkę. Nie znałeś tej dziwnej namiętności, tej najsekretniejszej namiętności w życiu mężczyzny, która niezależnie od pozycji, ubioru i wychowania żyje w nerwach każdego mężczyzny, tak głęboko, jak wieczny ogień w ziemi. Ta namiętność – to żądza zabijania. Jesteśmy ludźmi, nakazem naszego życia jest, abyśmy zabijali. Nie można inaczej... Człowiek zabija, aby coś obronić, zabija, aby coś zdobyć, zabija, aby coś pomścić. Uśmiechasz się?... Uśmiechasz się pogardliwie? Byłeś artystą, w twojej duszy wydelikatniały te nieczne, niskie instynkty?... Myślisz, że nigdy nie zabiłeś żywej istoty? To nie jest takie pewne – mówi surowo i bezstronnie. – Nadszedł taki wieczór, kiedy nie ma sensu mówić o czymś innym niż o prawdzie i sednie rzeczy, ponieważ taki wieczór nie ma dalszego ciągu i być może, nie nastąpi po nim zbyt wiele wieczorów i dni... rozumiem to tak, iż w każdym razie nie nadejdzie taki wieczór, który miałby jakiś szczególny sens. Może pamiętasz, jak pewnego razu, dawno temu, i ja podróżowałem po Wschodzie; zdarzyło się to podczas naszej podróży poślubnej. Podróżowaliśmy wśród Arabów, w Bagdadzie byliśmy gośćmi pewnej arabskiej rodziny. To są najznakomitsi ludzie,

o czym ty, podróżnik, z pewnością wiesz. Ich pycha, człowiecza duma, zachowanie się, ich porywczosć i spokój, cielesna dyscyplina i świadomość każdego ruchu, ich zabawy i błysk w oku, wszystko to odzwierciedla dawną pańskość, tę inną, z zamierzchłych czasów, kiedy człowiek po raz pierwszy, w zamięcie tworzenia, uświadomił sobie swoją ludzką godność. Według pewnej teorii ludzki świat zaczął się gdzieś, u zarania dziejów, przed ludami, plemionami, kulturami, w głębi świata arabskiego. Może dlatego są tacy dumni. Nie wiem. Nie znam się na tym... Ale znam się trochę na dumie i tak jak ludzie, bez zewnętrznych znaków rozpoznawczych, wzajemnie wyczuwają, jakiej są krwi i jakiej rangi, tak i ja w czasie tych paru tygodni na Wschodzie czułem, że wszyscy tam są panami, także brudni wielbłądnicy. Jak mówię, mieszkaliśmy u tuziemców, w domu jak pałac; na polecenie naszego posła byliśmy gośćmi tamtejszej rodziny. Te chłodne, białe domy... znasz je? Wielki dziedziniec, gdzie nieprzerwanie kipi życie rodzinne i plemienne, jest to jednocześnie cotygodniowy jarmark, parlament i plac przed świątynią... To wałęsanie się i chciwa żądza gry w każdym ich ruchu. To pełne godności i uparte próżnowanie, za którym tak kryje się chęć życia i namiętność, jak wąż pośród nagranych słońcem, nieruchomych kamieni. Jednego wieczora zaproszono na naszą cześć gości, arabskich gości. Do tej pory goszczono nas na sposób bez mała europejski, pan domu był sędzią i przemysłowcem, jednym z najbogatszych ludzi w mieście. W pokojach gościnnych stały angielskie meble, wanna była ze szczerzego srebra. Ale tamtego wieczora coś zobaczyliśmy. Po zachodzie słońca przybyli goście, sami mężczyźni, panowie i służba. Pośrodku podwórza już płonął ogień ze żrącym dymem, oczy szczypał dym z wielbłądziego obornika. Wszyscy usiedli w milczeniu wokół ognia. Krystyna była jedyną wśród nas kobietą. Potem przyniesiono jagnię, białego baranka, gospodarz wyjął nóż i gestem, którego nie sposób zapomnieć, zarznął go... Tego gestu nie można się nauczyć, jest to gest wschodni, z czasów, gdy zabicie miało jeszcze sens religijny, symboliczny, było tożsame z czymś istotnym, z ofiarą. Tak Abraham podniósł nóż na Izaaka, gdy chciał go ofiarować, tym gestem w dawnych świątyniach, przed ołtarzem, przed bóstwem, przed symbolem boga, zarzynano ofiarne zwierzęta i tym gestem ścięto również głowę świętemu Janowi Chrzcicielowi... To bardzo stary gest. Na Wschodzie zachował się w ręce każdego mężczyzny. Być może tym gestem zaczął się człowiek, kiedy rozstał się z ową poślednią istotą, jaką był, pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem... Wedle antropologii człowiek zaczął się wraz z tą oto umiejętnością: gdy potrafił zgiąć wielki palec, a więc złapać w garść broń, narzędzie. Możliwe wszakże, iż zaczął się od duszy, nie od zgiętego kciuka; możliwe, nie wiem... Arabski pan zarznął jagnię, i ten wiekowy człowiek w owej chwili, w białym burnusie, na który nie spadła ani jedna kropla krwi, naprawdę był taki, jak wschodni arcykapłan, gdy składa ofiarę. Ale oczy mu lśniły, odmłodził na moment, wokół zaległa śmiertelna cisza. Siedzieli dokoła ognia, widzieli gest zabijania, błysk noża, drgające ciało jagnięcia, krew ściekającą strumieniem, i wszystkim błyszcząły oczy. Wtedy zrozumiałem, że ci ludzie wciąż jeszcze żyją bardzo blisko faktu zabijania, krew jest im

dobrze znaną materią, a błysk noża jest dla nich równie naturalnym zjawiskiem jak uśmiech kobiety albo deszcz. Zrozumieliśmy – sądzę, że Krystyna także rozumiała, zaczerwieniła się, potem zbladła, ciężko oddychała, i odwróciła głowę, jakby nieumyślnie stała się świadkiem jakiejś namiętej i zmysłowej sceny – zrozumieliśmy, że na Wschodzie jeszcze znają święty i symboliczny sens zabijania, że znają także jego sens tajemniczy, uczuciowy. Bowiem te ciemne, szlachetne twarze, śmiały się, wszyscy nadstawiali usta jak do pocałunku, patrzyli przed siebie z pełnym zachwytem szyderstwem, jakby zabijanie było rzeczą dobrą i gorącą, taką, jak pocałunek. Jakie to dziwne: w języku węgierskim współbrzmia i wynikają z siebie te dwa słowa: *oles* (zabijanie) i *oleles* (obejmowanie)... Otóż to. My, oczywiście, jesteśmy ludźmi Zachodu – mówi innym tonem, odrobinę dyskursywnym. – Jesteśmy ludźmi Zachodu albo co najmniej przybyliśmy tutaj i osiedlili się. Dla nas zabijanie jest kwestią prawną i moralną, ewentualnie lekarską, w każdym razie coś jest dozwolone albo zabronione, jest to jedno z precyzyjnie opisanych zjawisk wielkiego systemu prawnego i moralnego. My także zabijamy, ale bardziej skomplikowanie; zabijamy tak, jak pozwala i określa prawo. Zabijamy w obronie wzniosłych idei i cennych ludzkich dóbr, zabijamy, aby zachować ład ludzkiego współżycia. Inaczej nie wolno. Jesteśmy chrześcijanami, mamy świadomość grzechu, jesteśmy wychowankami zachodniej kultury. Naszą historię wypełnia, aż po nasze dni, ciąg masowych morderstw, ale o zabijaniu mówimy ze spuszczonymi oczami, tonem nabożnym, nie bez nagany; nie możemy uczynić nic innego, taką nam wyznaczono rolę. Przecież to tylko polowanie – mówi, jak ktoś, kto nagle się rozwesela. – Tam także przestrzegamy rycerskich i praktycznych reguł. Oszczędzamy zwierzynę, na ile wymaga tego sytuacja na danym terenie, ale polowanie jest jeszcze ofiarą, resztką potwornych i rytualnych, starych jak sam człowiek praktyk religijnych. Bo to nieprawda, że myśliwy zabija dla zdobyczy. Nigdy nie zabijał tylko dla zdobyczy, nawet w czasach wspólnoty pierwotnej, kiedy zabijanie było dlań jednym z niewielu dostępnych mu sposobów zdobywania pożywienia. Dobry myśliwy zawsze był przewodnikiem plemienia, a więc po trosze i kapłanem. Wszystko to, naturalnie, zbladło z czasem. Ale ceremonie w pewnych wyblakłych relacjach pozostały. Może niczego w życiu tak nie kochałem, jak owych świtów, poranków przed polowaniem. Człowiek budzi się jeszcze w ciemności, dziwnie się ubiera, inaczej niż w dni powszednie, wkłada celowo dobrane części garderoby, co innego je na śniadanie, w pokoju oświetlonym lampą wzmacnia serce palinką, zagryzając zimnym mięsem. Kochałem zapach ubioru myśliwskiego, sukno napelniało się zapachem lasu, liści, powietrza i wytryśniętej krwi, ponieważ niosłeś na pasku ustrzelone ptaki, a ich krew brudziła kurtkę. Ale czy krew jest brudem?... Nie wiem. To jest najszlachetniejsza materia na świecie, i kiedy człowiek chciał powiedzieć Bogu coś wielkiego, coś niemożliwego do wysłowienia, zawsze składał mu ofiarę krwi. Zapach nasączonego olejem metalu strzelby. Zjełczały, surowy zapach skórzanych fatalaszków. Kochałem to wszystko – mówi, niemal wstydząc się, poważnie, jak ktoś, kto wyznaje prawdę o swojej słabości. – Potem wychodzisz z domu na podwórze, już czekają twoi

współtowarzysze, słońce jeszcze nie wzeszło, myśliwy trzyma psy na smyczy i cicho relacjonuje ci wydarzenia mijającej nocy. Teraz wsiadasz do powozu i odjeżdżasz. Okolica już się budzi, las się przeciąga, jakby sennymi ruchami przecierał oczy. Wszystko ma taką czystą woń, jakbyś wrócił do innej ojczyzny, tej, która była ojczyzną u zarania życia i rzeczy. Potem powóz zatrzymuje się na skraju lasu, wysiadasz, cicho towarzyszy ci twój myśliwy z psami. Pod zelówkami twoich juchtowych butów ledwie się odzywa mokry liść. Ścieżki pełne są tropów zwierzyny. I oto wszystko wokół ciebie zaczyna żyć: światło otwiera sklepienie lasu, jakby zaczynał działać tajemniczy mechanizm, ukryte nadscenie wielkiego teatru świata. Ptaki też już zaczynają śpiewać, sarna przebiega leśnym duktem, daleko, o jakieś trzysta kroków od ciebie, a ty wchodzisz w gęstwinę, obserwujesz. Jesteś z psem, dzisiaj nie idziesz czatować na sarnę... Zwierzę zatrzymuje się, niczego nie widzi, niczego nie węszy, bo wiatr wieje prosto na ciebie, a jednak wie, że w pobliżu czai się nieszczęście; podnosi głowę, obraca delikatną szyją, ciało sarny się napina, i w tym cudownym zespoleniu stoi przed tobą kilka chwil, bez ruchu; w ten sposób jedynie człowiek cofa się przed nieszczęściem, nic nie czyniąc, ponieważ wie, że nieszczęście nie jest przypadkowe, że to nie jest wypadek, ale jedno z naturalnych następstw nieobliczalnej i trudnej do pojęcia współzależności. I teraz już żałujesz, że nie zabrałeś ze sobą sztucera. Ty także cofasz się w gęstwinie, ty także jesteś przywiązany do tej chwili, ty, łowca. W ręce czujesz to drżenie, które jest tak stare jak człowiek, czujesz tę gotowość zabijania, to zakazane przyciąganie, tę coraz silniejszą namiętność, tę podniecie, która nie jest dobra ani zła, ale jest jedną z tajemniczych podnieć każdego życia: być silniejszym niż ten drugi, zręczniejszym, pozostać mistrzem, nie chybić. Czuje to pantera, gdy szykuje się do skoku, wąż, kiedy się wyprostowuje między skalnymi odłamkami, sęp, kiedy się rzuca z wysokości tysiąca metrów, i człowiek, kiedy wpatruje się w swoją ofiarę. To właśnie czułeś ty, może po raz pierwszy w życiu, w zasadzce, w lesie, kiedy podniosłeś broń i wycelowałeś we mnie, aby mnie zabić.

Nachyla się nad stolikiem, który stoi pomiędzy nimi, przed kominkiem; nalewa słodkiej palinki do kieliszka i czubkiem języka smakuje płyn koloru purpury, gęsty jak syrop. Po czym, zadowolony, odstawia kieliszek na stół.

– Jeszcze było ciemno – mówi, gdy ten drugi nie odpowiada. Nie protestuje, ani jednym ruchem ręki, ni błyskiem oczu nie daje znać, że słucha oskarżenia. – To była ta chwila, kiedy noc rozstaje się z dniem, świat podziemny oddziela się od świata nadziemskiego. Możliwe, że w takich chwilach dzieli się na dwoje także coś innego. To jest ostatnia sekunda, kiedy ludzka i ziemską głębia i wielkość, jasność i ciemność jeszcze się dotykają, kiedy śpiący wyrrywają się z ciężkich i dręczących snów, chorzy jęczą, ponieważ czują, że to już koniec nocnego piekła, po którym następuje bardziej przejrzyste cierpienie; ustrój dnia i dzienne światło odsłania i rozwiązuje to wszystko, co w ciemnym zamięcie nocy było zasupłanym życzeniem, sekretnym pragnieniem, epileptycznym porywem. Myśliwi i zwierzyna kochają tę chwilę. Już ustąpiła ciemność, a jeszcze nie nastąpiła jasność. Zapach lasu w owej chwili jest taki surowy, dziki, jakby każde żyjące stworzenie zaczynało się budzić w wielkiej sypialni świata, wydychać swój sekret i złe westchnienia, zarówno rośliny, zwierzęta jak i ludzie. Wstaje wiatr, tak ostrożnie, jak budzący się ze snu, kiedy wzdycha, uświadamiając sobie istnienie świata, na którym się urodził. Woń mokrych liści, dzikiej paproci, omszałych odpadków drzew, zgniłej szyszki, zwiędłego listowia, igieł, zapach miękkiego, śliskiego dywanu zroszonej leśnej ścieżki wydobywa się z materii ziemi tak samo, jak zapach potu ze splecionych ciał kochanków. Jest to chwila tajemnicza, starożytni, poganie czcili ją nabożnie w głębi lasów z rozłożonymi rękami, z twarzą obróconą na Wschód, w owym magicznym oczekiwaniu, tak oto człowiek przywiązany do materii, czeka od wieków na chwilę światła w swoim sercu i w świecie, a więc na chwilę olśnienia i zrozumienia. O tej porze zwierzęta wyruszają do źródła. To jest ta chwila, kiedy jeszcze nie nastąpił ostateczny kres nocy, kiedy w lesie jeszcze coś się dzieje, wielkie łowy i ciągła gotowość – to, co wypełnia życie nocnych zwierząt, jeszcze nie osłabło, żbik jeszcze stoi na czatach, niedźwiedź pożera resztę padliny, zakochany jeleni wraca pamięcią do namiętnych chwil księżycowej nocy, staje pośrodku polany, gdzie odbył się miłosny pojedynek, butny i potargany, podnosi głowę ranną od ciosów i rozgląda się poważnymi zwierzęcymi oczami, z gniewu podbiegłymi krwią, jak ktoś, kto na wieki pamięta o swojej pasji. Noc jeszcze żyje w owej chwili, w głębi lasu: noc, i wszystko, co to słowo znaczy: zdobycz, miłość, wałęsanie się, spontaniczną radość życia i

świadomość walki o życie. To jest ta chwila, kiedy coś się dzieje nie tylko w leśnej gęstwinie, ale i w mroku ludzkich serc. Bo serce człowieka także ma swoją noc, z porywami, które są tak samo dzikie, jak szalejące pasje myśliwskie w sercu jelenia lub wilka. Sen, pożądanie, próżność, samolubstwo, lubieżna ruja, zazdrość, żądza zemsty, czają się w sercu człowieka jak puma, sęp, szakal w pustyni arabskiej nocy. I są takie chwile, kiedy już noc ustąpiła z serca człowieka, a dzień jeszcze w nim nie nastał, kiedy bestie wyłazą ze spróchniałych kryjówek duszy, kiedy w naszych sercach porusza się, a w rękach przemienia w ruch pewna pasja, którą latami daremnie hodowaliśmy i oswajaliśmy... Wszystko było na próżno, beznadziejnie zaprzeczaliśmy przed samymi sobą prawdziwemu sensowi tej pasji: rzeczywista treść namiętności była silniejsza niż nasze zamiary, nie roztopiła się, pozostała zbita i twarda. Na dnie wszystkich ludzkich związków jest jakiś namacalny materiał, daremna jest wszelka argumentacja, usilne starania, rzeczywistość się nie zmienia. Rzeczywistość była taka, że ty nienawidziłeś mnie przez dwadzieścia dwa lata, z tą pasją, której skala przypominała nieledwie żar wielkich związków uczuciowych – ależ tak, miłość. Nienawidziłeś, a gdy uczucie, pasja całkowicie wypełni ludzką duszę, na spodzie takiego stosu, obok entuzjazmu, żarzy się i dymi żądza zemsty... Bo namiętność nie posługuje się argumentami rozumu. Dla namiętności jest całkowicie obojętne, co otrzymuje od drugiego, chce bez reszty wyrazić samą siebie, chce bez reszty oddać własną wolę, również i wtedy, gdy w zamian nie otrzymuje nic innego, jak tylko subtelne uczucia, grzeczność, przyjaźń albo cierpliwość. Każda wielka namiętność jest beznadziejna, w przeciwnym razie nie byłaby to namiętność, lecz ugoda, mądra spolegliwość, pozbawione żaru wzajemne usługi. Nienawidziłeś, a to stwarza więź równie silną, jakbyś kochał. Dlaczego nienawidziłeś?... Był czas, kiedy usiłowałem zrozumieć to uczucie. Nigdy nie przyjąłeś ode mnie pieniędzy ani prezentu, nie dopuściłeś, aby z tej przyjaźni zrodziło się prawdziwe braterstwo, i gdybym w tamtym czasie nie był zbyt młody, musiałbym wiedzieć, że to znak podejrzany i niebezpieczny. Bo ten, kto nie przyjmuje części, prawdopodobnie chce wszystkiego, całości. Znienawidziłeś mnie już w czasach naszego dzieciństwa, w pierwszej chwili, kiedy cię poznałem, w tym dziwnym domu, gdzie uszlachetniano i formowano wybrane egzemplarze znanego nam świata, nienawidziłeś, ponieważ było we mnie coś, czego tobie brakowało. Co to było? Jakieś zdolności albo jakaś właściwość?... Ty zawsze byłeś bardziej wykształcony, ty byłeś zrobionym na siłę arcydziełem, ty – ten pilny i cnotliwy, ty byłeś talentem, ponieważ miałeś instrument i swoją tajemnicę – w prawdziwym znaczeniu tego słowa – muzykę. Ty byłeś spokrewniony z Chopinem, byłeś tym, który coś ukrywa, byłeś butny. Ale w głębi duszy dręczyła cię konwulsyjna namiętność – pragnienie bycia kimś innym, niż jesteś. To najdotkliwszy cios, jaki fatum może zadać człowiekowi. Pragnienie bycia kimś innym, niż tym, kim jesteśmy: silniejsze pragnienie nie może zapłonąć w ludzkim sercu. Bowiem życia nie można znosić w inny sposób, niż ze świadomością, że godzimy się z tym wszystkim, co znaczymy dla siebie i dla świata. Trzeba zgodzić się z tym, że jesteśmy tacy lub inni, i

wiedzieć, kiedy się z tym godzimy, że za tę mądrość nie otrzymamy pochwały od życia, nie przypną nam do piersi orderu, kiedy wiemy i znosimy to, że jesteśmy próżni, samolubni albo łysi i brzuchaci – nie, należy wiedzieć, że za nic nie otrzymamy nagrody ani pochwały. Musimy to znosić, oto i cała tajemnica. Musimy znosić nasz charakter, naszą naturę, ponieważ doświadczenie i zdolność rozumienia nie zmieniają jej wad, samolubstwa, chciwości. Trzeba znosić i to, że nasze pragnienia nie znajdują odzewu w świecie. Że ci, których kochamy, nie kochają nas albo, że nie kochają tak, jak się spodziewamy. Trzeba znosić zdradę i niewierność, i to, co liczy się między najtrudniejsze zadania każdego człowieka, trzeba znosić wybitność charakteru lub umysłu drugiego człowieka. Tyle się nauczyłem w ciągu siedemdziesięciu pięciu lat, tutaj, w środku lasu. Ale ty nie umiałeś znosić tego wszystkiego – mówi cicho, konstatając. I milknie, wzrokiem krótkowidza patrzy w mrok.

– W dzieciństwie, naturalnie, nie wiedziałeś tego wszystkiego – mówi znowu, jak ktoś, kto szuka usprawiedliwienia. – To był piękny czas, cudowna pora. Pamięć, na starość, powiększa i ukazuje w jasnych barwach każdy szczegół. Byliśmy dziećmi i byliśmy przyjaciółmi: to wielkie szczęście, podziękujmy losowi, żeśmy go dostąpili. Ale później ukształtował się twój charakter i nie mogłeś znieść, że brakuje ci czegoś, co mnie dawało pochodzenie, wychowanie: jakiegoś boskiego daru. Cóż to był za dar? Czy to w ogóle był dar? Po prostu było tak, że świat spoglądał na ciebie obojętnie, niekiedy wrogo, a mnie ludzie obdarzali zaufaniem i uśmiechali się do mnie. Ty pogardzałeś tą ufnością i przyjaźnią, jaką świat promieniował ku mnie, pogardzałeś i jednocześnie byłeś śmiertelnie zazdrosny. Mogłeś sobie wyobrazić – oczywiście domeną twojej wyobraźni nie były słowa, lecz mgliste uczucia – że w tym, iż ktoś jest pieszczochem losu, że jest kochany – jest coś nierządnego. Są ludzie, których wszyscy kochają, dla których każdy ma wybaczący i ciepły uśmiech, i w takich ludziach rzeczywiście jest jakaś potrzeba wdzięczenia się, coś z obyczajów ulicznicy. Widzisz, ja już nie boję się słów – mówi i uśmiecha się, jakby zachęcał drugiego, iżby i on się nie bał. – W samotności człowiek poznaje wszystko i przestaje się bać czegokolwiek. Ludzie, na których czołach odbija się znak nieba, wskazujący, że Bóg ma ich w swojej pieczy, naprawdę czują się istotami wybranymi i w owej manierze kroczenia ku światu jest jakaś chępliwość. Ale jeżeli tak postrzegałeś mnie, myliłeś się. Jedynie zazdrość, która deformuje, mogła mnie przedstawić właśnie takim. Nie bronię się, ponieważ chcę prawdy, a kto szuka prawdy, musi jej poszukiwanie rozpocząć od samego siebie. To, co ty odczuwałeś we mnie i wokół mnie jako łaskę i dar boży, nie było niczym innym jak dobrą wiarą. Ja byłem człowiekiem dobrej wiary, przez cały ten dzień, kiedy... ależ tak, przez cały ten dzień, kiedy stałem w twoim pokoju, tam, skąd ty uciekłeś. Może ta dobra wiara skłaniała ludzi, którzy kierowali ku mnie swoje uczucia, aby obdarzali mnie życzliwością, uśmiechem i zaufaniem. Tak, było we mnie coś – mówię o zamierzchłych czasach, i wszystko to, o czym mówię, jest takie odległe, jak wtedy, gdy człowiek mówi o kimś zmarłym albo obcym – był we mnie pewien rodzaj lekkości i bezstronności, który rozbrajał ludzi. Był taki czas w moim życiu,

dekada młodości, kiedy świat posłusznie znosił moją obecność, moje wymagania. Czas łaski. Wtedy każdy spieszy do ciebie, jakbyś był zdobywcą, którego należy czcić winem, dziewczętami i wieńcem z kwiatów. I naprawdę, w czasie owej dekady, kiedy ukończyliśmy szkołę we Wiedniu, i później, kiedy żyliśmy w jednostce, ani na chwilę nie opuszczała mnie pewność, uczucie, że bogowie włożyli mi na palec niewidzialny pierścień szczęścia, że nie może mi się zdarzyć nic naprawdę przykrego, że otacza mnie miłość i zaufanie. Cóż więcej człowiek może dostać od życia – mówi poważnie. – To największa łaska. Kto wtedy staje się butny, kto będzie zarozumiały i zuchwały, kto nie umie przyjmować z pokorą szczodroliwości losu, kto nie wie, że ów stan łaski trwa dopóty, dopóki dary boże nie zostaną rozmienione na drobne, ten przegra. Świat wybacza do pewnego czasu jedynie tym, którzy w swych sercach są skromni i pokorni... A więc nienawidziłeś – mówi z determinacją. – Kiedy młodość zaczęła mijać, kiedy wyczerpał się urok dzieciństwa, powoli zaczął się oziębiał ten nasz związek. Nie ma smutniejszego, bardziej beznadziejnego procesu uczuciowego nad wygasanie męskiej przyjaźni. Bo pomiędzy kobietą i mężczyzną jest tak, że każde z nich stawia swoje warunki, jak w umowie kupna-sprzedazy. Tymczasem bezinteresowność jest najgłębszym sensem przyjaźni między mężczyznami, właśnie to, że nie chcemy od drugiego ofiary ani czułości, nie chcemy niczego, prócz tego, by utrzymać harmonię owego bezsłownego sojuszu. Możliwe jednak, że to ja popełniłem błąd, ponieważ niedostatecznie znałem ciebie. Godziłem się z tym, że nie odsłaniasz się bez reszty, szanowałem twój intelekt, tę dziwną, gorzką wyniosłość, jaka promieniowała z twojej istoty, uwierzyłem, że i ty przebaczasz mi, podobnie jak świat, ponieważ posiadam pewien rodzaj umiejętności: łatwo i pogodnie zbliżam się do ludzi, umiem być pożądanym tam, gdzie ciebie jedynie tolerują, że wybaczasz mi, iż jestem za pan brat z całym światem. Wierzyłem, że ciebie to cieszy. Nasza przyjaźń była przecież taka, jak przyjaźń niegdysiejszych mężczyzn w legendach. I podczas gdy ja chodziłem po bardziej osłonecznionych drogach tego świata, ty pozostawałeś w cieniu, świadomie. Nie wiem, czy i ty odczuwałeś to tak samo?...

– Mówiłeś o polowaniu – wymijająco odpowiada gość.

– O polowaniu, tak – przytakuje generał. – Ale to wszystko prowadzi do polowania. Kiedy człowiek chce zabić drugiego człowieka, bardzo wiele, naturalnie, dzieje się wcześniej i nie tylko dzieje się to, że ładuje, a potem podnosi broń. Wcześniej dzieje się również to, o czym mówiłem, to, że nie umiałeś mi wybaczyć, to, że przyjaźń, jaka zawiązała się na głębokich wodach dzieciństwa tak zawile i trwale, jakby dwóch chłopców kołysały olbrzymie liście bajkowych lili wodnych, baśniowe mądre liście *Victoria regia* – pamiętasz, tutaj, w oranżerii przez długi czas hodowałem tę wężką, tajemniczą, zakwitającą tylko jeden raz w roku roślinę? – że ta przyjaźń pewnego dnia popsuka się. Przeminał magiczny czas dzieciństwa i pozostało dwóch ludzi, splecionych więzami wymagającego, tajemniczego związku, którego imię pospolite brzmiało: przyjaźń. To również powinniśmy wiedzieć, zanim zacniemy mówić o polowaniu. Bo człowiek nie jest bezwarunkowo i najbardziej winny w

momencie, gdy podnosi broń, aby kogoś zabić. Wina jest wcześniej, zamiar jest winą. I kiedy mówię, że pewnego dnia ta przyjaźń popsuła się, powinienem wiedzieć, czy naprawdę się zepsuła, a jeśli tak, to co i kto ją popsuł. Bo różniliśmy się, a jednak należeliśmy do siebie, byłem inny niż ty i uzupełnialiśmy się, byliśmy związkiem, umową ludzką, a to rzadko zdarza się w życiu. I to, czego brakowało twojej istocie, w młodzięcym związku nas dwóch osiągnęło pełnię dzięki temu, że świat był dla mnie miły. Byliśmy przyjaciółmi – teraz mówi podniesionym głosem. – Zrozum, na wypadek, gdybyś tego nie wiedział. Ale z pewnością wiedziałeś i wcześniej, i później, w tropikach czy gdziekolwiek. Byliśmy przyjaciółmi, a to słowo napełnione jest tego rodzaju sensem, iż wiąże się z nim odpowiedzialność, jaką znają jedynie mężczyźni. Powinieneś poznać odpowiedzialność, jakiej żąda to słowo. Byliśmy przyjaciółmi, a więc nie kompanami, nie bratającymi się wyrostkami, nie towarzyszami broni. Byliśmy przyjaciółmi i nie ma niczego takiego na świecie, co może zastąpić przyjaźń. Samozzerająca się namiętność także nie może dostarczyć tej ludzkiej radości, jaką milcząca i taktowna przyjaźń daje tym, których przenika swoją energią. Bo jeżeli nie jesteśmy przyjaciółmi, to ty tamtego ranka w lesie, na polowaniu, nie podnosisz na mnie broni. I jeśli nie jesteśmy przyjaciółmi, ja nazajutrz nie idę do twojego mieszkania, do którego nigdy mnie nie zaprosiłeś, którego tajemnicy strzegłeś, złej i niepojętej tajemnicy, która zatręła naszą przyjaźń. I jeżeli nie jesteś moim przyjacielem, nie uciekasz nazajutrz z tego miasta, z zasięgu mojego wzroku, z miejsca przestępstwa, jak zabójcy i złoczyńcy, lecz zostajesz tutaj, oszukujesz, zdradzasz, może to i boli, może rani moją próżność, ale to wszystko nie jest tak złe, jak to, co zrobiłeś, ponieważ byłeś moim przyjacielem. I jeżeli nie jesteśmy przyjaciółmi, ty nie powracasz po czterdziestu jeden latach, znowu jako ten zabójca i złoczyńca, który zakrada się na miejsce przestępstwa. Bo musiałeś powrócić, widzisz. I teraz powinienem ci powiedzieć to, co docierało do mnie bardzo powoli, w co nie uwierzyłem, czemu przeczyłem przed samym sobą, powinienem ci powiedzieć o tym strasznym zaskoczeniu i odkryciu: że i teraz, wciąż jeszcze jesteśmy przyjaciółmi. Wydaje się, że żadna zewnętrzna siła nie może zmienić ludzkich związków. Coś we mnie zabiłeś, zniszczyłeś moje życie, a ja nadal jestem twoim przyjacielem. Ja zaś dzisiejszego wieczora zabiję coś w tobie, po czym pozwolę ci wrócić do Londynu albo w tropiki, albo do piekła, ale pozostaniesz moim przyjacielem. Bo to także powinniśmy wiedzieć, zanim zacniemy mówić o polowaniu, a również o tym wszystkim, co przyszło po nim. Albowiem przyjaźń nie jest to jakieś idealne uczucie. Przyjaźń jest surowym ludzkim prawem. W starym świecie było to najsilniejsze prawo, na którym budowano systemy prawne wielkich kultur. To prawo żyło w ludzkich sercach, poza porywem, poza egoizmem, to jest prawo przyjaźni. I było silniejsze niż namiętność, która w beznadziejnym porywie pcha ku sobie mężczyzn i kobiety; przyjaźni nie może spotkać zawód, ponieważ niczego nie chce od drugiego człowieka; można było zabić przyjaciela, ale przyjaźni związanej między dwoma mężczyznami w latach dzieciństwa być może nawet śmierć nie zabije: jej pamięć żyje nadal w świadomości człowieka, jak pamięć cichego

bohaterskiego czynu. Bo tak naprawdę to przyjaźń jest także czynem bohaterskim, w cichym i fatalistycznym znaczeniu tego słowa, a więc bez szabel i tureckiego jazgotu; czynem bohaterskim, jak wszelkie ludzkie zachowanie, które jest bezinteresowne. Taka przyjaźń była między nami, dobrze o tym wiedziałeś. I w chwili, kiedy podniosłeś broń, aby mnie zabić, ta przyjaźń, być może, była jeszcze mocniejsza niż kiedykolwiek wcześniej w ciągu dwudziestu dwu lat naszej młodości. Pamiętasz tę chwilę, ponieważ stała się sensem i treścią twojego życia na te wszystkie lata, jakie ci pozostały. Ja też ją pamiętam. Staliśmy w gąszczu, pomiędzy świerkami. Tutaj zaczyna się ścieżka, która zbacza od leśnego duktu i prowadzi w głąb, tam, gdzie las żyje już sam sobą, nie karczowany, ciemny. Szedłem przed tobą i zatrzymałem się, bo spomiędzy świerków, jakieś trzysta kroków dalej, wyszedł jelen. Przejśniało się już, lecz tak ostrożnie, jakby słońce świetlistymi dzidami obmacywało swoją zdobycz – świat; zwierzę przystało na skraju ścieżki, podniosło głowę, spojrzało w gęstwinię, ponieważ wyczuło niebezpieczeństwo. Instynkt, ten fenomen, ten szósty zmysł, który jest ważniejszy i dokładniejszy niż węch i wzrok, zaczął działać w nerwach zwierzęcia. Nie mogło zobaczyć – poranny wiatr wiał w przeciwnym kierunku – nie mogło zauważyć niebezpieczeństwa, a my dość długo staliśmy bez ruchu, zziązani wspinaniem się ścieżką, ja z przodu, na jej skraju, pomiędzy drzewami, ty za mną. Myśliwy pozostał z psem. Byliśmy sami w środku lasu, w środku tej samotności, która jest samotnością świtu, lasu i zwierzyny, i gdzie człowiek zawsze, przez chwilę, czuje, że zbłądził w życiu i w świecie, i że pewnego dnia musi wrócić do domu, do tego dzikiego i niebezpiecznego domu, który jest jedynym prawdziwym domem – do lasu, na głębokie wody, na odwieczną scenę życia. Ja zawsze tak czułem, kiedy jeszcze polowałem, w lesie i w gęstwini. Zobaczyłem jelenia i zatrzymałem się, ty także go zobaczyłeś i przystałaś dziesięć kroków za mną. Dla myśliwych i dla zwierzyny są to te chwile, kiedy człowiek wyostrzonymi zmysłami chłonie rzeczywistość, wie wszystko o sytuacji i o niebezpieczeństwie, także w ciemności, także nie oglądając się za siebie. Jakiego rodzaju fale, siły, promieniowania przekazują wtenczas informacje? Nie wiem... Powietrze było czyste i pachnące. Świerki nie poruszały się w lekkim wietrze. Jeleń obserwował. Nie ruszał się, stał jak zaczarowany, bo w niebezpieczeństwie zawsze jest i przyciąganie, i urok. Kiedy los w jakiejś formie zwraca się bezpośrednio ku nam, nazywając nas mniej więcej po imieniu, zawsze na spodzie niepokoju i lęku promieniuje pewnego rodzaju przyciąganie, ponieważ człowiek chce nie tylko żyć za wszelką cenę, nie, człowiek chce poznać do końca swój los i chce swój los przyjąć za wszelką cenę, nawet za cenę niebezpieczeństwa i unicestwienia. Tak czuł jelen w owej chwili, wiem to na pewno. I ja tak czułem w owej chwili, to również wiem na pewno. I tak czułeś ty, kilka kroków za mną, kiedy – zaczarowany tak samo jak zwierzę i ja, którzy staliśmy przed tobą na odległość strzału – odwiodłeś kurek swojej strzelby, z tym zimnym i cichym trzaskiem, jaki potrafi wydać jedynie bardzo szlachetny metal, gdy używa się go do ostatecznych ludzkich rozstrzygnięć, na przykład sztylet, kiedy krzyżuje się z drugim sztyletem, albo szlachetna

broń angielska, gdy odciąga się jej spust, aby kogoś zabić. Tę chwilę, spodziewam się, pamiętasz?...

– Tak – powiedział gość.

– To była znamienna chwila – mówi generał, niemal zadowolony zadowoleniem fachowca. – Naturalnie, jedynie ja słyszałem ten cichy trzask: był tak cichy, że nawet w ciszy świtu i milczącego lasu jeleni nie mógł go złowić z odległości trzystu kroków. I teraz zdarzyło się coś, czego nigdy nie umiałbym udowodnić przed sądem, ale mogę powiedzieć tobie, ponieważ ty także znasz prawdę. Co się stało?... To, że wyczułem twoje ruchy, w ciągu tych paru sekund wszystko odebrałem tak dokładnie, jakbym widział, co robisz. Stałeś za mną, na ukos, w małej odległości. Poczułem, że podnosisz broń, przypasowujesz do ramienia i celujesz. Poczułem, że zamykasz jedno oko i teraz powoli naprowadzasz lufę strzelby na cel. Moja głowa i głowa jelenia, wyrosły przed tobą dokładnie na tej samej linii, na równej wysokości, pomiędzy dwoma celami mógł być pas szerokości dziesięciu centymetrów. Wyczułem, że drżą ci ręce. I z całą pewnością wiedziałem – bo tylko myśliwy potrafi tak ocenić sytuację w lesie – że z tego stanowiska nie możesz celować do jelenia: zrozum mnie właściwie, w tamtej chwili myśliwski aspekt owej sytuacji interesował mnie, rzekłbym, intymniej, niż jej charakter ludzki. Trochę się na tym znałem, to znaczy, na polowaniu, na tym, pod jakim kątem należy się ustawić względem jelenia, który o trzysta kroków dalej czeka naiwnie na strzał. Ta sytuacja powiedziała mi wszystko: porządek geometryczny, jaki tworzyli myśliwy i ustawione w szeregu dwa cele, dokładnie informował mnie o tym, co dzieje się w sercu pewnego człowieka, parę kroków za moimi plecami. Celowałeś pół minuty, to także wiem, bez zegarka, z dokładnością do jednej sekundy. W takich chwilach człowiek wie wszystko. Wiedziałem, że nie jesteś dobrym strzelcem, wystarczy, bym nieco w bok odwrócił głowę, a kula świśnie mi koło ucha i być może trafi w jelenia. Wiedziałem, że wystarczy jeden ruch, a pocisk pozostanie w strzelbie. Ale wiedziałem także, że niepodobna, abym się poruszył, ponieważ los w takich chwilach już nie zależy od naszych decyzji: coś dojrzało, coś się musi dokonać, na swój sposób i wedle własnego porządku. A więc stałem i czekałem na strzał, czekałem, byś nacisnął spust i aby mnie zabiła kula ze strzelby mojego przyjaciela. Sytuacja była wymarzona, żadnych świadków, myśliwy był daleko, chodził z psami na obrzeżu lasu, sytuacja była modelowa, idealna, ów niewątpliwie „tragiczny wypadek”, o jakim rokrocznie donoszą gazety. Minęło pół minuty, strzał się opóźniał. W owej chwili jeleni zwierzył niebezpieczeństwo i jednym skokiem, który był niczym eksplozja, przepadł w gęstwinie. Wciąż jeszcze żaden z nas nie poruszył się. Po czym powoli opuściłeś broń, bardzo powoli. Tego ruchu nie można było usłyszeć ni dostrzec. A jednak ja słyszałem i widziałem go, jakbym stał naprzeciwko ciebie. Opuściłeś broń, bardzo ostrożnie, jakby nawet tarcie powietrza mogło zdradzić twoje zamiary, ponieważ owa chwila już minęła, jeleni przepadł w gęstwinie – popatrz, ciekawe jest to, że wciąż jeszcze mogłeś mnie zabić, bo przecież na scenie nie było naocznego świadka, nie ma takiego człowieka ni sędziego, który

mógłby cię potępić, świat okazałby ci współczucie, gdybyś to zrobił, byliśmy wszak legendarnymi przyjaciółmi, Kastor i Polluks, towarzysze broni od dwudziestu dwóch lat, na dobre i na złe, byliśmy ucieleśnieniem ideałów przyjaźni, gdybyś mnie zabił, każdy podałby ci współczującą rękę, dzielono by z tobą żałobę, ponieważ nie ma na świecie istoty tragiczniejszej niżeli człowiek, który z woli jakiegoś greckiego fatum zabił, przypadkiem, swojego przyjaciela... Gdzież jest człowiek, gdzie prokuratura, gdzie ten ordynus, który śmie wnosić oskarżenie, który śmie wykrzykiwać przed światem coś, zaiste niewiarygodnego: że zabiłeś mnie z rozmysłem?... Nie ma żadnych dowodów na to, że hodowałeś w sercu śmiertelny gniew przeciwko mnie. W przeddzień razem jedliśmy kolację, w gronie przyjaciół, w towarzystwie mojej żony, krewnych oraz łowieckiej braci, w pałacu, gdzie od lat jesteś codziennym gościem; widziano nas razem, jak przedtem, w najrozmaitszych życiowych sytuacjach, na służbie, przy okazji towarzyskich spotkań, niezmiennie przyjaznych sobie i serdecznych. Nie jesteś mi winien pieniędzy, jesteś członkiem mojej rodziny, któż może pomyśleć, że mnie zabiłeś?... Nikt. Bo też dlaczego miałbyś mnie zabić? Cóż to za nieludzka, niewiarygodna hipoteza, że ty, przyjaciel nad przyjaciółmi, zabijasz przyjaciela nad przyjaciółmi, mnie, od którego mogłeś otrzymać wszystko, co było ci w życiu potrzebne, oparcie w drugim człowieku i pomoc materialną, ty, który mój dom mogłeś uważać za własny, moje dobra – niczym brat – za wspólne dobra, moją rodzinę za swoją, jak adoptowane dziecko uważa za swoją rodzinę przybranych rodziców? Nie, oskarżenie spada na tego, który je wnosi, i nie ma takiego człowieka, który mógłby je uznać, oburzenie świata wymiotłoby zuchwalca, który śmiałby coś takiego oświadczyć, a współczucie pospieszyłoby uściskać ci rękę, ponieważ zdarzyło się z tobą coś potwornego i niewiarygodnego, ten cios srogo dotknął ciebie, ponieważ tragiczny wypadek zabił, posłużywszy się twoją ręką, twojego najlepszego przyjaciela... To była taka sytuacja. A ty nie odwiodeś kurka załadowanej broni. Dlaczego?... Co się stało w owej chwili? Może jedynie to, że jeleń wyczuł niebezpieczeństwo i uciekł ze swojego miejsca, a natura ludzka jest taka, że zawsze w chwili nadzwyczajnych działań potrzebuje konkretnego pretekstu. To, co sobie zaplanowałeś, było dobre, było precyzyjne i doskonałe, ale może potrzebny był do tego także jeleń; scena popsukała się, a ty opuściłeś broń. To była kwestia sekund, któż by tam dzielił włos na czworo, i osądzał?... Zresztą, nieważne. Fakt jest rozstrzygający, nawet jeśli niczego nie rozstrzyga. Faktem jest, że chciałeś mnie zabić, a później, gdy jedno z nieoczekiwanych zjawisk tego świata zakłóciło tę chwilę, zaczęła ci drżeć ręka i nie zabiłeś mnie. Jeleń już zniknął pomiędzy drzewami, nie poruszyliśmy się. Nie odwróciłem się. Staliśmy jeszcze jakiś czas. Możliwe, że gdybym w tamtej chwili spojrział ci w twarz, zrozumiałbym wszystko. Ale nie odważyłem się spojrzeć ci w twarz. Istnieje pewien rodzaj wstydu, który jest większą udręką, niż wszystko, czego tylko człowiek może doświadczyć w swoim życiu, wstyd, jaki odczuwa ofiara, kiedy jest zmuszona spojrzeć w twarz swojemu oprawcy. W takich przypadkach kreatura wstydzi się przed Naturą. Dlatego nie spojrzełem ci w twarz i kiedy minął ów

porażający czar, który spętał nas obu, odszedłem ścieżką, kierując się na szczyt wzgórza. Ty także ruszyłeś, machinalnie. Pośrodku drogi rzuciłem przez ramię, nie oglądając się: „Przegapiłeś”. Nie odpowiedziałeś. To milczenie było potwierdzeniem. Ponieważ każdy inny, w podobnej sytuacji, zaczyna mówić, ze wstydem lub z entuzjazmem, wyjaśnia – żartobliwie albo z urazą; w takich wypadkach każdy myśliwy dowodzi swojej racji, nie docenił zwierzyny lub przecenił odległość, zlekceważył szanse celowania... A ty milczałeś... Jakbyś tym milczeniem chciał powiedzieć: „Tak, przegapiłem okazję, żeby cię zabić”. Bez słowa dotarliśmy na szczyt wzgórza. Czekał tam już myśliwy, czekały nasze psy, w dolinie trzaskały strzelby, zaczęło się polowanie. Nasze drogi rozeszły się. W czasie obiadu – był to obiad myśliwski, nakryto w lesie – twój naganiacz zameldował, że powróciłeś do miasta.

Gość zapala; ręka mu nie drży, spokojnymi ruchami obcina czubek cygara: generał nachyla się w stronę Konrada i przypala mu cygaro płomieniem świecy.

– Dziękuję – mówi gość.

– Ale tego samego dnia, wieczorem, przybyłeś jeszcze raz na kolację – mówi generał. – Tak, jak przedtem, jak każdego wieczora. Przyjechałeś o zwykłej porze, bryczką, o wpół do ósmej. Kolację jedliśmy we troje, jak poprzedniego wieczora, jak podczas wielu poprzednich wieczorów, razem z Krystyną. Nakryto w dużej sali, jak dzisiejszego wieczora, stół przybrano wtedy tym samym co i teraz, Krystyna siedziała pomiędzy nami dwoma. Pośrodku stołu paliły się niebieskie świece. Lubiła światło świec, lubiła wszystko, co przypominało jej przeszłość, szlachetniejsze formy życia, czasy minione. Ja prosto z polowania poszedłem do mojego pokoju, przebrałem się, tego popołudnia nie widziałem się z Krystyną. Lokaj zameldował, że wyjechała wczesnym popołudniem, powozem, do miasta. Spotkaliśmy się przy stole, Krystyna już czekała, siedziała przed kominkiem, z lekką hinduską chustą na ramionach, ponieważ pora była wilgotna, mglista. W kominku płonął ogień. Czytała i nie zauważyła, kiedy wszedłem do pokoju. Może dywany stłumiły odgłos moich kroków, może nazbyt pogrążyła się w lekturze – czytała angielską książkę, opis podróży w tropikach – pewne jest tylko to, że w ostatniej chwili dostrzegła moje przybycie, kiedy już stałem przed nią. Wtedy podniosła wzrok – czy pamiętasz jej oczy? Potrafiła tak spojrzeć, pełnią światła, jak dzień, gdy wstaje – może to sprawił blask świec, ale zląkłem się bladości jej twarzy. „Czy źle się czujesz?” – zapytałem. Nie odpowiedziała. Patrzyła na mnie bez słowa, długo, szeroko otwartymi oczyma, i ta chwila była nieomal tak samo długa i równie wymowna jak poranek w lesie, kiedy stałem nieporuszony i czekałem, pragnąc, aby coś się stało: żebyś się odezwał albo nacisnął spust. Patrzyła mi w twarz z taką uwagą, tak badawczo, jakby wiedzieć, co ja w owej chwili myślę, czy w ogóle coś myślę, czy coś wiem, znaczyło dla niej nieporównanie więcej niż żyć... Prawdopodobnie było to dla niej ważniejsze niż życie. Bo zawsze najważniejsze, ważniejsze niż zdobycz i wynik jest jedno: wiedzieć, co myśli o nas ofiara albo ten, którego upatryliśmy sobie na ofiarę... Patrzyła mi w oczy, jakby mnie przesłuchiwała. Sądzę, że dobrze zniosłem to jej patrenie. W tamtej chwili, także później,

byłem spokojny, moja twarz nie mogła niczego zdradzić Krystynie. I naprawdę, tego ranka i po południu, na tym dziwnym polowaniu, kiedy to ja byłem poniekąd zwierzyną, postanowiłem, że cokolwiek życie przyniesie, ja po wsze czasy będę milczał o tych kilku chwilach o świcie, nigdy nie powiem słowa dwóm moim powiernicom, Krystynie i niani, o tym, czego dowiedziałem się tego ranka w lesie. Zdecydowałem, że niepostrzeżenie poddam cię obserwacji lekarza, ponieważ demon obłądu włada twoją duszą: tak to sobie wyobrażałem. Nie znalazłem innego rodzaju wytłumaczenia dla tych chwil. Człowiek, który należał do mnie, oszalał: powtarzałem to uparcie, nieomal z rozpaczą, całe przedpołudnie i popołudnie, i z takimi myślami witałem cię wieczorem, kiedy przyszedłeś do nas. Stawiając tę hipotezę, chciałem w jakiś sposób ocalić rangę ludzkiej istoty w ogóle i rangę konkretnej osoby, bo, jeżeli jesteś osobą o zdrowych zmysłach, i masz powód ku temu – wszystko jedno, jaki powód – aby podnieść broń na mnie, znaczy to, że my wszyscy, którzy żyliśmy w tym domu, utraciliśmy naszą ludzką rangę, i Krystyna, i ja. Tak też tłumaczyłem sobie przestraszone, zdumione spojrzenie Krystyny, kiedy stałem przed nią po owym polowaniu. Jakby wyczuwała coś z tajemnicy, jaka wiązała nas obu, od świtu. Kobiety wyczuwają coś takiego, tak myślałem. Potem przyszedłeś ty, w wieczorowym ubraniu, i zasiedliśmy do kolacji. Rozmawialiśmy, jak w inne wieczory. Mówiliśmy także o polowaniu, o meldunku naganiaczy, o tym że jeden z naszych gości popełnił błąd, ustrzelił kozła, jakkolwiek nie miał do tego prawa... Ale o tamtej chwili nie napomykasz ani jednym słowem, przez cały wieczór. Nie wspominasz o własnej przygodzie myśliwskiej, o zaniechaniu wspaniałego jelenia. O czymś takim należy mówić nawet wtedy, gdy nie jest się rasowym myśliwym. Nie mówisz o tym, że przegapiłeś zwierzynę, nie mówisz o tym, że przed czasem porzuciłeś polowanie i bez słowa powróciłeś do miasta, że zjawiłeś się tutaj dopiero wieczorem. Wszystko to niewątpliwie jest niezwykajne, przeciwne koleżeńskiej umowie. Jednym słowem mógłbyś wspomnieć o poranku... ale to słowo nie pada, jakbyśmy w ogóle nie byli tego rana razem na polowaniu. Mówisz o czymś innym. Pytasz Krystynę, co czytała wieczorem, kiedy przyszedłeś do nas, do salonu. Krystyna czytała o tropikach. Długo rozmawialiście o tej lekturze; pytasz Krystynę o tytuł tej książki, wypytujesz, jakie wrażenie zrobiła na niej ta książka, chcesz wiedzieć, jak wygląda życie w tropikach, zachowujesz się jak ktoś, kogo bardzo interesuje ten temat, o którym nic nie wie – a ja dopiero później dowiaduję się od księgarza w mieście, że tę książkę, a także inne, na ten sam temat, ty sprowadziłeś i pożyczyłeś je przed paroma dniami Krystynie. Owego wieczora jeszcze tego wszystkiego nie wiem. Wyłączyłem się z rozmowy, ponieważ nie mam pojęcia o tropikach. Później, kiedy już wiem, że oszukaliście mnie tego wieczora, powracam myślą do tej sceny, słyszę przebrzmiałe słowa i ze szczerym uznaniem odkrywam, że oboje graliście naprawdę doskonale. Ja, profan, niczego nie podejrzewam w waszych słowach: mówiliście o tropiku, o książce, o zwyczajnej lekturze. Chciałbyś poznać opinię Krystyny, szczególnie interesuje cię, czy człowiek urodzony i wychowany w innym klimacie potrafi znieść warunki życia w tropikach... Co

myśli o tym Krystyna?... (Mnie nie pytasz.) I czy ona, Krystyna, osobiście, potrafiłaby znieść deszcz, ciepłe opary, dławiące, gorące mgły, samotność pośrodku moczarów i puszczy?... Widzisz, słowa powracają. Kiedy ostatnim razem siedziałeś tutaj, w tym pokoju, w tym fotelu, przed czterdziestu jeden laty, mówiłeś o tym samym: o tropiku, o moczarach, o ciepłej mgle i o deszczu. I dzisiaj, kiedy wróciłeś do tego domu, pierwszymi słowami, jakie wypowiedziałeś, były: moczary, tropik, deszcz i parująca mgła. Tak, słowa powracają. Wszystko powraca, sprawy i słowa chodzą w kółko, czasami chodzą tak w kółko przez cały świat, a potem spotykają się, dotykają i coś tam zamykają – mówi obojętnie, z rezygnacją. – A więc o tym rozmawiasz ostatni raz z Krystyną. Około północy prosisz o powóz, wracasz do miasta. To stało się tego dnia, kiedy było polowanie – mówi, a w jego głosie rozbrzmiewa starcze zadowolenie z powodu dokładnego przedstawienia, systematycznego, przejrzystego klasyfikowania faktów.

– Kiedy odchodzisz, Krystyna również się żegna – kontynuuje później. – Sam zostaję w tym pokoju. Książkę, napisaną w języku angielskim, książkę o tropikach, pozostawiła tam, na fotelu. Nie chce mi się spać, podnoszę tę książkę i kartkuję. Przyglądam się ilustracjom, próbuję zorientować się w statystykach dotyczących zdrowia i gospodarki. Dziwi mnie, że Krystyna czyta tego rodzaju książkę. Nie może mieć z tym wszystkim nic wspólnego, myślę, przecież nie interesuje jej krzywa arytmetyczna produkcji kauczuku na półwyspie ni sytuacja zdrowotna tubylców. To wszystko, myślę, to nie Krystyna. A jednak książka mówi, i to mówi nie tylko po angielsku, i nie tylko o warunkach życia na półwyspie. I gdy tak trzymam tę książkę w rękę, po północy, sam w pokoju, kiedy dwoje ludzi, z którymi, poza moim ojcem, łączy mnie w życiu najwięcej, odeszło ode mnie, naraz zrozumiałem, że ta książka jest również sygnałem. I zrozumiałem, chociaż mgliście, coś jeszcze: wreszcie, tego dnia, rzeczy zaczęły do mnie mówić, coś się wydarzyło, przemówiło życie. W takich momentach bardzo trzeba uważać, myślę. Bo dziwny migowy język życia przemawia do nas w takie dni wszystkim, wszystko ostrzega, wszystko jest znakiem i ryciną, trzeba to tylko zrozumieć. Sprawy pewnego dnia dojrzewają i odpowiadają na pytania. I naraz zrozumiałem, że ta książka jest także znakiem i odpowiedzią. Oto, co mówi książka: Krystyna tutaj za czymś tęskni. Myśli o innych światach, a więc chce innego niż ten świat. Może chce uciec stąd przed czymś czy przed kimś – i tym kimś mogę być ja, ale możesz być i ty. Jasne jak słońce, myślę. Krystyna coś czuje i coś wie, i chce stąd odejść, dlatego czyta fachowe książki o tropikach. W owej chwili czuję tak wiele, i chyba rozumiem wiele. Wiem i czuję, co zdarzyło się tego dnia: moje życie rozdzieliło się na dwie części, jak okolica, którą trzęsienie ziemi rozrywa na dwoje – po jednej stronie zostaje dzieciństwo, ty i to wszystko, co oznaczało minione życie, na drugim brzegu zaczyna się ta mroczna i nieprzejrzana przestrzeń, po której muszę się tułać, ostatni etap mojego życia. Te dwa etapy już nigdy się nie zetkną. Co się stało? Nie umiem odpowiedzieć. Przez cały następny dzień starałem się być spokojny, nienaturalnie zdyscyplinowany, co mi się udało; Krystyna, kiedy patrzyła na mnie, blada, tym swoim pytającym spojrzeniem, nie mogła dowiedzieć się niczego. Nie mogła się dowiedzieć, nie mogła wyczytać z mojej twarzy, co właściwie wydarzyło się na polowaniu... A w samej

rzeczy, co się wydarzyło? Czy ja nie fantazuję? Czy to wszystko nie jest chimera? Gdybym to komuś opowiedział, prawdopodobnie wyśmiałby mnie. Brak danych, dowody przesypują się przez palce... dlatego, że jakiś głos, który jest mocniejszy od każdego dowodu, woła we mnie – tak niedwuznacznie, z taką siłą nie cierpiącą polemiki, sprzeciwu, wątpliwości – że się nie mylę, że znam prawdę. A prawda jest taka, że mój przyjaciel chciał mnie zabić tamtego dnia o świcie. Co za śmieszny, wzięty z powietrza zarzut, prawda? Czy tę pewność, straszniejszą od faktu, mogę gdzieś komuś przekazać? Nie mogę. Lecz teraz, kiedy znam prawdę, i to tak niewzruszenie i pewnie, jak tylko człowiek znać może proste fakty życia, czy możliwe jest jakieś nasze współżycie w przyszłości? Czy potrafię spojrzeć ci w oczy, czy mamy grać komedię we troje, Krystyna, ty i ja, kiedy przyjaźń wyrodzi się w grę i wzajemny nadzór – czy będzie można tak żyć? Jak powiadam, miałem nadzieję, że oszalałeś. Może to ta muzyka, myślałem. Zawsze byłeś dziwny, inny, daleki. Człowiek nie może być bezkarnie muzykiem i krewnym Chopina. A jednocześnie wiem, że ta nadzieja jest głupia i tchórzliwa: muszę spojrzeć prosto w twarz rzeczywistości, nie mogę zwodzić samego siebie, nie jesteś szaleńcem, nie ma usprawiedliwienia i wykrętu. Masz powód, aby mnie nienawidzić i zabić. Lecz ja nie potrafię zrozumieć tego powodu. Naturalne i proste wytłumaczenie: uwiodło cię uwielbienie i pragnienie Krystyny, gwałtowna namiętność, a to jest rodzaj obłędu – jednak to hipoteza nieprawdopodobna, bo przecież w życiu nas trojga nie naprowadza na nią żaden trop, nie ma żadnych oznak, muszę ją odrzucić. Znam Krystynę, znam ciebie i znam siebie – w każdym razie tak uważam w owej chwili. Życie nas trojga, nasze poznanie Krystyny, moje małżeństwo, nasza przyjaźń, wszystko to jest takie otwarte, czyste, przejrzyste, charaktery i sytuacje są tak niedwuznaczne, że byłbym wariatem, gdybym choć przez chwilę wierzył w coś podobnego. Namiętnych uczuć, nawet jeśli są pomyłone, nie wolno zatajać, namiętności, która zmusza opętanego, aby pewnego dnia podniósł broń na najlepszego przyjaciela, nie można miesiącami ukrywać przed światem, jakiś jej ślad nawet ja, ten trzeci, wiecznie ślepy i głuchy, dostrzegłbym – przecież żyjemy nieomal razem, nie ma tygodnia, byś trzy, cztery wieczory nie był u nas na kolacji, w ciągu dnia jestem z tobą w mieście, w koszarach, na służbie, wiemy o sobie wszystko. Noce i dni Krystyny, jej ciało i duszę znam jak samego siebie. Głupia hipoteza, że ty i Krystyna... nieomal doznają ulgi, kiedy patrzę w oczy tej hipotezie. Tutaj w grę wchodzi coś innego. To, co się wydarzyło, jest głębsze, bardziej tajemnicze, bardziej niedocieczone. Powinienem pomówić z tobą. A może kazać cię śledzić? Niczym zazdrosny mąż w kiepskich komediach? Nie jestem zazdrosnym mężem. Podejrzliwość nie zdoła wkraść się do mojego systemu nerwowego, jestem spokojny, kiedy myślę o Krystynie, którą znalazłem w świecie tak, jak kolekcjoner znajduje rzadki i doskonały okaz, uwieńczenie całego życia, arcydzieło wśród swoich zbiorów, którego znalezienie i odkrycie było jedynym celem i sensem jego życia. Krystyna nie kłamie i nie jest wiarołomna, znam każdą jej myśl, także sekrety, o których człowiek myśli jedynie we śnie. Oprawiony w złoty aksamit pamiętnik, jaki dałem jej w pierwszych dniach naszego

małżeństwa, opowiada wszystko, ponieważ uzgodniliśmy, że przede mną i przed samą sobą będzie się zwierzać z uczuć i z myśli, z uczuć i pragnień, ze strzępów ludzkiej duszy, o których człowiek nie potrafi wypowiedzieć się żywą mową, bowiem krępuje się albo wypowiedzenie tych akurat słów uważa za coś nieistotnego; w tym osobliwym dzienniku zostawia ślad każdej sprawy, jednym, dwoma słowami zawiadamia mnie, abym wiedział, co myślał lub co czuł ów człowiek, pod wpływem pewnej sytuacji... Oto jakimi jesteśmy powiernikami. I ten sekretny pamiętnik zawsze leżał w szufladzie biurka, do której tylko my dwoje mieliśmy klucz, ona i ja. Ten pamiętnik to dowód największego zaufania, jakie jest możliwe między mężczyzną i kobietą... Gdyby w życiu Krystyny była jakaś tajemnica, dziennik by o tym zasygnalizował. Prawda, myślę, że od pewnego czasu zapomnieliśmy o tej tajemniczej grze... i wstając, chodząc po ciemnym domu, idąc do bawialni Krystyny, otwieram szufladę w biurku i szukam pamiętnika oprawionego w żółty aksamit. Ale szuflada jest pusta.

Przymyka oczy, siedzi tak przez chwilę z zamkniętymi oczami, jak ślepcy z pozbawioną wyrazu twarzą. Jakby szukał właściwego słowa.

– Już północ minęła, dom śpi. Krystyna jest zmęczona, nie chcę jej przeszkadzać. Pamiętnik prawdopodobnie zabrała do swojego pokoju, tak sobie myślę – mówi spokojnie. – Nie chcę jej przeszkadzać, jutro ją zapytam, czy ma mi coś do przekazania naszym szyfrem, za pośrednictwem naszego pamiętnika. Bo musisz wiedzieć, że ten poufny zeszyt, o którym nie mówimy – trochę wstydzimy się przed sobą tej milczącej poufałości – jest czymś takim, jak nieustające miłosne wyznanie. Trudno o tym mówić. To był pomysł Krystyny, prosiła mnie o to w Paryżu, w czasie naszej podróży poślubnej, to ona była tą osobą, która chciała czynić wyznania – i później, znacznie później, kiedy już nie było Krystyny, zrozumiałem, że tylko ten szykuje się tak niepewnie do wyznania, do bezwzględnej szczerości, kto wie, że pewnego dnia rzeczywiście będzie w jego życiu coś, co powinien wyznać. Przez długi czas nie rozumiałem tego pamiętnika, to sekretne, pisemne przekazywanie wiadomości, te kapryśne sygnały Morse'a przesyłane z życia Krystyny, uważałem za niezrozumiałą, cokolwiek przesadny kobiecy koncept. Odpowiadała, że nie chce ukrywać przede mną sekretów, co więcej, nie chce mieć sekretów przed samą sobą, dlatego będzie zapisywać wszystko to, o czym trudno jest mówić. Jak powiadam, znacznie później zrozumiałem, że kto tak ucieka w szczerość, czegoś się boi, bała się, że pewnego dnia jej życie wypełni się czymś, czym nie będzie mogła podzielić się ze mną, co jest prawdziwą tajemnicą, niemożliwą do zapisania i wypowiedzenia. Krystyna chce mi dać wszystko, duszę i ciało, swoje uczucia i ukryte myśli, każdy sygnał wysyłany przez jej nerwy – jesteśmy w podróży poślubnej, Krystyna jest zakochana, pomysł tylko, skąd przyszła, i co znaczyło dla niej to wszystko, co jej dałem, moje nazwisko, ten zamek, pałac w Paryżu, wielki świat, wszystko, o czym jeszcze przed paroma miesiącami nie śmiała nawet marzyć w swoim małomiasteczkowym środowisku, w biednym domu, sama z cichym i chorym starcem, który żyje już tylko swoim instrumentem, zeszytem nutowym i wspomnieniami... I naraz życie daje jej wszystko,

pełnymi garściami, małżeństwo, tę całoroczną podróż poślubną, Paryż, Londyn, Rzym, potem Wschód, miesiące wśród oaz, morze. Krystyna, naturalnie, wierzy, że jest zakochana. Później dowiaduję się, że nie jest zakochana, w owym czasie to też nie jest to; jest tylko wdzięczna.

Splata palce, opiera się łokciami o kolana, nachyla się i mówi tak:

– Wdzięczna, bardzo wdzięczna, na swój sposób, na sposób młodej kobiety, która pojechała w podróż poślubną z mężem, z bogatym, dystyngowanym młodym człowiekiem. – Ciasno splata palce, przygląda się rysunkowi na dywanie, w skupieniu, uważnie. – Pod każdym względem chce być wdzięczna, dlatego wynajduje pamiętnik, ten dziwny prezent. Bo ten pamiętnik od pierwszej chwili jest pełen zdumiewających wyznań. Krystyna nie schlebia mi w tym pamiętniku, czasami jej wyznania są niepokojąco szczere. Opisuje mnie tak, jak widzi, paroma słowami, lecz bardzo trafnie. Opisuje to, co się jej we mnie i na mnie nie podoba, sposób, w jaki z przesadną pewnością siebie odnoszę się do ludzi, wszędzie na świecie – nie czuje we mnie skromności, co dla jej religijnej duszy jest największą cnotą. W istocie nie jestem skromny w tamtych latach. Świat należy do mnie, spotkałem kobietę, której każde słowo, każde drgnienie duszy i ciała przyjmuję z idealnym rezonansem, jestem bogaty, mam pozycję, życie otwiera się przede mną w pełnym blasku, mam trzydzieści lat, kocham życie, służbę, moją karierę. Teraz, kiedy patrzę za siebie, dostaję mdłości od tej cmokającej, zarozumiałej pewności siebie, od tego poczucia szczęścia. I jak każdy człowiek, którego bogowie bez powodu nadmiernie darzą łaską, dostrzegam na dnie owego poczucia szczęścia pewien rodzaj niepokoju. Wszystko to jest zbyt piękne, bez pęknięć, bezbłędne. Człowiek zawsze boi się tak wzorowego szczęścia. Chciałbym złożyć losowi ofiarę, nie miałbym nic przeciwko temu, by w listach z domu, które czekały na mnie w portach, doszły mnie wieści o jakichś finansowych bądź innych jeszcze nieprzyjemnościach, gdybym na przykład dowiedział się, że spłonął nasz kasztel albo że poniosłem materialną stratę, że bankier, który sprawuje pieczę nad moim majątkiem, ma dla mnie złe wiadomości, czy coś w tym rodzaju... Widzisz, człowiek lubi odpłacać bogom za swoje szczęście. Bowiem bogowie na ogół zazdroszczą i jeśli dają ziemskiemu śmiertelnikowi rok szczęścia, natychmiast zapisują ten dług i pod koniec życia żądają zwrotu za lichwiarską cenę. Ale dokoła mnie wszystko jest bezbłędne, idealne. Krystyna pisze w pamiętniku krótkimi zdaniami, jakby rozmawiała z nim przez sen. Niekiedy pisze jedną linijkę, niekiedy tylko jedno słowo. Na przykład pisze coś takiego: „Jesteś beznadziejny, bo jesteś wierny”. Po czym tygodniami nie pisze nic. Albo pisze o tym, że widziała w Algierze pewnego mężczyznę, ów mężczyzna szedł za nią wąską uliczką, zagadnął ją, a ona poczuła, że mogłaby z nim odejść. Krystyna jest niespokojnym duchem, myślę. Ale jestem szczęśliwy, owe dziwne, odrobinę groźne błyski szczerości nie zakłócają mojego szczęścia. Nie myślę o tym, że ten, kto tak usilnie pragnie z bezwzględną szczerością powiedzieć drugiemu człowiekowi wszystko, być może czyni to dlatego, aby uniknąć mówienia o czymś, co jest ważne i istotne. Nie myślę o tym w czasie podróży poślubnej ani później, kiedy czytam pamiętnik. Ale potem następuje w życiu ten dzień i ta

noc; i ja przez cały ten dzień czuję się tak, jakby z twojej broni padł strzał, jakby ta nieoczekiwana kula świsnęła mi koło ucha. Nastaje noc, ty odjeżdżasz od nas, ale wpieryw gruntownie i drobiazgowo omawiasz z Krystyną wszystko, co dotyczy tropiku. A ja pozostaję sam ze wspomnieniami tego dnia i tego wieczoru. I nie znajduję pamiętnika na zwykłym miejscu, w szufladzie biurka Krystyny. Postanawiam, że jutro rano odszukam cię w mieście i zapytam...

Milknie. Kręci głową, starczo, jakby go zdumiewał postępek dziecka.

– Zapytać, o co? – mówi cicho, lekceważącym tonem, jakby szydził z samego siebie. – O co można pytać ludzi samymi słowami? I co warta jest odpowiedź, jakiej udzielają ludzie nie prawdą swojego życia, lecz słowami?... Niewiele jest warta – mówi z przekonaniem. – Bardzo rzadko trafia się człowiek, u którego słowa całkowicie pokrywają się z prawdą życia. Możliwe, że jest to zjawisko występujące w życiu najrzadziej. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Nie myślę teraz o kłamcach, o łajdakach. Myślę o tym, że ludzie daremnie poznają prawdę, na próżno gromadzą doświadczenia, ponieważ nie potrafią zmienić swojej natury u jej podstaw. Możliwe też, że nie można zrobić w życiu więcej niż mądrze i ostrożnie dopasować do rzeczywistości tę nie podlegającą zmianom rzeczywistość, naturę człowieka. To wszystko, co możemy zrobić. A i wtedy nie będziemy mądrzejsi ani bardziej uzbrojeni, nie... Chcę mówić z tobą, ale jeszcze nie wiem, czy to wszystko, o co ja mogę zapytać, i wszystko to, co ty możesz odpowiedzieć, nie zmieni faktów. Lecz i przy pomocy słów, więc posiłkując się pytaniami i odpowiedziami, można poznać fakty, można się zbliżyć do prawdy: dlatego chcę mówić z tobą. Śpię głęboko, z wyczerpania. Jakbym tego dnia dokonał jakiegoś fizycznego wysiłku, jeździł konno albo wędrował... Pewnego razu zniosłem na barkach z ośnieżonych gór ociekającego krwią niedźwiedzia, ciężki był, dwustupięćdziesięciokilowy: wiem, że w tamtych latach byłem nadzwyczaj silny, a jednak potem zdumiewało mnie, jak utrzymałem ten ciężar na zboczach gór, na krawędzi przepaści i na stromych ścieżkach. Wydaje się, że człowiek wytrzyma wszystko dopóty, dopóki ma w życiu cel. Wtedy zapadłem w głęboki sen, umęczony się w dolinie, w śniegu, schodząc ze ścierwem z gór; na pół zamrożonego znaleźli mnie moi myśliwi w pobliżu trupa niedźwiedzia. Tak samo śpię tamtej nocy. Śpię głęboko, bez snów, i natychmiast po obudzeniu każę zaprząć, jadę do miasta, do twojego mieszkania. Jestem w twoim mieszkaniu i dowiaduję się, że wyjechałeś. Dopiero nazajutrz w pułku otrzymują twój list, w którym meldujesz, że zrzekasz się szarży i wyjeżdżasz zagranicę. W owej chwili rozumiem jedynie fakt dezercji, ponieważ teraz jest już pewne, że chciałeś mnie zabić, pewne jest, że wydarzyło się i dzieje coś, czego sensu wciąż jeszcze nie umiem uchwycić, pewne jest i to, że, podług mnie, mam z tym wszystkim coś tragicznie wspólnego, bo to wszystko dzieje się także ze mną, nie tylko z tobą. A więc stoję w twoim zagadkowym, dusznym pokoju, napchanym okazałymi przedmiotami, gdy otwierają się drzwi i wchodzi Krystyna.

Opowiadający mówi głośno, uprzejmie i przyjaźnie, jakby co ciekawszymi fragmentami

jakiejś ładnej historii zabawiał przyjaciela, który wreszcie przybył z bardzo daleka, z minionego czasu, z zagranicy.

Konrad słucha nieporuszony. Cygaro, którego żar wygasł, odłożył na brzeg szklanej tacy, założył ręce; i siedzi tak, bez ruchu, sztywno, w przepisowej postawie, jak oficer, który po przyjacielsku rozmawia ze swoim przełożonym.

– Wchodzi, zatrzymuje się w progu – mówi generał. – Przybywa z domu, jest bez kapelusza, sama powoziła lekkim, jednokonnym powozem. „Odjechał?” – pyta. Jej głos jest dziwnie ochryply. Kiwam głową, że tak, odjechałeś. Krystyna stoi w drzwiach, prosta, smukła, może nigdy nie widziałem jej tak pięknej, jak w tamtej chwili. Jej twarz jest biała, jak twarze rannych, którzy się wykrwawili, jedynie oczy jarzą się buntowniczo, jak poprzedniego wieczora, kiedy podszedłem do niej, a ona czytała książkę o tropiku. „Uciekł” – mówi w końcu i nie oczekuje odpowiedzi; sama to mówi, oznajmia i stwierdza. „Stchórzył” – mówi jeszcze, cicho i spokojnie.

– Tak powiedziała? – pyta gość i porusza się; w tej chwili zmienia się jego posągowa postawa, chrząka.

– Tak – potwierdza generał. – Nie mówi nic więcej. Ja też nie pytam o nic. Stoimy bez słowa w twoim pokoju. Po czym Krystyna rozgląda się, przypatruje się z osobna dziełom sztuki, meblom, obrazom. Obserwuję każde jej spojrzenie. Przygląda się temu pokojowi jak ktoś, kto się żegna. Przygląda się tak, jak ktoś, kto już to wszystko widział, i teraz żegna się z każdym przedmiotem z osobna. Widzisz, pokój, przedmioty można oglądać dwojako: jak ktoś, kto odkrywa coś po raz pierwszy, i jak ktoś, kto się z czymś żegna. We wzroku Krystyny nie było nic z ciekawości odkrywcy. Jej spojrzenie było takie spokojne, wędrowało po pokoju z naturalnym rozeznanem, tak jak zwykle człowiek rozgląda się po swoim domu, gdzie wszystko jest na swoim miejscu. Oczy jej lśnią chorobliwie i jednocześnie są zamglone. Jest opanowana i milcząca, zarazem czuję, że teraz ta kobieta wystąpiła z siebie, z solidnych ram życia, gotowa jest zgubić samą siebie, także ciebie, także mnie. Jedno spojrzenie, nieoczekiwany gest i Krystyna zrobi lub powie coś, czego już nie da się naprawić... Ogląda obrazy, beznamiętnie, bez zainteresowania, tak jak człowiek ogląda na pożegnanie to, co dobrze zna i co już wielokrotnie oglądał. Okiem krótkowidza, spojrzeniem hardym, mrugając, ogląda szeroki francuski tapczan; na moment przymyka oczy. Potem odwraca się i bez słowa, tak jak przybyła, wychodzi z pokoju. Nie idę za nią. Widzę przez otwarte okno, jak przechodzi przez ogród. Odchodzi między krzewami róż, róże w tych dniach rozkwitły. Wsiada do lekkiego powozu, który czeka na nią za ogrodzeniem, bierze lejce do rąk i odjeżdża. Po chwili powóz znika na zakręcie drogi.

Milknie, patrzy na gościa.

– Nie męczę cię? – pyta uprzejmie.

– Nie – odpowiada ochryple Konrad. – Absolutnie nie. Mów dalej.

– Bo opowiadam zbyt szczegółowo – mówi tonem usprawiedliwienia. – Ale nie można

inaczej: jedynie poprzez szczegół możemy zrozumieć sedno rzeczy, sam tego doświadczyłem, tak jest w książkach, tak jest w życiu. Trzeba poznać każdy szczegół, ponieważ nie sposób wiedzieć, który jest ważny, jakie słowo odpowiada rzeczy. We wszystkim należy utrzymywać porządek. Ale teraz nie mam już wiele do powiedzenia. Ty uciekłeś, Krystyna odjechała, lekkim powozem wróciła do domu. A ja, cóż ja mogę jeszcze zrobić w tamtej chwili i w czasie, jaki nadejdzie?... Oglądam pokój, patrzę w ślad za znikającą Krystyną. Wiem, że w przedpokoju, za drzwiami, stoi sztywno wyprostowany twój ordynans. Wykrzykuję jego nazwisko, wchodzi, salutuje. „Rozkaz!” – mówi. „Kiedy odjechał pan kapitan?...” „Pośpieszonym o świcie”. Ten pociąg jedzie do stolicy. „Czy zabrał ze sobą duży bagaż?...” „Nie, tylko parę cywilnych garniturów”. „Czy pozostawił jakąś wiadomość, wydał jakiś rozkaz?...” „Tak jest. Trzeba zwolnić to mieszkanie. Trzeba sprzedać meble. To wszystko załatwi pan adwokat. Ja wracam do oddziału”. Nic więcej nie mówi. Patrzymy na siebie. I teraz następuje chwila, którą trudno zapomnieć: ordynans, dwudziestolatek, chłopak ze wsi, z pewnością pamiętasz jego poczciwą, mądrą, ludzką twarz – przestaje patrzeć wytrzeszczonymi oczyma służącego, z napiętą uwagą, teraz już nie szeregowiec stoi twarzą w twarz ze swoim przełożonym, ale mężczyzna, który coś wie, stoi twarzą w twarz z drugim mężczyzną, którego mu żal. W jego spojrzeniu jest coś ludzkiego, litościwego, od czego blednę, po czym krew uderza mi do głowy, i to spojrzenie... Teraz – to, co następuje, zdarza się po raz pierwszy i ostatni – ja także tracę głowę. Podchodzę do niego, chwytam go za bluzę na piersi, omal go tym ruchem unoszę w powietrze. Jeden drugiemu dyszy prosto w twarz. Patrzymy sobie głęboko w oczy, w spojrzeniu ordynansa jest odraza i jednocześnie, jak przedtem – litość. Wiesz, że w owym czasie nie miałem zwyczaju chwytać rękami kogokolwiek czy cokolwiek; łamałem wszystko, czego delikatnie dotknąłem... I ja to wiem, czuję, że obaj znaleźliśmy się w niebezpieczeństwie, ordynans i ja. Dlatego puszczam go, z powrotem opada na podłogę jak figura z ołowiu; juchtowe buty trzaskają o parkiet, znowu stoi na baczność jak na paradzie. Wyciągam chustkę, wycieram czoło. Wystarczy jedno pytanie, a ten człowiek teraz odpowie. Pytanie brzmi: „Czy ta dama, która była tu przed chwilą, bywała też tutaj dawniej?...” Jeżeli nie odpowie, zabiję go. Ale może zabiję go także wtedy, gdy odpowie, i może nie tylko jego... człowiek w takich chwilach nie ma już przyjaciół. Zarazem wiem, że to zbyteczne pytanie. Wiem, że Krystyna była też tutaj dawniej; i to nie jeden raz, wiele razy.

Odchyła się w fotelu, znużonym ruchem kładzie ręce na poręczach fotela, by odpocząły.

– Teraz już nie ma sensu pytać o cokolwiek – mówi. – Tego, co warto wiedzieć, obcy człowiek nie może zdradzić. Czy warto wiedzieć, dlaczego to wszystko się wydarzyło? I gdzie jest granica między człowiekiem i człowiekiem? Granica zdrady? To warto by wiedzieć. A także i to: co w tym wszystkim jest moją winą?...

Mówi to zupełnie cicho, tonem pytającym, zdeorientowany. Słysząc w jego słowach, że po raz pierwszy wypowiedział na głos to pytanie, które żyje w jego duszy od czterdziestu

jeden lat i na które dotychczas nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

– Bo nie tylko wypadki rządzą człowiekiem – mówi teraz bardziej stanowczo i podnosi głowę. Świece palą się nad ich głowami długim płomieniem i kopcą; knoty świec poczerniały. Okolica i miasto za oknem jeszcze są ciemne, pośród nocy nie widać ani jednego światła kaganka. – Człowiek również ma wpływ na to, co się z nim dzieje. Przyczynia się, przywołuje do siebie, nie wypuszcza z rąk tego, co musi się wydarzyć. Taki jest człowiek. Postępuje tak i wtedy, gdy natychmiast, od pierwszej chwili, czuje i wie, że to, co robi, jest fatalne. Człowiek i los trzymają się nawzajem, jedno przyzywa drugie, jedno nadaje drugiemu formę. To nieprawda, że przeznaczenie wkracza na ślepo do naszego życia, nie. Przeznaczenie wchodzi przez drzwi, które my sami przed nim otwieramy. Nie ma człowieka, który byłby dość silny i mądry, aby słowem bądź czynem odeprzeć to złe fatum, które ze swej istoty, z charakteru, działa z żelazną konsekwencją. Czy naprawdę nie wiedziałem nic o tobie i Krystynie?... Czy tak myślałem wtedy albo na początku, na samym początku historii nas trojga? W końcu to ty przedstawiłaś mi Krystynę. Znała cię w dzieciństwie, to ty byłeś tym, który przepisywał nuty u jej ojca – starego człowieka, któremu bezwład ręki pozwala jedynie przepisywać utwory muzyczne, ale nie mającego dość sił, by utrzymać skrzypce i smyczek; już nie potrafi wyczarować z instrumentu czystych, szlachetnych dźwięków, wcześniej musi zrezygnować z kariery, z sali koncertowej, musi zadowolić się nauczaniem głuchych jak pień albo rzekomo niezwykle zdolnych dzieci w prowincjonalnej szkole muzycznej, musi zadowolić się tym skromnym, dodatkowym zarobkiem, jaki mu daje poprawianie lub przepisywanie na czysto utworów utalentowanych dyletantów... W ten sposób poznałaś ojca Krystyny i Krystynę, która miała wówczas siedemnaście lat. Jej matka – w ostatnich latach leczyła się na serce w sanatorium, gdzieś tam w Południowym Tyrolu, bo gdzieżby indziej – już nie żyła. Po latach, pod koniec naszej podróży poślubnej, udajemy się z Krystyną do tego uzdrowiska, odnajdujemy to sanatorium, Krystyna chce zobaczyć pokój, w którym zmarła jej matka. Po południu przybywamy do Arco samochodem. Brzegami jeziora Garda, dusznymi od zapachu kwiatów i drzew pomarańczowych, pędzimy do samego końca, zatrzymujemy się w Riva i po obiedzie przedostajemy się do Arco. Okolica jest szara i srebrzysta jak krzewy oliwne, wysoko zamek, ukryty wśród skał, w mglistej, letniej atmosferze, lecznica chorych na serce.

Wszędzie palmy i to wzruszająco łagodne oświetlenie, ta wonna i parna letniość, jak w oranżerii. W wielkiej ciszy bladożółty dom, w którym żyła przez ostatnie lata i umarła matka Krystyny, tak tajemniczy, jakby zamknął w sobie wszystek smutek, na który chorują ludzkie serca, jakby ból serca był w Arco jakąś niema czynnością, złudzeniem, niezrozumiałą konsekwencją życiowych wypadków. Krystyna obchodzi dom dookoła. Cisza, zapach ciernistych roślin południowych, letnia i wonna mgła, która owija tutaj wszystko, jak płótna owijają serca chorych, wszystko to dotyka z bliska także i mnie. Pierwszy raz czuję, że Krystyna nie jest całkowicie ze mną, z daleka, z bardzo daleka, z zarania dziejów słyszę głos, smutny i mądry głos mojego ojca. Mój ojciec mówi o tobie, Konradzie – teraz wymawia po raz pierwszy imię gościa, a wypowiada to imię bez gniewu i złości, obojętnie i uprzejmie – i mówi, że nie jesteś prawdziwym żołnierzem, że jesteś człowiekiem innego rodzaju. Nie rozumiem tego słowa, jeszcze nie wiem, na czym polega ta różnica?... Czas i wiele samotnych godzin nauczą mnie, że niezmiennie chodzi właśnie o tę różnicę, że wszystko zależy od niej, kobieta i mężczyzna, przyjaciele, wszelkie związki na tym świecie zależą od tej różnicy, która rozrywa ludzkość na dwie części. Niekiedy zgoła myślę, że na świecie są już tylko te dwie części i najrozmaitsze warianty owej różnicy: różnice klasowe, światopoglądowe, stopnie władzy, wszystko jedynie wynika z tej podstawowej różnicy. I jak tylko ludzie mający tę samą grupę krwi mogą pomóc sobie w momencie zagrożenia, oddając bliźnim, o pokrewnej strukturze krwi, swoją krew, tak i dusza jedynie wtedy może pomóc drugiej duszy, jeśli nie jest „inna”, jeśli jej ogląd świata, jeśli jej istota, skrytsza niżli przekonania, jest podobna... To wtedy, w Arco, poczułem, że święto się skończyło, że Krystyna także jest „innego rodzaju”. I przypomniały mi się słowa mojego ojca, który nie czytał książek, lecz samotność i życie nauczyły go poznawać prawdę; wiedział o owej dwoistości, co więcej, on także spotkał kobietę, którą bardzo kochał i obok której, mimo to, pozostał samotny, ponieważ byli ludźmi dwu różnych rodzajów, dwu temperamentów, dwu odmiennych rytmów życia, ponieważ moja matka również była „inna”, jak ty i Krystyna... I jeszcze coś zrozumiałem w Arco. Uczucie, które przywiązało mnie do matki, do ciebie i do Krystyny, było jedno i to samo: ta sama tęsknota, ta sama niestrudzona nadzieja, ta sama beczynna i smutna wola. Ponieważ zawsze kochamy „inność”, szukamy jej w każdym miejscu i w każdej odmianie życia... teraz już to wiesz? Największą tajemnicą i darem życia jest, gdy spotykają się dwie „odmienne” istoty. Jest to takie rzadkie, jakby natura, przemocą i podstępnie, uniemożliwiała to współbrzmienie – być może dlatego, że do stwarzania świata, do odnawiania się życia konieczne jest napięcie, które wiecznie poszukuje drugiego, które powstaje pomiędzy wiecznie szukającymi się ludźmi odmiennego rytmu i przeciwstawnych zamiarów. Prąd zmienny, rozumiesz... gdziekolwiek spojrzysz, wszędzie jest ta zmienna energia *positiv* i *negativ*. Ileż rozpaczliwej i ślepej nadziei kryje się za tą dwoistością! Tak, w Arco słyszałem głos ojca i zrozumiałem, że jego los trwa dalej we mnie, ja mam tego rodzaju charakter i gust, co on, a moja matka, ty i Krystyna staliście na drugim brzegu, każde z was miało inną rolę do odegrania, jedną matka,

drugą przyjaciółką, trzecią miłą i kochającą żoną, a jednak wszyscy troje graliście w moim życiu tę samą rolę. Na drugim brzegu, tak, na tamtym brzegu, na który nigdy nie można się przeprawić... W życiu wszystko możesz osiągnąć, wszystko wokół ciebie i na świecie możesz pokonać, życie może dać ci wszystko i ty możesz wziąć z życia wszystko: tylko nie możesz zmienić czyjegoś gustu, skłonności, rytmu życia, właśnie owej odmienności, jaka w pełni charakteryzuje tego człowieka, który jest dla ciebie ważny, który jest ci bliski. Czuję to po raz pierwszy w Arco, kiedy Krystyna obchodzi dokoła dom, w którym umarła jej matka.

Odchyła się w fotelu, głowę chowa w dłoniach, gestem bezradnym i zrezygnowanym, jak człowiek, który coś zrozumiał, który zrozumiał także i to, że nic nie można zrobić przeciwko prawom ludzkiego charakteru, nic, nigdy.

– Powróciliśmy z Arco i zaczęliśmy żyć u siebie, w domu – mówi. – Resztę znasz. Przedstawiłeś mnie Krystynie. Nigdy ani jednym słowem nie wspomniałeś, że interesuje cię Krystyna. Ja to spotkanie, spotkanie nas dwojga, zaznajomienie się z Krystyną, uważałem za coś tak niepojętego, jak żadne inne spotkanie przedtem. Owszem, był to gatunek mieszany: odrobinę niemiecki, trochę włoski, a reszta węgierska. Możliwe, że była w niej również kropla krwi polskiej na skutek powiązań rodzinnych jej ojca... A też ona sama była trudna do zakwalifikowania i sklasyfikowania, jakby żaden gatunek i żadna klasa nie zawłaszczyły jej sobie całkowicie, jakby natura raz jeden spróbowała stworzyć jakąś istotę samodzielną, niezależną i wolną. Była taka sama jak zwierzęta: staranne wychowanie, klasztor, kultura i czułość jej ojca, wszystko to jedynie oswoiło jej sposób bycia. Krystyna od wewnątrz była dzika, nie do oswojenia: wszystko, co jej dałem, majątek i pozycję towarzyską, nie miało dla niej istotnej wartości i temu światu, do którego ją wprowadziłem, nie chciała dać niczego ze swojego wewnętrznego luzu, z tej bezwzględnej potrzeby wolności, jaka była prawdziwą treścią jej natury... Jej duma także była innego rodzaju niż tych, którzy są dumni ze swojej rangi, pochodzenia, majątku, pozycji towarzyskiej bądź jakichś własnych indywidualnych uzdolnień. Krystyna była dumna z tej szlachetnej dzikości, jaka żyła w jej sercu i w nerwach jak jakaś trucizna i dziedzictwo. Ta kobieta – dobrze wiesz o tym – była wewnętrznie niezawisła, a to już jest bardzo rzadkie; rzadkością jest człowiek suwerenny, zarówno w kobiecie jak w mężczyźnie. Wydaje się, że nie jest to kwestia pochodzenia i pozycji towarzyskiej. Nie można było jej obrazić, nie można było postawić jej w takiej sytuacji, z której by się wycofała, nie znosiła ograniczeń w wielorakim sensie. Rozumiała coś jeszcze, a to jest ewenement w charakterze kobiety: miała w sobie tę odpowiedzialność, do jakiej nas zobowiązuje nasze człowieczeństwo. Pamiętasz – tak, z pewnością pamiętasz – kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, w pokoju, gdzie na szerokim stole leżały zeszyty nutowe jej ojca: weszła Krystyna i naraz ciemny mały pokój wypełnił się jasnością. Wniosła nie tylko swoją młodość, nie. Wniosła namiętność i hardość, suwerenną świadomość bezwzględnych uczuć. Nie widziałem od tamtego czasu człowieka, który umiałby, jak ona, całym sobą reagować na wszystko, co daje mu świat i życie: na muzykę, na poranny spacer w lesie, na

zapach i barwę kwiatu, na czyjeś rozumne i właściwe słowa. Nikt tak nie potrafił dotknąć szlachetnej tkaniny czy zwierzęcia jak Krystyna. Nie znałem nikogo, kto umiałby tak cieszyć się pospolitymi darami życia jak ta kobieta: ludzie i zwierzęta, gwiazdy i książki, wszystko ją ciekawiło, ale nie ciekawością zarozumiałej sawantki, nie, ona zbliżała się do wszystkiego, co świat może pokazać i ofiarować, z bezstronną radością istoty cieszącej się darem życia. Jakby ją, osobiście, obchodziło każde ziemskie stworzenie, rozumiesz?... Tak, ty to z pewnością rozumiesz. A w tej bezstronnej bliskości była też pokora, jakby ciągle czuła, że życie jest wielką łaską i przywilejem. Niekiedy jeszcze widzę jej twarz – mówi wylewnie – w tym domu już nigdzie nie spotkasz jej portretu, nie ma jej fotografii, a wielki obraz, który malował Austriak i który długo wisiał pomiędzy portretami mojego ojca i matki, zdjęto ze ściany. Nie, nie znajdziesz już w tym domu portretu Krystyny – mówi zdecydowanie, nieomal z zadowoleniem, jakby informował o skromnym czynie bohaterskim. – Ale niekiedy widzę jej twarz, w półśnie albo gdy wchodzę do pokoju. I teraz, kiedy mówimy o niej, my dwaj, którzy prawdopodobnie dobrze znaliśmy Krystynę, tak wyraźnie widzę jej twarz, jak przed czterdziestu jeden laty, ostatniego wieczora, kiedy tutaj siedziała między nami. Bo to był ostatni wieczór, kiedy jedliśmy kolację razem z Krystyną, powinienes to wiedzieć. Nie tylko ty, ja także wtedy ostatni raz jadłem kolację z Krystyną. Bo tego dnia wszystko wydarzyło się tak, jak wydarzyć się musiało, wszystko wydarzyło się pomiędzy nami trojgiem. A ponieważ obaj znaliśmy Krystynę, nieuchronnie musiały zapaść pewne decyzje: ty wybrałaś się w podróż do tropiku, a Krystyna i ja nigdy już nie rozmawialiśmy ze sobą – mówi spokojnie.

I patrzy w ogień.

– Taką mieliśmy naturę – mówi po prostu. – Powoli zaczynałem rozumieć pewną część tego, co się wydarzyło. Tu chodziło o muzykę. W życiu ludzi są pewne tragiczne elementy, powracające elementy, na przykład muzyka. Pomiedzy moją matką, Krystyną i tobą była muzyka jako materiał wiążący. Prawdopodobnie muzyka mówiła wam coś, czego nie można wyrazić słowem ni działaniem i prawdopodobnie wy także coś sobie mówiliście poprzez muzykę, a tej drugiej mowy, którą dla was w pełni wyrażała muzyka, dwaj jakże inni od was ludzie, ojciec i ja, nie rozumieli. Dlatego pozostaliśmy samotni między wami. Ale muzyka przemawiała do ciebie i do Krystyny, więc mogliście rozmawiać ze sobą także wtedy, kiedy między Krystyną i mną zamierała wszelka rozmowa. Nienawidzę muzyki – mówi nieco głośniejszym głosem; pierwszy raz tego wieczora wypowiada słowa ochryple, z pasją. – Nienawidzę tej melodyjnej i niezrozumiałej mowy, jaką pewnego rodzaju ludzie potrafią ze sobą gadać, opowiadają sobie coś całkowicie luźnego, niekonwencjonalnego, co więcej, czasami wydaje mi się, że poprzez muzykę mówią sobie coś niestosownego i niemoralnego. Przyjrzyj się ich twarzom, jak dziwnie się zmieniają, kiedy słuchają muzyki. Krystyna i ty nie szukaliście muzyki – nie pamiętam też, abyście kiedykolwiek grali razem, na cztery ręce, nigdy nie zasiadłeś do fortepianu przed Krystyną, w każdym razie nigdy w mojej obecności. Wydaje się, że wstyd i delikatność powstrzymywały Krystynę przed słuchaniem z tobą muzyki w

mojej obecności. Jakkolwiek muzyka nie ma żadnej treści możliwej do wyrażenia słowami, prawdopodobnie ma jakiś inny, niebezpieczny sens, jeśli tak dalece potrafi poruszyć ludzi, którzy mają nie tylko słuch muzyczny, ale posłuszni głosowi przeznaczenia i krwi należą do siebie. Nie uważasz?...

– Dokładnie tak uważam – mówi gość.

– To mnie uspokaja – mówi uprzejmie. – Ojciec Krystyny też tak uważał, a on naprawdę znał się na muzyce. Bo to był jedyny człowiek, z którym raz, jeden jedyny raz rozmawiałem o wszystkim, o muzyce, o tobie, o Krystynie. Wtedy był już stary; krótko po naszej rozmowie zmarł. Akurat powróciłem z wojny. Krystyna też już wtedy nie żyła, od dziesięciu lat. Wszyscy już pomarli i odeszli, którzy kiedykolwiek byli dla mnie ważni, ojciec, matka, ty i Krystyna. Żyło jedynie tych dwoje: niania i ojciec Krystyny, starzy ludzie, którzy trwali z dziwną obojętnością i siłą, z jakimś niezrozumiałym celem... tak, jak my żyjemy, obecnie. Wszyscy umarli, a i ja nie byłem już młody, dochodziłem do pięćdziesiątki, i byłem tak samotny jak jedyne drzewo na polanie w moim lesie, drzewo, wokół którego w przeddzień wybuchu wojny burza wytrzebiła las. Pozostało to jedno drzewo na polanie, w pobliżu domku myśliwskiego. W ciągu minionego ćwierćwiecza wyrósł już wokół niego nowy las. Ale to drzewo pochodzi jeszcze z dawnego lasu i ów gniew, któremu w przyrodzie na imię wichur, powywracał wokół niego wszystko, co doń należało. I to drzewo, widzisz, jednakowoż żyje, także dzisiaj, dzięki potężnej i nierozumnej sile. Jaki może mieć cel?... Żadnego. Chce zostać przy życiu. Wydaje się, że życie, że wszystko, co żyje, nie ma innego celu, niż trwać tak długo, jak to możliwe, i odnawiać się. A więc powróciłem z wojny i rozmawiałem z ojcem Krystyny. Co wiedział o nas trojgu? Wszystko. A ja opowiedziałem jemu, jednemu człowiekowi, wszystko, co warto było opowiedzieć. Siedzieliśmy w ciemnym pokoju, pośród starych mebli i dawnych instrumentów; na półkach, w szafach, wszędzie leżały tomy nut, niema muzyka utrwalona w znakach, to drukowane huczenie i świstanie, które jest światową literaturą muzyczną, ukrywało się w pokoju, gdzie wszystko miało taki stary zapach, jakby z życia, jakie upłynęło w tym pokoju, ulotniła się wszelka ludzka treść. Wysłuchał mnie i powiedział tylko tyle: „Czegóż chcesz? Przeżyłeś.” Zabrzmiało to jak wyrok. I jak swego rodzaju oskarżenie. Patrzył przed siebie ślepowymi oczami, w półmrok, był już bardzo stary, powyżej osiemdziesiątki. Wówczas zrozumiałem, że człowiek, który coś przeżyje, nie ma prawa wnosić oskarżenia. Kto coś przeżyje, ten wygrywa własny proces, nie ma prawa i powodu oskarżać; jest silniejszy, on był sprytniejszy, nachalniejszy. Jak my obaj – mówi krótko, sucho.

Patrzą na siebie, badają się nawzajem.

– Potem on także zmarł, ojciec Krystyny – mówi. – Pozostała jedynie niania i ty gdzieś tam we świecie, i ten zamek, i las. Przeżyłem wojnę – mówi z zadowoleniem. – Nie szukałem śmierci, nigdzie nie wybiegałem jej naprzeciw: bo to prawda i nie ma sensu, abym mówił co innego. Wydaje się, że jeszcze miałem swoją sprawę – mówi, pogrążając się w myślach. –

Dokoła mnie umierali ludzie, widziałem różne odmiany śmierci i niekiedy zdumiewała mnie różnorodność możliwości niszczenia; bo śmierć tak samo ma wyobraźnię jak życie. Dziesięć milionów ludzi zmarło na wojnie, tak obliczono. Świat się zapalił i płonął takim ogniem i dymem, że człowiek niekiedy sądził, iż wypala się każda osobista wątpliwość, indywidualny problem i pojedynczy gniew... Ale nie wypalił się. Nawet pośród największej ludzkiej nędzy wiedziałem, że mam jeszcze jakąś osobistą sprawę, dlatego nie byłem tchórzliwy ani odważny, w książkowym znaczeniu tych słów, nie: byłem spokojny, w ataku i w starciu, bo wiedziałem, że nie może mi się przydarzyć żadne prawdziwe nieszczęście. Aż pewnego dnia powróciłem do domu z wojny i czekałem. Mijał czas i świat ponownie się zapalił; wiem, że to jest jeszcze ten sam ogień, tyle że teraz znowu się roznosi... W mojej duszy również żarzyło się to samo pytanie, którego nie potrafił zdławić nagromadzony z czasem popiół i sadza. Znowu pali się świat, giną miliony ludzi, a przecież w tym oszalałym świecie ty jakoś znalazłeś drogę, aby jeszcze raz wrócić, z drugiego brzegu, do domu i załatwić ze mną to wszystko, czego nie potrafiliśmy załatwić przed czterdziestu jeden laty. Jakże silna jest natura człowieka: bo on nie umie żyć inaczej, musi odpowiadać i musi otrzymać odpowiedź na pytanie, które uznał za pytanie swojego życia. Dlatego powróciłeś, i dlatego czekałem na ciebie. Możliwe że ten świat się kończy – mówi cicho i jedną ręką pokazuje dookoła siebie. – Możliwe że w świecie wygasną światła, jak dzisiejszej nocy nad tą okolicą, pod uderzeniem jakiegoś żywiołu, którym teraz nie jest już wojna, lecz coś więcej; możliwe też, że coś dojrzało w duszach ludzi, wszędzie na świecie, i teraz załatwiają i omawiają ogniem i mieczem to, co raz wreszcie musi być załatwione i omówione. Wiele na to wskazuje. Możliwe... – mówi obiektywnie. – Możliwe że ta forma życia, którą poznaliśmy, w której rozmawialiśmy, ten dom, ta kolacja, ba, nawet te słowa, którymi dzisiaj omawiamy główny problem naszego życia, wszystko to już należy do przeszłości. Zbyt wiele napięcia w ludzkich sercach, zbyt wiele złości, zemsty. Spójrzmy w nasze serca, i co w nich znajdujemy? Gniew, który czas jedynie zdusił, tak iż stał się bledszy, ale nie potrafił zgasić jego żaru. Dlaczego mamy oczekiwać czegoś innego od świata, od ludzi? Przecież my obaj, mądrzy i starzy, którzy jesteśmy już u kresu życia, my także pragniemy zemsty... zemsty, na kim? Na sobie nawzajem albo na pamięci kogoś, kogo już nie ma. Głupie afekty. A jednak wciąż żyją w naszych sercach. Czego więc innego oczekujemy od świata, który jest pełen nieświadomości i pożądlivosti, porywów i gwałtowności, w którym młodzi ludzie ostrzą sobie zęby na równie młodych ludzi innej narodowości, obcy ludzie drą z siebie pasy, wszystko, co było regułą i ugodą, jest nieważne, tylko ogień żyje i pali się, płonie aż po samo niebo... Tak, zemsta. Powróciłem z wojny, gdzie znalazłbym sposób, aby umrzeć, a nie umarłem, ponieważ czekałem, aby się zemścić. W jaki sposób? – zapytasz teraz. Co to za zemsta?... Widzę po twoich oczach, że nie rozumiesz owej żądzy zemsty. Jakaż to zemsta jest jeszcze możliwa pomiędzy dwoma starcami, na których czeka już tylko śmierć?... Każdy umiera; co tu jeszcze znaczy zemsta?... To pytanie zadaje twoje spojrzenie. A ja odpowiadam ci, i odpowiadam tak:

a jednak to jest zemsta. To trzymało mnie przy życiu w latach pokoju i w czasie wojny, w ciągu minionych czterdziestu jeden lat, dlatego ja nie zabiłem nikogo, chwała losowi. Nie, zemsta przyszła, tak jak chciałem. Zemsta to jest to, że przyjechałeś do mnie, przez świat pogrążony w wojnie, przez zaminowane oceany, wyruszyłeś tutaj, na miejsce zajścia, aby odpowiedzieć i abyśmy obaj poznali prawdę. To jest zemsta. Teraz będziesz odpowiadał.

Ostatnie słowa mówi zupełnie cicho: gość nachyla się, patrzy uważnie.

– Możliwe – mówi. – Możliwe, że masz rację. Pytaj. Może potrafię odpowiedzieć.

Światło świec już zamiera, w ogrodzie, pośród wielkich drzew, wieje wczesny, poranny wiatr. Wokół nich, w pokoju, jest prawie ciemno.

– Musisz odpowiedzieć na dwa pytania – mówi generał i on także się nachyla; mówi to szeptem, poufnie. – Na dwa pytania, które dawno sformułowałem, w minionych dziesięcioleciach, kiedy czekałem na ciebie. Na dwa pytania, i tylko ty możesz na nie odpowiedzieć. Jak widzę, sądzisz, że chciałbym się dowiedzieć, czy się nie mylę, czy naprawdę, w tamten poranek, na polowaniu, miałeś zamiar mnie zabić? Czy nie było to moje urojenie? Drugie pytanie, myślisz, brzmi tak: czy byłeś kochankiem Krystyny? Czy, jak to zwykło się mówić, zdradziłeś, i czy ona zdradziła, w prawdziwym, pospolitym i trywialnym znaczeniu tego słowa? Nie, mój przyjacielu, te dwa pytania już mnie nie interesują. Na te pytania już odpowiedziałeś i odpowiedział czas. Krystyna także odpowiedziała, na swój sposób. Wszyscy odpowiedzieli, ty w tej formie, że nazajutrz po polowaniu uciekłeś z miasta, od nas, od swojego urzędu, porzuciłeś sztandar, jak to mówiono drzewiej, kiedy ludzie jeszcze wierzyli w prawdziwe znaczenie słów. Nie pytam, ponieważ wiem z całą pewnością, że w tamten poranek chciałeś mnie zabić. Nie mówię tego w trybie oskarżenia; raczej żał mi ciebie. Straszna może być chwila, kiedy w życiu człowieka odzywa się ta pokusa, kiedy jeden człowiek podnosi broń, aby zabić drugiego człowieka, który jest mu bliski, z którym jest wewnętrznie powiązany i którego z jakiegoś powodu musi zabić. Bo to stało się z tobą tamtej chwili. Nie zaprzeczasz?... Milczysz?... W mroku nie widzę twojej twarzy... już nie warto zapalać nowych świec, bo i w mroku rozpoznajemy się i rozumiemy, zwłaszcza teraz, kiedy nadeszła ta chwila, chwila zemsty. Miejmy to za sobą. W minionych dziesięcioleciach nigdy ani przez sekundę nie wątpiłem, że w tamten poranek chciałeś mnie zabić, i zawsze było mi ciebie żal z powodu tamtej chwili. Tak dokładnie wiem, co czułeś, jakbym był na twoim miejscu i jakbym przeżył tę straszną chwilę pokuszenia. Była to chwila utraty przytomności, ta poranna chwila, kiedy piekielne moce jeszcze sprawują pełnię władzy na ziemi i w ludzkim sercu, kiedy noc wydaje swoje złe technienie. Niebezpieczna to chwila. Znam ją. Ale to wszystko to już tylko materiał policyjny, widzisz... co mam począć z tą prawdą rodem z postępowania sądowego, jeśli w oparciu o dane dowiaduję się czegoś, co i tak wiem sercem i umysłem... Co mogę począć z duszną tajemnicą garsoniery, z zepsutym materiałem zdrady małżeńskiej, z przestarzałymi i stęchłymi sekretami alkowy, z intymnymi wspomnieniami

zmarłych i starców idących po omacku ku śmierci? Jakże opaczny, hańbiący byłby to proces, gdybym teraz, u kresu życia, odpytywał cię z tego wszystkiego, co w oparciu o dane jest możliwe do udowodnienia z tej zdrady małżeńskiej i próby zabójstwa, gdybym wymógł na tobie zeznanie, kiedy nawet prawo uważa za przedawnione to, co wydarzyło się bądź mogło się wydarzyć?... Wszystko to byłoby hańbiące, niegodne ciebie i mnie, niegodne pamięci naszego dzieciństwa i naszej przyjaźni. Być może opowiedzenie tego wszystkiego, co jest możliwe do opowiedzenia, przyniosłoby ci ulgę? Ale ja nie chcę, abyś doznał ulgi – mówi spokojnie. – Chcę prawdy, a prawdą teraz nie jest dla mnie garść zakurzonych i niezbornych policyjnych faktów ani sekrety niegdysiejszych namiętności i omyłek pewnego martwego, zbutwiałego kobiecego ciała... Jakie to ma znaczenie dla nas obu: męża i kochanka – teraz, kiedy tego ciała już nie ma, a my jesteśmy starcami – i czy warto, byśmy jeszcze raz poruszyli tamte sprawy, spróbowali dowiedzieć się prawdy, a następnie pomarli, ja tutaj, u siebie, mieszając swoje kości z kośćmi moich przodków, a ty gdzieś tam w świecie, pod Londynem albo w tropiku? Jakie ma znaczenie u kresu życia prawda i fałsz, oszustwo, zdrada, usiłowanie zabójstwa czy nawet samo zabójstwo, jakie to ma znaczenie: kiedy, gdzie i ile razy moja żona, Krystyna, jedyna wielka miłość i nadzieja mojego życia, zdradziła mnie z tobą, moim jedynym przyjacielem?... Opowiesz tę smutną i nikczemną prawdę, wyznasz wszystko, opowiesz dokładnie, jak to się zaczęło, jakaż to zazdrość i zawiść, jaki smutek i lęk rzucał was sobie w ramiona, co czułeś, kiedy ją obejmowałeś, jakież to pragnienie zemsty i poczucie winy przenikało ciało i duszę Krystyny w ciągu tych lat... powiesz to wszystko i cóż to da? U kresu wszystko będzie takie proste – wszystko, co było i co być mogło. Drobniejsze od prochu i popiołu będzie wszystko to, co niegdyś było faktem. To, co rozpałało nasze serca tak, iż myśleliśmy, że nie wytrzymamy już dłużej, że umrzemy albo zabijemy kogoś – bo ja także znam te uczucia, ja także poznałem chwilę fatalnej pokusy, trochę później, kiedy odjechałeś i zostałem sam z Krystyną – wszystko to będzie drobniejsze od pyłu, który wiatr miesza i którym niestrudzenie wywija nad cmentarzami. Mówić o tym – to wstyd i nieroztropność. Ja to wszystko wiem, wiem tak dokładnie, jakbym szczegóły znał z policyjnego raportu. Mogę ci przedstawić materiał sądowy, niczym adwokat na głównej rozprawie: i co będzie wtedy?... Cóż mam począć z tą tanią prawdą, z tajemnicą pewnego ciała, którego już nie ma? Co to jest wierność, czego oczekujemy od tego, kogo kochamy? Stary już jestem, wiele myślałem, także o tym. Wierność nie jest jakimś strasznym egoizmem. Egoizm i próżność są to sprawy ludzkie, i czyż nie dominują w naszym życiu? Kiedy żądamy wierności, czy chcemy zarazem, aby ten drugi był szczęśliwy? A skoro w subtelnej niewoli wierności nie można być szczęśliwym, czy kochamy tego, który żąda wierności od nas? I jeśli nie kochamy drugiego tak, aby uczynić go szczęśliwym, czy mamy prawo żądać czegośkolwiek, wierności albo ofiary? Teraz, u kresu życia, już nie odważyłbym się tak stanowczo odpowiedzieć na te pytania, jak odpowiedziałbym przed czterdziestu jeden laty, gdyby mnie ktoś zapytał – przed czterdziestu jeden laty, kiedy Krystyna pozostawiła mnie w

twoim mieszkaniu, do którego często przychodziła przede mną, dokąd ty naznosiłeś wszystkiego, aby móc w nim zatrzymać Krystynę, i w którym dwoje ludzi, najbliższych mi na świecie, tak haniebnie, tak trywialnie, ba, teraz tak to czuję: tak nudnie zdradzało mnie i oszukiwało?... Bo to się stało – mówi lekceważąco, znudzonym głosem, obojętnie. – I to wszystko, co ludzie nazywają „zdradą”, jest smutnym i nudnym buntem ciał przeciwko pewnej sytuacji i trzeciej osobie, straszliwie obojętnym, gdy spojrzymy wstecz, u kresu życia – obojętnym, bez mała godnym pożałowania, jak jakiś wypadek albo jakieś nieporozumienie. Wtedy jeszcze tego nie rozumiałem. Stałem w sekretnym mieszkaniu, przyglądając się meblom, tapczanowi, jakbym oglądał ślady jakiejś zbrodni... tak, kiedy człowiek jest młody, a żona zdradza go z jedynym przyjacielem, kimś bardzo bliskim, bliższym od brata, to naturalnie czuje się tak, jakby dokoła niego zawałił się świat. Bezwarunkowo tak się czuje, ponieważ zazdrość, rozczarowanie, próżność, potrafi zadać ból ze straszliwą siłą. Ale to mija... niezrozumiale mija, nie z dnia na dzień, nie, nawet lata nie prześlągają tego gniewu – w końcu jednak mija, dokładnie tak jak życie. Wróciłem do zamku, poszedłem do mojego pokoju, i czekałem na Krystynę. Czekałem, aby ją zabić, bądź też czekałem, że powie prawdę, a ja jej przebaczę... w każdym razie czekałem. Czekałem do wieczora; gdy nie przyszła, udałem się do domu myśliwskiego. Może to było dziecinne... teraz, po latach, kiedy patrzę wstecz i chcę osądzać siebie i innych, widzę i odczuwam tę pychę, to oczekiwanie, to odejście, jako dziecinadę. Ale, widzisz, taki jest człowiek, i tylko niewiele może zdziałać umysłem i doświadczeniem przeciwko uporczywym urojeniom nagiej natury. Teraz wiesz to już i ty. Udałem się do pałacyku myśliwskiego, który znasz, niedaleko stąd, i potem przez osiem lat nie widziałem Krystyny. Zobaczyłem ją dopiero martwą, rano, kiedy Nini zawiadomiła mnie, że mogę powrócić, bo umarła. Wiedziałem, że choruje, wiem także, że leczyli ją najlepsi lekarze – mieszkali tutaj, w zamku, miesiącami i zrobili wszystko, aby ją uratować, powiedzieli tak: „Uczyniliśmy wszystko, na co tylko pozwala stan dzisiejszej medycyny”. To są te słowa. Prawdopodobnie zrobili to i owo, na co starczyło im ułomnej wiedzy, czemu nie stanęła na zawadzie ich nadętość i próżność. Co wieczór, przez osiem lat, donoszono mi, co dzieje się w zamku, także wtedy gdy Krystyna jeszcze nie chorowała, i później, kiedy postanowiła, że zachoruje i umrze. Bo wierzę, że można postanowić coś takiego – a teraz wiem to z całą pewnością. Ale ja nie mogłem pomóc Krystynie, ponieważ pomiędzy nami była tajemnica, jedyna tajemnica, której nie można wybaczyć ani przed stosownym czasem naruszyć, bo niepodobna wiedzieć, co leży na dnie takiej tajemnicy? Jest coś, co jest gorsze od śmierci i namiętności... to, że człowiek traci szacunek dla samego siebie. Dlatego bałem się tajemnicy, naszej wspólnej – Krystyny, twojej i mojej – tajemnicy. Jest coś, co potrafi tak boleć, ranić i palić, że nawet śmierć nie może usunąć tej udręki: kiedy jakiś człowiek albo dwoje ludzi zrani w nas to głębokie poczucie własnej godności, bez którego nie potrafimy już dłużej pozostać ludźmi. Próżność, powiadasz. Tak, próżność... a jednak to poczucie własnej godności jest najgłębszą treścią ludzkiego życia. Dlatego bałem

się tej tajemnicy. Dlatego zgadzamy się na różnego rodzaju rozwiązania, także na rozwiązania podle, tchórzliwe – rozejrzyj się wokół, a wszędzie w życiu znajdziesz takie połowiczne rozwiązania: jeden odchodzi daleko od tego albo od tych, których kocha, ponieważ boi się tajemnicy, drugi pozostaje na miejscu i milczy, wiecznie czeka na jakąś odpowiedź... Widziałem to. Przeżyłem to. To nie jest tchórzostwo, nie... to ostatnia obrona instynktu życia. Powróciłem do domu, czekałem do wieczora, potem poszedłem do pałacyku myśliwskiego i przez osiem lat czekałem na coś, na jakieś słowo, na jakąś wieść. Ale Krystyna nie przyszła. Z pałacyku myśliwskiego do zamku, tutaj, dwie godziny drogi powozem. Ale te dwie godziny, tych dwadzieścia kilometrów było dla mnie większą odległością w przestrzeni i czasie, niż mogła być dla ciebie odległość tropiku. Taka jest moja natura, tak mnie wychowano, tak się wszystko uformowało. Jeśli Krystyna da mi znak – obojętnie jaki – stanie się jej wola. Jeśli zażyczy sobie, abym cię wezwał z powrotem, wyjadę, poszukam cię w świecie, wezwę tutaj. Jeśli zażyczy sobie, abym cię zabił, zrobię to, znajdę cię choćby na końcu świata i zabiję. Jeżeli zechce się rozwieść, dam jej rozwód. Ale nie chciała niczego. Bo ona także była kimś, na swój sposób, na sposób kobiecy, kimś, kogo obrazili ci, których kochała; jeden tym, że uciekł przed namiętnością, nie był skłonny spłonąć w związku, o którym wiedział, że jest tragiczny, drugi tym, że poznał prawdę, czekał i milczał. Krystyna także miała charakter, w innym znaczeniu tego słowa, niż rozumiemy je my, mężczyźni. W ciągu tych lat stało się coś także z nią, nie tylko z tobą i ze mną. Los dotknął nas i spełnił się nad nami, i wszyscy troje znośliśmy ten los. Nie widziałem jej osiem lat. Nie wezwała mnie przez osiem lat. Przedtem, kiedy czekałem na ciebie, abyśmy omówili to, co wreszcie trzeba omówić, bo nie mamy dużo czasu, dowiedziałem się czegoś od niani: dowiedziałem się, że konając, wzywała mnie. Nie ciebie... i nie mówię tego z satysfakcją, ale nie mówię też z przykrością, dobrze to sobie zapamiętaj. Wzywała mnie, i to jest coś, choć przecież nie tak wiele... Ale zobaczyłem ją już martwą. Była piękną umarłą. Umarła młodo, samotność nie zeszpeciła jej, choroba nie dotknęła tego osobliwego piękna, skończonej i poważnej harmonii twarzy Krystyny. Ale to wszystko już nie dotyczy ciebie – mówi teraz butnie. – Ty żyłeś w świecie, a Krystyna umarła. Ja żyłem w samotności, z urazą, a Krystyna umarła. Ona odpowiedziała nam obu, tak jak mogła, bo widzisz, ten, kto jest martwy, daje dobrą odpowiedź, ostateczną – niekiedy myślę, że tylko martwi dają dobre i kompletne odpowiedzi. A więc stało się. Bo też co innego mogła powiedzieć po ośmiu latach niż to, że umarła?... Więcej człowiek nie może powiedzieć. W ten sposób odpowiedziała na wszystkie pytania, jakie ty albo ja moglibyśmy jej zadać, gdyby życie tak się ułożyło, że chciałaby rozmawiać z którymś z nas. Tak, martwi dają dobre odpowiedzi. Ale widzisz, nie chciała rozmawiać z nami. Czasami mam takie uczucie, że spośród nas trojga, wygraną była ona, Krystyna. Nie ja, którego zdradziła z tobą, nie ty, który mnie zdradziłeś z nią – zdrada, co za słowo! Są takie słowa, którymi człowiek automatycznie i bezdusznie określa pewne sytuacje. Ale gdy wszystko się kończy, jak teraz kończy się dla nas, niewiele można zdziałać takimi słowami.

Oszustwo, niewierność, zdrada, wszystko to tylko słowa, kiedy nie żyje już ten, którego te słowa dotyczą, kiedy już odpowiedział za prawdziwy sens tych słów. To, co nie jest słowem, to jest ta niema rzeczywistość, to, że Krystyna nie żyje, a my obaj żyjemy. I kiedy zrozumiałem to, było już za późno. Bo nie zostało już nic innego jak oczekiwanie i zemsta – teraz, kiedy nadeszła godzina zemsty i koniec oczekiwania, dziwiąc się, czuję, jak beznadziejne i bezwartościowe jest to wszystko, czego jeszcze możemy dowiedzieć się od siebie, co możemy wyznać albo skłamać – człowiek zawsze zrozumie tylko prawdę. Ja już rozumiem prawdę. Oczyszczający ogień czasu wyszał ze wspomnień wszystkich gniew. I już znowu widuję Krystynę, na jawie i we śnie, jak idzie przez ogród, w wielkim florenckim kapeluszu, wysmukła, w białej sukni, nadchodzi od strony oranżerii, albo coś mówi do swojego konia. Widuję ją, dzisiaj po południu także ją widziałem, kiedy czekałem na ciebie i zdrzemnąłem się. Widziałem ją w półśnie – mówi ze staroświeckim zawstydzeniem. – Widziałem rozmaite obrazy, z dawnych, bardzo dawnych czasów. I dzisiaj po południu pojąłem rozumem to, co już dawno zrozumiałem sercem: tę niewierność, to oszustwo, tę zdradę nas obojga. Zrozumiałem i cóż mogę o tym powiedzieć?... Człowiek starzeje się powoli: najpierw starzeje się jego ciekawość ludzi i chęć życia, wiesz, powoli wszystko staje się takie oczywiste, poznajesz sens wszystkiego, wszystko się powtarza, tak okropnie i nudno. To także starość. Kiedy już wiesz, że szklanka nie jest niczym innym jak tylko szklanką. A człowiek, biedny człowiek, niczym innym jak tylko człowiekiem, śmiertelnym, cokolwiek by robił... Potem starzeje się twoje ciało; nie od razu, nie, najprzód starzeją się twoje oczy albo nogi, albo żołądek i serce. Tak starzeje się człowiek, w częściach. Po czym, naraz zaczyna starzeć się twoja dusza: bo ciało daremnie pada i psuje się, dusza wciąż jeszcze pragnie i wspomina, szuka i raduje się, pragnie radości. A kiedy mija to pragnienie radości, nie pozostaje nic innego, tylko pamięć i próżność; i wtenczas starzejesz się naprawdę, ostatecznie i nieodwołalnie. Pewnego dnia budzisz się, przecierasz oczy: już nie wiesz, dlaczego się obudziłeś. To, co pokazuje słońce, znasz dokładnie: wiosnę albo zimą, dekoracje życia, pogodę, porządek dnia. Już nie może się zdarzyć nic zaskakującego, nie zaskakuje nawet coś nieoczekiwanego, niezwykłego, budzącego grozę, ponieważ znasz każdą szansę, na wszystko już liczyłeś, nie czekasz już na nic, ani na złe, ani na dobre... to właśnie jest starość. Coś jeszcze żyje w twoim sercu, jakieś wspomnienie, jakiś mglisty cel, chciałbyś kogoś ponownie zobaczyć, chciałbyś coś powiedzieć, czegoś dowiedzieć się i wiesz dobrze, że pewnego dnia nadejdzie ta chwila, i wtedy raptem nie będzie już czymś tak definitywnie ważnym poznanie prawdy i reakcja na nią, jak sądziłeś w ciągu tych lat oczekiwania. Człowiek powoli pojmuje świat, po czym umiera. Pojmuje zjawiska i przyczyny ludzkich postępów. Język migowy nieświadomości... ponieważ ludzie przekazują swoje myśli językiem migowym, nie zwróciło to twojej uwagi? Jakby o istotnych sprawach mówili językiem obcym, po chińsku, i dopiero ten język trzeba tłumaczyć na rozumną mowę rzeczywistości. Nie wiedzą niczego o sobie. Zawsze mówią jedynie o pragnieniach i

popadając w rozpacz nieświadomie się maskują. Życie staje się nieomal interesujące, kiedy już poznałeś ludzkie kłamstwa i zaczynasz rozkoszować się obserwowaniem, jak to zawsze mówią co innego niż myślą i naprawdę pragną... Tak, pewnego dnia przychodzi poznanie prawdy: i to jest tyle samo, co starość i śmierć. Ale wtedy już nic nie boli. Krystyna mnie zdradziła, co za głupie słowo!... I to zdradziła z tobą, cóż to za żaloszny bunt! Nie patrz na mnie z takim zdumieniem: mówię to litościwym tonem. Później, kiedy wiele dowiedziałem się i wszystko zrozumiałem, bowiem czas przynosił na moją samotną wyspę zdradzieckie sygnały, pojedyncze odpadki z materiału owego rozbitego statku, litościwie oglądałem się w przeszłość i widziałem tam was, parę buntowników, moją żonę i przyjaciela, dwoje ludzi, którzy ze świadomością winy, szczękając zębami, odrętwiali z samooskarżenia i płonąc w tej krnąbrnej namiętności, nieszczęśliwie buntowali się na śmierć i życie przeciwko mnie... Biedni! – myślałem. Myślałem tak nie jeden raz. I wyobrażałem sobie fragmenty tych spotkań, w domu na skraju miasta, w małym miasteczku, gdzie sekretne spotkanie jest prawie niemożliwe, to zamknięcie, niczym na statku, i jednocześnie tę dręczącą jawność, tę miłość, która nie ma bodaj jednej spokojnej minuty, której każdy krok, każde spojrzenie śledzi obłudny i podejrzliwy wzrok lokajów, służby i otoczenia, to drzenie i ukrywanie się przede mną, te kwadransy pod pozorem przejażdżki konnej albo muzyki, albo tenisa, te spacerunki w lesie, gdzie moi myślicy dają baczenie na wszelkiej maści kłusowników... wyobrażam sobie nienawiść, która wypełnia wasze serca, kiedy myślicie o mnie, kiedy przy każdym kroku, w każdej chwili potykacie się o moją władzę, władzę męża, władzę ziemianina, władzę pana, o moją wyższość społeczną i majątkową, o rój moich służących, o to, co jest władzą silniejszą niż wszystko inne: o przywiązanie, które nakazuje wam, byście poza wszelką miłością i nienawiścią wiedzieli, iż beze mnie nie potraficie w pełni żyć ni umrzeć. Jesteście nieszczęśliwymi kochankami, mogliście mnie oszukać, ale nie mogliście mnie ominąć; na próżno jestem człowiekiem innym niż wy, bo my troje mamy ze sobą tak wiele wspólnego, jak kryształ wewnątrz geometrycznego wzoru. Opada ci ręka z bronią, kiedy w pewien poranek chcesz mnie zabić, bo już nie wytrzymujesz tego pościgu, tego ukrywania się, tej nędzy... i cóż możesz uczynić? Zabrać Krystynę? Musiałbyś zrzec się szarży, a jesteś biedny, Krystyna też jest biedna, nie możesz przyjąć niczego ode mnie, nie, nie możesz z nią uciec, żyć z nią także nie możesz ani się z nią ożenić, zrobić z niej utrzymankę rzecz niebezpieczna dla życia, groźniejsza niż śmierć: w każdej chwili musiałbyś się liczyć ze zdradą i zdemaskowaniem, musiałbyś się obawiać, że opowiesz mi wszystko, właśnie mnie, przyjacielowi i bratu. Nie wytrzymujesz długo tego zagrożenia. I pewnego dnia, kiedy chwila dojrzała i stanęła pomiędzy nami dwoma w postaci możliwej do przyjęcia, podnosisz broń; a później, wiele razy i szczerze współczuję ci z powodu tej chwili. To musi być nadzwyczaj dręczące i ciężkie zadanie, zabić kogoś, kto jest nam bliski – mówi nawiasem. – Nie jesteś dość silny, by wykonać to zadanie. A może ta chwila mija, i już nie możesz nic zrobić. Bo taka jest natura chwili – czas przynosi i unosi sprawy, samowolnie, nie tylko my

umieszczamy w czasie nasze czyny i zjawiska. Jest tak, że chwila stwarza szansę i dokładnie określa czas, a gdy ta chwila mija, jesteś bezradny. Opada ci ręka z bronią. I nazajutrz rano wyjeżdżasz do tropiku.

Uważnie sprawdza czubek palca i paznokcieć.

– Ale my zostajemy tutaj – mówi w trakcie sprawdzania, jakby to było najważniejsze – tutaj zostajemy, Krystyna i ja. Tutaj zostajemy i wszystko się wyjaśnia, w ów przepisowy i niezrozumiały sposób, jak to pomiędzy ludźmi bywa, że przepływają pomiędzy nimi wiadomości przy pomocy fal, także wtedy, gdy w pobliżu nie ma nikogo, kto narusza tajemnicę i zdradza sekret rozmowy. Wszystko się wyjaśnia, bo ty odjechałeś, a my zostaliśmy tutaj, żywi, ponieważ ty przegapiłeś tę chwilę, albo chwila przegapiła ciebie – co na jedno wychodzi – i Krystyna, bowiem chwilowo nie może zrobić nic innego, musi na coś czekać, może tylko chce się upewnić, że umiemy milczeć, my obaj, ty i ja, dwóch mężczyzn, na których jej zależy i którzy zeszli jej z drogi: czeka, aż zrozumie i pozna prawdziwy sens tego milczenia. I wtedy umiera. Ale ja zostaję tutaj, wiem wszystko, a jednak czegoś nie wiem. Dlatego muszę żyć i czekać na odpowiedź. Odpowiedz, proszę cię: czy Krystyna wiedziała, że w tamten poranek, na polowaniu, chciałeś mnie zabić?

Pyta cicho i bezstronnie, z tak naprężoną ciekawością w głosie, jak dziecko, gdy prosi dorosłych o wyjaśnienie tajemnic gwiazd i niepostrzegalnego świata.

Gość nie reaguje na dźwięk tego pytania. Siedzi z głową ukrytą w dłoniach łokcie wsparłszy na poręczach fotela. Teraz oddycha głęboko, pochyla się, jedną ręką pociera czoło. Chce odpowiedzieć, lecz generał przerywa mu:

– Wybacz – mówi. – A więc widzisz, powiedziałem to – kontynuuje szybko, z zapalem, nieledwie tonem usprawiedliwienia. – Musiałem powiedzieć, i teraz, kiedy to powiedziałem, czuję, że nie zapytałem właściwie, postawiłem cię w przykrew sytuacji, ponieważ chcesz odpowiedzieć, chcesz powiedzieć prawdę, a ja nie zapytałem właściwie. Moje pytanie zabrzmiało jak oskarżenie. Nie przeczę, w ciągu minionych dziesięcioleci żyło w mojej duszy podejrzenie, że ta chwila w lesie, o świcie, na polowaniu, była nie tylko przypadkiem, pomysłem, okazją, chwilą diabelskiego podszeptu – nie, dręczy mnie podejrzenie, że tę chwilę poprzedzały inne chwile, trzeźwe, jasne jak słońce. Bo Krystyna, kiedy dowiedziała się, że uciekłeś, powiedziała: „Stchórzył” – to wszystko, co mówi, to są ostatnie słowa, jakie od niej słyszę, i ostatni sąd nad tobą, jaki wypowiada. I ja pozostaję sam z tymi dwoma słowami. Stchórzył, dlaczego?... – zastanawiam się później, znacznie później. Stchórzył, przed czym? Przed życiem? Przed wspólnym życiem nas trojga albo osobnym was dwojga? Stchórzył przed śmiercią? Nie odważył się i nie chciał żyć ani też umrzeć z Krystyną?... Nad tym się zastanawiam. A może stchórzył jeszcze przed czymś innym, nie przed życiem, i nie przed śmiercią, nie przed ucieczką, także nie przed oszustwem, nie stchórzył przed odebraniem mi Krystyny ani przed tym, abym ja zrezygnował z Krystyny, nie, stchórzył przed czymś bardzo prostym i nadającym się do policyjnego zakwalifikowania, co omawialiście i zaplanowaliście wy oboje, moja żona i mój najlepszy przyjaciel? I ten plan nie powiódł się, ponieważ ty stchórzyłeś?... To jest to, czego jeszcze chciałbym się dowiedzieć. Przedtem nie zadałem tego pytania precyzyjnie, wybacz; dlatego przerwałem ci, kiedy zobaczyłem, że szykujesz się do odpowiedzi. Bo ta odpowiedź nie jest ważna z punktu widzenia ludzkości i wszechświata, ale jest ważna dla mnie, dla jedyne go człowieka, który chciałby wiedzieć, teraz, kiedy już ten ktoś, kto oskarżył cię o tchórzostwo, obrócił się w proch i popiół: chciałby jednakowoż wiedzieć, przed czym właściwie stchórzyłeś? Bo znam prawdę, jeśli ta odpowiedź stawia wreszcie kropkę nad moimi pytaniami, i nie wiem nic, jeśli

nie znam z całą pewnością tego jednego szczegółu. Żyję czterdzieści jeden lat pomiędzy wszystkim i niczym, i nie ma człowieka, który mógłby mi pomóc, tylko ty jeden. Nie chciałbym tak umrzeć. Byłoby lepiej, bardziej na miarę człowieka, gdybyś przed czterdziestu jeden laty nie stchórzył, jak to stwierdziła Krystyna; tak, byłoby to bardziej ludzkie, gdyby kula rozstrzygnęła to, czego czas nie umiał rozstrzygnąć: wątpliwość, czy zjednoczyliście się przeciwko mnie dla tego zabójstwa, przed którego wykonaniem, ostatecznie, stchórzyłeś? Chciałbym tylko to wiedzieć. Bo wszystko inne to jedynie słowa, kłamliwe wyobrażenia: zdrada, miłość, intryga, przyjaźń, wszystko to zblednie przed oślepiającą siłą tego pytania, będzie takie blade, jak umarli i jak malowidła, na których cienie czasu zakrywają postaci. Nic już mnie nie interesuje, nie chcę odpowiedzi na pytanie o naturę waszego związku, nie chcę znać szczegółów, nie interesuje mnie „dlaczego” i „w jaki sposób”. To pospolite wyobrażenie zasługujące na pogardę. Zawsze jest tak dlatego, że tak być musiało, i tak się stało, taka jest prawda. Nie warto, u kresu, wypytywać o szczegóły. Ale warto i trzeba dogrzebywać się istoty i prawdy, w przeciwnym bowiem razie, po cóż żyłem? Dlaczego znosiłem to przez czterdzieści jeden lat? Dlaczego czekałem na ciebie – inaczej niż brat na wiarołomnego brata, inaczej niż przyjaciel na przyjaciela-dezertera, nie, ja czekałem na ciebie tak, jak sędzia i zarazem ofiara czeka na oskarżonego. I oto teraz oskarżony siedzi tutaj, ja pytam, a on chce odpowiadać. Czy jednak zapytałem właściwie i czy powiedziałem wszystko, co powinno się wiedzieć, co powinien wiedzieć on, sprawca i oskarżony – jeśli chce, by jego odpowiedź była tożsama z prawdą. Pewnego dnia, w wiele lat po jej śmierci, znalazłem ten jej pamiętnik oprawny w żółty aksamit, którego pamiętnej nocy – dla mnie jest to niezwykajne przypomnienie, bo to była noc po dniu polowania – daremnie szukałem w szufladzie jej biurka. Wówczas ta książka gdzieś zniknęła, ty nazajutrz wyjechałeś, a ja nigdy nie rozmawiałem z Krystyną. Potem Krystyna zmarła, ty żyłeś gdzieś daleko, a ja żyłem w tym domu, do którego powróciłem po śmierci Krystyny, ponieważ chciałem żyć i umrzeć w tych pokojach, w których się urodziłem, w których urodzili się, żyli i pomarli moi przodkowie. I teraz to się stało, bo istnieje pewien porządek rzeczy, a ten porządek jest niezależny od naszej woli. Lecz książka, oprawna w żółty aksamit książka, także żyła na swój zagadkowy sposób, obok nas i ponad nami w czasie, ta osobliwa „księga szczerości”, to straszne wyznanie, bezwzględne wyznanie miłości i wątpliwości, lęków i najistotniejszej tajemnicy Krystyny. Żyła, i ja ją znalazłem, później, znacznie później, pewnego dnia, pomiędzy rzeczami Krystyny, w pudełku, gdzie przechowywała portret matki namalowany na kości słoniowej, sygnet ojca, zasuszoną orchideę – kiedyś dostała ją ode mnie – i tę żółtą książkę przewiazaną niebieską wstążką. Jeden koniec wstążki opieczetowała ojcowskim pierścieniem. To jest ta książka – mówi i wyjmuję ją, wręcza przyjacielowi. – To pozostało po Krystynie. Nie rozerwałem wstążki, ponieważ nie pozostawiła pisemnego zezwolenia, nie dołączyła sposobu użycia tego dziedzictwa, nie mogłem też wiedzieć, czy to wyznanie zza grobu wysyła mnie, czy tobie. Przypuszczalnie w tej książce jest prawda, bo Krystyna nigdy nie kłamała – mówi

głosem surowym, pełnym namaszczenia.

Ale przyjaciel nie sięga po książkę.

Chowa głowę w dłoniach, siedzi bez ruchu, patrzy na cienki tomik oprawny w żółty aksamit, przewiązany niebieską wstążką, zamknięty niebieską pieczęcią. Nie rusza się, nie drgnie mu oko.

– Czy chcesz, abyśmy razem przeczytali wieści od Krystyny?... – pyta generał.

– Nie – mówi Konrad.

– Nie chcesz – pyta generał chłodno, wyniośle, jak zwierzchnik – czy nie masz odwagi przeczytać?

Długie minuty patrzą na siebie szeroko otwartymi oczami, ponad książką, którą generał wyciąga w stronę Konrada; w tym czasie nie drży mu ręka.

– Na to pytanie – mówi wreszcie gość – nie odpowiem.

– Rozumiem – mówi generał. Jego głos zdradza nadzwyczajną satysfakcję.

Powolnym ruchem rzuca w żar cienki tomik. Żar rozpala się w ciemności, przyjmuje ofiarę, powoli, dymiąc, wsysa materiał książeczki, drobne płomyki wznecają się wśród popiołu. Nieruchomo patrzą, jak płomienie zaczynają łopotać, ogień już żyje, będzie mu trochę raźniej dzięki tej nieoczekiwanej zdobyczy, zaczyna dyszeć i błyszczeć, płomienie buchają wysoko, wosk pieczęci już się stopił, żółty aksamit pali się, wydając cierpki dym, jakby niewidzialna ręka przewracała kartki koloru kości słoniowej, nagle pojawia się wśród płomieni rękopis Krystyny, spiczaste litery z zawijasami, które niegdyś zetlała dziś ręka stawiała na tym papierze, lecz i te litery, ten papier, ta książka, wszystko obróciło się w popiół, tak samo jak ta ręka, która niegdyś zapisała te stronicę. Pośrodku żaru pozostał już tylko czarny popiół, jedwabisty jak czarny żałobny materiał, mora.

Uważnie i w milczeniu patrzą na ten jedwabny, czarny popiół.

– Teraz już – mówi generał – możesz odpowiedzieć na moje pytanie. Nie ma już świadka, który by zeznawał przeciwko tobie. Czy Krystyna wiedziała, że wtedy, rano, w lesie, chciałeś mnie zabić? Odpowiesz?...

– Teraz także nie odpowiem na to pytanie – mówi Konrad.

– Dobrze – mówi generał głucho, prawie obojętnie.

19

W pokoju oziębiło się. Jeszcze nie świta, ale przez półotwarte, dwuskrzydłowe okno już czuje się rześwe tchnienie poranku o zapachu macierzanki. Generał, wrażliwy na zimno, zaciera ręce.

Teraz, w półmroku, na pół godziny przed świtem, obaj są bardzo starzy. Każdy jest tak samo poźółkły i kościsty, jak postaci tłukące się po kostnicy.

Gość, ni stąd, ni zowąd, automatycznym ruchem podnosi rękę i wzrokiem krótkowidza patrzy na zegarek.

– Myślę – mówi cicho – że omówiliśmy już wszystko. Czas, abym odjechał.

– Jeśli chcesz jechać – mówi uprzejmie generał – powóz czeka.

Obaj wstają, odruchowo podchodzą do kominka, pochylają się, chude ręce, wrażliwe na zimno, wyciągają się ku żarowi dogasającego ognia. Teraz czują jedynie to, że przemarzli i drżą; noc z nagłą oziębiła się; burza, która w pobliskiej elektrowni w mieście wygasła światła, przeszła obok zamku.

– Wracasz do Londynu – mówi generał, jakby do samego siebie.

– Tak – odpowiada gość.

– Tam chcesz żyć?

– Żyć i umrzeć – odpowiada Konrad.

– Tak – mówi generał. – To naturalne. Nie chcesz zostać tutaj jeszcze jeden dzień? Zobaczyć coś? Spotkać się z kimś? Nie widziałeś grobu. Nini także nie widziałeś – mówi tonem zachęty.

Lecz mówi niezdecydowanie, jak ktoś, kto teraz, na pożegnanie, szuka i nie znajduje właściwych słów. Jednakże gość nadal jest spokojny i równie chętnie odpowiada:

– Nie – mówi. – Nie chcę widzieć nic i nikogo. Pozdrowienia dla Nini – mówi uprzejmie.

– Dziękuję – odpowiada generał. I idą w stronę drzwi.

Generał kładzie rękę na klamce. Stoją naprzeciwko siebie, taktowni, z lekko nachylonymi korpusami, gotowi do pożegnania. Obaj jeszcze raz rozglądają się po pokoju, do którego – tak to czują – nigdy już nie wejdą. Generał patrzy dokoła wzrokiem krótkowidza, mrugając, jak ktoś, kto czegoś szuka.

– Świece – mówi z roztargnieniem, gdy jego oczy natrafiają na kopące ogarki w świeczniku ustawionym na krawędzi kominka. – Spójrz tylko, świece już się wypaliły.

– Dwa pytania – mówi ni stąd, ni zowąd Konrad głuchym głosem – powiedziałaś, dwa pytania. Jakie jest to drugie?...

– Drugie?... – odpowiada generał. Nachylają się ku sobie jak dwaj współnicy przestępstwa, którzy boją się własnych cieni, i są pewni, że ściany mają uszy. – Drugie pytanie?... – powtarza szeptem. – Ale skoro nie odpowiedziałaś na pierwsze... Popatrz, ojciec Krystyny oskarżył mnie, że przeżyłem. Rozumiał to tak, że przeżyłem wszystko. Bo człowiek odpowiada nie tylko poprzez to, że umiera. To dobra odpowiedź. Ale odpowiada także poprzez fakt, że coś przeżył. My obaj przeżyliśmy tę kobietę – mówi poufnie. – Ty w ten sposób, że wyjechałeś, ja, że zostałem tutaj. Przeżyliśmy, tchórzliwie, albo na ślepo, z urazą, albo rozumnie, przeżyliśmy, i to jest fakt. Nie myślisz, że był ku temu powód?... Nie myślisz, że spada na nas jakaś pozagrobowa odpowiedzialność, że jesteśmy jej coś winni, jej, która mimo wszystko była jednak czymś więcej, kimś bardziej ludzkim niż my obaj – była czymś więcej, bo umarła, a zatem odpowiedziała nam obu, a my pozostaliśmy tutaj, żywi, i nie wolno tego upiększać. To są fakty. I ten, kto kogoś przeżyje, zawsze pozostanie zdrajcą. Tak to odczuwaliśmy, że trzeba pozostać przy życiu, i tego nie wolno upiększać, bo ona na to umarła. Umarła, bo ty odjechałeś, umarła, bo ja zostałem tutaj i nie zrobiłem kroku w jej stronę, umarła, bo my obaj, mężczyźni, do których należała, byliśmy podlejsi, dumniejsi, tchórzliwsi, nad miarę krzykliwi i milczący niż mogła to znieść ta kobieta, uciekliśmy przed nią, zdradziliśmy ją, ponieważ przeżyliśmy. Taka jest prawda. Powinieneś to wiedzieć, w Londynie, kiedy wszystko dobiegnie kresu, w ostatniej godzinie, w samotności. Ja też będę to wiedział, tutaj, w tym domu: zresztą już to wiem. Przeżyć kogoś, kogo tak bardzo kochaliśmy, że nawet potrafilibyśmy dla niego zabić, przeżyć kogoś, z kim tyle nas łączyło, że omal nie umarliśmy, jest jedną z tajemniczych, niemożliwych do zakwalifikowania zbrodni życia. Kodeks nie zna takiej zbrodni. Ale my dwaj znamy – mówi cicho, oschle. – Wiemy też, że wszelką urażoną, tchórzliwą i butną mądrością niczego dla siebie nie ocalimy, ponieważ ona umarła, a my żyliśmy, i coś nas troje łączyło, tak czy inaczej, w życiu i w śmierci. Człowiek pojmuje to z wielkim trudem, a kiedy już zrozumie, nie opuści go dziwny niepokój. Co chciałeś przez to osiągnąć, że przeżyłeś, co przez to wygrałeś?... Wyzwoliłeś się z kłopotliwych sytuacji? Cóż znaczą sytuacje, kiedy idzie o prawdę życia, o to, że żyje na ziemi pewna kobieta, na której ci zależy, a ta kobieta jest żoną człowieka, który jest twoim przyjacielem, i na którym też ci zależy?... Nic – mówi zwyczajnie. – U kresu świat nic nie znaczy. Liczy się tylko to, co zostaje w naszych sercach.

– Co to jest – pyta gość – co zostaje w naszych sercach?...

– Drugie pytanie – odpowiada generał. Nie zwalnia klamki u drzwi. – Drugie pytanie, którego sens jest taki: co wygraliśmy całą naszą mądrością, pychą i wyniosłością? Drugie pytanie – czy ten dręczący pociąg do kobiety, która umarła, nie był aby prawdziwym sensem

naszego życia? Wiem, że to trudne pytanie. I nie umiem na nie odpowiedzieć. Przeżyłem wszystko, widziałem wszystko, a nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Widziałem pokój i widziałem wojnę, widziałem nędzę i świetność, widziałem twoje tchórzostwo i moją butę, widziałem walkę i zgodę. Ale sensem każdego naszego postępu, u samego rdzenia życia, być może jednak był ten węzeł, który nas z kimś łączył – węzeł albo namiętność, nazwij to, jak chcesz. I to jest to pytanie. Tak, to jest to pytanie. Chciałbym, abyś powiedział – ciągnie, ale tak cicho, jakby się obawiał, że ktoś stoi za jego plecami i słucha jego słów – co o tym myślisz? Przecież ty także wierzyłeś, że sensem życia nie jest nic innego niż namiętność, która pewnego dnia przenika nasze serca, dusze i ciała, a potem wiecznie się pali, aż do śmierci? Niezależnie od tego, co w tym czasie się dzieje? A jeżeli to przeżyliśmy, być może nie żyliśmy na próżno? Czy aż tak głęboka, tak zła, tak wspaniała, tak nieludzka jest namiętność?... Może nie dotyczy osoby, lecz jedynie żądz?... Oto jest pytanie. A może jednak zawsze związana jest z tą jedyną tajemniczą osobą, która być może jest dobra, być może zła, ale intensywność namiętności, która nas do niej przywiązuje, nie zależy od jej uczynków i właściwości? Jeżeli wiesz, odpowiedz – mów głośniej, tonem żądania.

– Dlaczego pytasz? – mówi spokojnie ten drugi. – Wiesz, że tak jest.

I przyglądają się sobie, od stóp do głów.

Generał ciężko oddycha. Naciska klamkę. W wielkiej klatce schodowej zrywają się cienie, zataczają się światła. W milczeniu idą schodami w dół, służący biegną ku nim ze światłami, z płaszczem i kapeluszem. Przed dwuskrzydłową bramą, na białym żwirze, zaskrzypiały koła powozu. Żegnają się bez słowa, niemym uściskiem dłoni; obaj głęboko się pochylają.

Generał wraca do swojego pokoju. U końca korytarza czeka niania.

– Teraz jesteś spokojniejszy? – pyta niania.

– Tak – odpowiada generał.

Razem idą w stronę pokoju generała. Niania porusza się zwawo, drobnymi krokami, jakby dopiero co wstała i spieszyła do swoich porannych zajęć. Generał kroczy powoli, opiera się o laskę. Idą do samego końca korytarza poobwieszanego obrazami. Pusty prostokąt, który wskazuje miejsce portretu Krystyny, zatrzymuje generała.

– Ten obraz – mówi – teraz już możesz z powrotem zawiesić na swoim miejscu.

– Tak – mówi niania.

– To już nie ma znaczenia – mówi generał.

– Wiem.

– Dobranoc, Nini.

– Dobranoc.

Niania wspina się na palcach i drobną ręką, na której kościach fałdziście układa się żółta skóra, kreśli znak krzyża na czole starca. Całują się. Niezdarny jest ten pocałunek, krótki i dziwny: jeżeli ktoś go widzi, z pewnością się uśmiecha. Ale jak każdy pocałunek, także i ten jest odpowiedzią – niezdarną i czułą – na pytanie, którego nie da się wyrazić słowami.

Nota o autorze

Sándor Márai (1900-1989) – nazwisko rodowe Grosschmid – pochodził z Sasów osiadłych w Koszycach (węgierska nazwa miasta: Kassa, miasto-mit w dziele Máraiego). Po raz pierwszy udał się na emigrację w roku 1918, po upadku Węgierskiej Republiki Rad. Był studentem prawa, opublikował kilka wierszy i artykułów w gazecie „Vörös Lobogó” („Czerwona Flaga”), w obawie przed represjami wyjechał do Niemiec, gdzie ukończył studia dziennikarskie. Napisał sztukę w języku niemieckim. Współpracował z prasą niemiecką. Ale wiersze pisał już tylko po węgiersku. I wtedy dokonuje wyboru: będzie pisarzem węgierskim. Po ślubie z Lolą Metzner (także z Koszyc, przeżyli razem sześćdziesiąt dwa lata!) przeniósł się z Niemiec do Francji; młodzi małżonkowie zamieszkali w Paryżu, skąd Sándor Márai słał korespondencje do prasy (liberalnej!) niemieckiej i węgierskiej. Dopiero w roku 1928, po dziesięciu latach emigracji, powraca z żoną na Węgry, zamieszkują w Budapeszcie. W krótkim czasie osiąga sukces pisarski, najpierw zapewniający mu bezpieczne życie, po dziesięciu latach – życie naprawdę luksusowe. Powieści Máraiego, nawet sztuki teatralne, ukazują się niemal równolegle po niemiecku: w Niemczech, w Szwajcarii, w Austrii. Jest tłumaczony na angielski, francuski, włoski, hiszpański, czeski, chorwacki, fiński, duński, szwedzki, portugalski i turecki.

Bardzo głęboko przeżywał kryzys kultury europejskiej. Natychmiast i nieomylnie rozpoznał charakter nazizmu. Ten najbardziej europejski z pisarzy węgierskich miał swój wielki temat: zmierzch, a w konsekwencji – niechybna śmierć świata mieszczańskiego. Jego czytelnikiem był ten, o którym pisał: wykształcony mieszczanin. Powieści Sándora Máraiego – wyrafinowane formalnie, olśniewające stylem, psychologiczną dociekliwością, afabularne, skupione na moralnych dylematach bohaterów, osiągały na Węgrzech (państwie niewielkim) wysokie nakłady (30 tysięcy sprzedanych egzemplarzy powieści *Az igazi!*), dorównujące wysokością romansom wziętych literatek. Jednocześnie rosła ranga Máraiego-humanisty, pisarza niezależnego. W roku 1943 zrywa z dziennikarstwem, opuszcza Budapeszt, udaje się na wewnętrzną emigrację na wieś. Píše do szuflady.

Po wojnie, w latach 1945-1948, wydaje osiem książek u dotychczasowego wydawcy (Revai), który z dnia na dzień zostaje upaństwowiony. Po miażdżącej krytyce Györgya

Lukácsa, który odrzucił cały dorobek pisarza, już zapowiedziana nowa powieść Sándora Máraiego trafia na przemiał (drukarze ocalili kilka egzemplarzy). Wszystkie umowy z pisarzem zostają zerwane. Młodszy brat Sándora, reżyser filmowy Géza Radványi, po wielkim, światowym sukcesie swego filmu „Gdzieś w Europie”, nie otrzymuje zgody na reżyserię następnego filmu – „Cyrk Maximus”, traci również posadę wykładowcy w szkole filmowej, którą sam zakładał. Obaj bracia, każdy na własną rękę, udają się na emigrację... Sándor Márai z żoną i adoptowanym siedmioletnim synkiem Janosem opuszcza Węgry, jak się okaże, na zawsze. Do 1952 roku mieszka we Włoszech, następnie w USA, w Nowym Jorku, gdzie pracuje w Radiu Wolna Europa. Dla władz węgierskich jest wrogiem publicznym numer jeden. W roku 1956, na wieść o wybuchu powstania, leci do Europy, lecz w Monachium zdąży już tylko nagrać na taśmę magnetofonową przejmujące monologi uciekinierów. W roku następnym wystąpił o przyznanie mu obywatelstwa amerykańskiego. W 1968 przeszedł na emeryturę i przeprowadził się z żoną do Włoch, gdzie mieszkali w Sorrento do roku 1980, skąd powrócili do Ameryki, na miejsce zamieszkania wybierając San Diego w Kalifornii.

W latach emigracji wydał siedemnaście książek (powieści, dziennik, eseje, sztuki i słuchowiska), niektóre nakładem własnym.

Zmiany polityczne na Węgrzech przyjmował nieufnie. Nie wyraził zgody na wydanie dzieł zebranych: „dopóki na ziemi węgierskiej są sowieccy okupanci, dopóki na Węgrzech nie odbędą się wolne wybory pod okiem międzynarodowych obserwatorów”. Kuriera z Budapesztu, który przywiózł umowy od trzech wydawnictw, odprawił z niczym. Odrzucił wszelkie oficjalne zaproszenia. Notabene jego brat, reżyser filmowy, skorzystał z zaproszenia, wrócił do Budapesztu i nakręcił film „Cyrk Maximus”, ten, którego nie pozwolono mu zrealizować w roku 1947. W rok później zmarł w wieku 82 lat.

Sándor Márai bardzo ciężko przeżył śmierć żony, dodatkowym ciosem była nagła śmierć adoptowanego syna, który z żoną i trzema córeczkami mieszkał niedaleko San Diego. 22 lutego 1989 roku Sándor Márai odebrał sobie życie strzałem z pistoletu.

W roku 1990 dwie czołowe oficyny węgierskie rozpoczęły edycję dzieł zebranych Sándora Máraiego. Zaczęto od powieści *Żar (A gyertyák csonkig égnek)* z roku 1942, która tryumfalnie kroczy przez Europę (wielki sukces w Niemczech, 300 000 sprzedanych egzemplarzy we Włoszech!). Sam Márai najwyżej cenił swoje *Wyznania patrycjusza (Egy polgár vallomásai, 1934-35)* oraz cykl powieściowy *A Garenek műve (Dzieło Garenow)*, pisany na przestrzeni lat 1930-1945, którego dwa ogniwa: *Féltekenyek (Zazdrośnicy)* i *Az idegenek (Obcy)* krytycy i badacze literatury węgierskiej uważają za bezsporne arcydzieła. Nie brak też takich, którzy dzieło życia Sándora Máraiego widzą w jego *Dzienniku* prowadzonym od roku 1943 niemal do dnia śmierci. Pięć tomów wydanych za życia; szósty, który ukazał się pośmiertnie, jest pozycją niezwykłą, nad którą autor, półślepy, umęczony pielęgnowaniem niewidomej już żony, chorej na raka gardła, tracił chwilami kontrolę; a

jednak, mimo powtórzeń, słabnącej pamięci, i narastającej niechęci do literatury, jest to dzieło wielkiego formatu.

Feliks Netz